

SPORT MIAŻDŻONY PRZEZ LGBT

**Semka ostro o damskich bokserach
oraz o kobietach – ich ofiarach**



**Prokuratorzy Bodnara
taśmowo umarzają śledztwa
przeciw „swoim”**

TYGODNIK LISICKIEGO

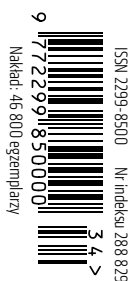
**NR 34/592 19–25 SIERPNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)**

DO RZECZY



**WOJCIECH
CEJROWSKI
NIE ZOSTAWIA
SUCHEJ NITKI
NA KAMALI HARRIS**

**Kto stał za wyborem
Jaruzelskiego na prezydenta**



Dlaczego Polska nie ma swego Orbána?



**DOLNY
ŚLĄSK**
GŁÓWNY PARTNER

XXXIII FORUM EKONOMICZNE

KARPACZ 3-5 WRZEŚNIA 2024

Czas nowych liderów:
razem kształtując przyszłość



DOŁĄCZ DO NAS

 forum-ekonomiczne.pl





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Strategia wrogów Polski

Głównym daniem ostatniego, opublikowanego w sierpniu, numeru jednego z najważniejszych pism intelektualnych wydawanych w Wielkiej Brytanii, które ma także znaczący wpływ na opinię w całym świecie anglosaskim, a mianowicie w „The Jewish Quarterly”, był esej doskonale Polakom znanego prof. Jana Grabowskiego. Sam tytuł okładowy mówi za siebie: „Wybiełanie. Polska i Żydzi”. Jest to nie tylko kolejny (który to już z rzędu?) agresywny i nienawistny atak na polską pamięć i tożsamość, lecz także swego rodzaju szkic strategii, której należy użyć, zdaniem Grabowskiego, żeby Polakom wreszcie wtłoczyć do głów miazmaty holokaustianizmu.

Według profesora historii na uniwersytecie w Ottawie w Polsce rząd prowadził politykę negacjonizmu i wypaczenia, co się dotyczy Holokaustu. „Polska stała się liderem światowym w relatywizacji Holokaustu, w odjudaizowaniu Holokaustu i zazdrości wywołanej Holokaustem, głosząc teorię spisku żydowsko-bolszewickiego i przypisując ofiarom winę za ich prześladowania”. Piękne, nieprawdaż? Żadne z tych twierdzeń nie jest prawdziwe. Nie tylko, że nie relatywizuje się w Polsce Holokaustu i nie odbiera się Żydom prawa do pamięci o nim – coś za absurd – lecz także przeciwnie, od lat kolejne polskie władze robią, co mogą, żeby spełniać żydowskie postulaty i oczekiwania. Skutek jest dokładnie taki, jak można było przewidzieć: im więcej się daje, tym większe są wymagania i tym głośniejsze żądania. Im więcej troski okazuje się żydowskiej pamięci, tym bardziej trzeba się liczyć z niezadowolaniem i sarkaniem, czego esej Grabowskiego jest skrajnym przykładem.

Nie jest on bowiem ani badaczem, ani historykiem, tylko zaciekłym ideologiem holokaustianizmu,

a więc pewnej formy quasi-religii, która głosi jedność, wyższość, ekskluzywizm i absolutność cierpienia żydowskiego, co pozwala zgłaszać następnie roszczenia tak finansowe, jak polityczne. Grabowski et consortes są sprawnymi aktywistami polityki cmentarnej lub też polityki uprawianej na grobach, która polega na tym, żeby maksymalnie wykorzystać pamięć niewinnych ofiar niemieckich zbrodni do osiągnięcia szerszych, współczesnych celów. Dlatego jego pisanstwo nie ma nic wspólnego z historią.

Okazuje się choćby, że w Polsce wojnę przeżyło... mniej niż 30 tys. Żydów. Wygląda na to, że mniej przeżyło, niż później z niej wyjechało. Dalej: „Nigdzie indziej w Europie Holokaust nie był tak kompletny, tak totalny, nigdzie indziej destrukcja narodu żydowskiego nie postępowała z równie koszmarną doskonałością”. Dlaczego? Odpowiedź jest jasna i tłumaczy rzekomą wrogość polskich elit do pamięci żydowskiej: „Przodkowie [obecnie żyjących Polaków] uczestniczyli w niemieckim ludobójczym przedsięwzięciu”. Zdaniem Grabowskiego Polska „próbuję obciążyć całą winą Niemcy”, nie zważając na poziom własnego zaangażowania w zbrodnię. Motywem jest chciwość, a mianowicie dążenie do zachowania majątków żydowskich.

Kanadyjski historyk użala się także nad innymi przykładami wypaczeń, które odnajduje na Węgrzech czy w Bułgarii, by wrócić do swego ulubionego refrenu, a mianowicie do opisu tego, jak polskie władze i instytucje „negują” Holokaust i wybielają polskość. To najważniejszy fragment tekstu, bo pokazuje, co najbardziej rozwściecza holokaustianistów i jakie fakty są dla ich narracji najbardziej niewygodne.

Oto i one. Po pierwsze, wspomnienie o udziale w zbrodni żydowskiej policji i rad żydowskich (Judenratów), po drugie, współpraca

dużych grup żydowskich z komunistami. Wspominanie o tych faktach ma być przejawem ulegania antysemickim stereotypom. Dodatkowym niebezpieczeństwem dla holokaustianistów jest „próba podniesienia wojennych cierpień swej własnej grupy narodowej do upragnionego »żydowskiego« poziomu, zjawisko znane jako zazdrość o Holokaust”. Trudno o bardziej pogardliwe i lekceważące podejście do polskich ofiar i polskiej pamięci. Nie dziwi mnie to zresztą, skoro ważnym elementem religii holokaustianistycznej jest żydowski ekskluzywizm, a więc, mówiąc bardziej dosadnie, rasizm, zgodnie z którym inne niż żydowskie cierpienia mają z natury rzeczy niższą wartość.

Z całą sprawą można wyciągnąć kilka morałów. Po pierwsze, wrogość do Polski nie ustała. Po drugie, ma bardzo wpływowych mocodawców – „The Jewish Quarterly” to pismo wychodzące od 1871 r., wspierane przez Stowarzyszenie Anglo-Żydowskie, jedną z najbardziej szacownych organizacji prosyjonistycznych. Po trzecie, nie mamy do czynienia z pojedynczym wybrykiem radykała z Kanady, ale ze świadomą antypolską strategią. Po czwarte, nie ma mowy o żadnym dialogu, bo strona reprezentowana przez Grabowskiego nie jest do niego zdolna. Po piąte, gdyby Polska dysponowała prawdziwymi instytucjami niepodległościowymi, to właśnie badanie trzech wspomnianych przez Grabowskiego punktów – współpracy żydowskich władz z nazistami, udziału w narzucaniu systemu komunistycznego i troski o polską martyrologię – powinno być najważniejsze. Nie mam złudzeń, że tak będzie. Jak widać, nawet rachityczne, niekonsekwentne i ograniczone próby dotykania tych spraw za czasów rządów PiS doprowadziły propagandystów do białej gorączki. Teraz może być tylko gorzej. ©©



TEMAT TYGODNIA

18 ŁUKASZ WARZECHA
TEŚKNOTA ZA POLSKIM ORBÁNEM
Jak się broni interesów państwa

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RZĄDZ, DZIEL ŁUPY I MÓW,
CO CHCESZ (NA RAZIE)
Polityka kłamstw

25 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
BEZKARNOŚĆ PLUS

28 ROZMOWA Z JACKIEM HOGĄ
ANI SILNI, ANI ZWARCI,
ANI GOTOWI

31 PIOTR SEMKA
TRIUMF
MEGATESTOSTERONU

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
CAŁA W TYM BIEDA
Esej Sándora Máraiego
po raz pierwszy w Polsce

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 WOJCIECH GOŁONKA
OCALIĆ ATLANTYDĘ
Globalizm zamiast narodów?

44 PIOTR CIOMPA
NOWY RZĄD, STARY BŁĄD

47 KAZIMIERZ KŁAWITER
CZARNY ŁABĘDŹ GUBI PIÓRA

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NOWA WOJNA Z MSZĄ TRYDENCKĄ?

HISTORIA

52 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
KULISY PREZYDENTURY JARUZELSKIEGO
Kto naciskał na wybór dyktatora?

56 ROZMOWA Z PIOTREM WIERZBIKIM
DOMY Z GWIAZDKAMI

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZIEMIA ZA ZIEMIĘ CZY ZIEMIA ZA POKÓJ?
Ukraińcy zajmują Rosję

64 JACEK PRZYBYLSKI
JAK TRUMP Z MUSKIEM

66 PIOTR WŁOCZYK
POSTĘPOWY WALEC WALZA

68 RYSZARD CZARNECKI
DAWNE IMPERIUM

EKONOMIA



70 ROZMOWA
Z ZYGMUNTEM BERDYCHOWSKIM
NIE MA SZANS NA ZIELONY ŁĄD
XXXIII Forum Ekonomiczne w Karpaczu

WAKACJE Z „DO RZECZY”

74 JACEK PAŁKIEWICZ
PODRÓŻOWANIE Z DZIEĆMI
Podróże z Pałkiewiczem



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Hołownia **blednie**

Najnowszy sondaż prezydencki United Surveys pokazuje ważną zmianę. Oto lider Polski 2050 Szymon Hołownia spadł w rywalizacji o godność głowy państwa na czwartą pozycję. Przed nim znaleźli się nie tylko Rafał Trzaskowski (32,4 proc.) oraz Mateusz Morawiecki (27,6 proc.), lecz także polityk Konfederacji Krzysztof Bosak z wynikiem 15,6 proc. Ten spadek na czwartą pozycję Szymona Hołownia wydaje się ostatecznym potwierdzeniem trendu, który daje się zauważyć od ponad pół roku. Gwałtownego spadku popularności niegdyśszego kandydata, który miał przyciągnąć wyborców zmęczonych rywalizacją partii Donalda Tuska z ugrupowaniem Jarosława Kaczyńskiego. Na naszych oczach wyczerpuje się formuła planu Hołowni, który za cenę wejścia do koalicji 13 grudnia miał wytargować najpierw stanowisko marszałka Sejmu, a potem wykorzystać ten urząd do ugruntowania swej popularności w wyścigu prezydenckim.

Chwilowa atrakcyjność Hołowni dla mediów trwała tylko trzy

miesiące na początku roku, kiedy to cytowano jego bon moty. Styl pseudodowcipnego konferansjera z TVN przejął się równie szybko, jak się pojawił. A zamiast rzekomego nowego stylu w przewodzeniu parlamentowi Hołownia pokazał wiele razy oblicze zamordysty. Wrażliwiec, który parę lat temu płał nad konstytucją, dziś ani słowem nie potrafi się zająknąć na temat kontrowersyjnych działań ministra Adama Bodnara. A jednocześnie nie wykazuje się na tyle wnikliwą wiedzą o podległych sobie posłach, by móc ostrzec Tuska, że np. poseł PiS Marcin Romanowski ma podwójny immunitet. O ile PSL znalazł w sobie determinację, by choć w paru sprawach wyrazić własne zdanie, o tyle Hołownia jest dla Tuska koalicjantem idealnym – miernym, biernym, ale wiernym. Specjalnie nie błyszczą też ministrowie wysunięci z Polski 2050 do rządu koalicji.

Paradoksalnie jednym z najtrzeźwiejszych komentatorów krótkotrwałego rozbłysku Hołowni z początku roku był Marcin Prokop, towarzysz Hołowni z jego występów w TVN-owskim „Mam talent”.

Chłodził on zachwyt dziennikarzy, wskazując w marcu bieżącego roku: „Mój niepokój dotyczy tego, czy polityka Szymona nie złamie, czy go nie rozjedzie. Na razie z tego, co obserwuję, bardziej ona respektuje jego reguły, niż on się nagina do jej zasad, ale zastanawiam się, co będzie w sytuacjach trudniejszych dla niego”.

Złośliwi twierdzą, że Tusk szuka już jakiegoś politycznego fanta, aby wynagrodzić Hołowni wycofanie się z kandydowania na prezydenta. Ale to już i tak nie ma większego znaczenia wobec radykalnego spadku popularności wesołka w fotelu marszałkowskim. Donald Tusk może sobie pogratulować politycznej intuicji. Trafnie uznał, że może bez obaw oddać stanowisko marszałka Sejmu młodszemu koledze, bo ten prędzej czy później zapłacze się we własne nogi. To w sumie pocieszające, że wypromowywanie polityków na wzór reklamowania proszku do prania kończy się porażką. A Hołowni raczej nikt w klasie politycznej specjalnie żałować nie będzie. Zawodowcy zawsze pogardzają amatorami. ©©



PIOTR SERAFIN KANDYDATEM NA KOMISARZA

Rada Ministrów jednomyślnie zaakceptowała kandydaturę Piotra Serafina na stanowisko komisarza do spraw budżetu w nowej Komisji Europejskiej. Obecnie pełni on funkcję stałego przedstawiciela RP przy UE w Brukseli. W latach 2014–2019 był szefem gabinetu przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska. Wcześniej był zaś bliskim współpracownikiem Janusza Lewandowskiego. (jap) ©©

PRAWYBORY PREZYDENTA WOLNEJ POLSKI

Wobec szybko postępujących zagrożeń politycznych, cywilizacyjnych, gospodarczych i militarnych szczególnie ważne jest, by w roku 2025 Polacy mądrze wybrali nowego prezydenta Rzeczypospolitej. Niepodległej, nowoczesnej, silnej, wiernej Dekalogowi.

Kandydaci wielu komitetów odwołujących się do tych wartości mieć będą bliskie zera szanse, by pokonać konkurencję w pierwszej turze wyborów, ale rozproszenie głosów wyznającego te wartości elektoratu sprawić może, że do drugiej rundy w ogóle nie dojdzie. Dlatego uważamy, że strona niepodległościowa winna wystawić wspólnego kandydata.

Mechanizmy polityczne i medialne coraz bardziej ograniczają wpływ wyborców na decyzje podejmowane w ich imieniu. Należy odwrócić tę tendencję. Sądzymy, że Polacy żyjący w Polsce niepodległości chcą mieć udział w wyborze nie tylko emocjonalny i formalny, lecz także merytoryczny. Nie chcą jedynie aktem głosowania potwierdzać wyboru dokonanego przez wąskie gremia, chcą sami kandydatów zapytać, ocenić, porównać. Świadomie ulokować swą nadzieję.

Chcemy, by polski prezydent w każdym swym działaniu strzegł dobra Rzeczypospolitej i jej obywateli. Wiedziat, że interes czy wola żadnego innego państwa, narodu, organizacji czy podmiotu nie mogą stać przed interesem Polski i Polaków.

Chcemy, by polski prezydent, mocą swego urzędu, zawsze przeciwstawiał się próbom oddawania fragmentów polskiej suwerenności, oddawania władzy nad polskim bezpieczeństwem, obronnością, bezpieczeństwem energetycznym, gospodarką, ochroną środowiska, geologią, polityką społeczną, rolną, zdrowotną, edukacją, kulturą.

W polskim interesie leży wyłącznie dobrowolna współpraca w ramach organizacji, które szanują suwerenność narodów i państw. Odrzucamy ideę i praktykę centralizacji, ponadpaństwowej władzy oraz próby tworzenia sztucznego europejskiego „narodu”. Prezydentem Rzeczypospolitej może zostać tylko ten, dla kogo przynależność do międzynarodowej organizacji nie jest dogmatem, bo nakazem najwyższym jest dla niego reprezentowanie polskiego interesu narodowego.

Do wszystkich, którzy myślą podobnie, apelujemy o wspólne działanie. Prawybo-ry winny odbyć się jesienią bieżącego roku, celem będzie wyłonienie

kandydata, który tak właśnie rozumie rolę prezydenta, wygra wybory za rok, zostanie Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2025–2030 i wypełni tę misję zgodnie z powyższymi ideami.

Zapraszamy do współdziałania wszystkich, którzy rozumieją, że jedyną szansą Polski Niepodległej jest zjednoczenie wysiłków, że rozproszenie liczby kandydatów strony niepodległościowej może doprowadzić do klęski polegającej na zwycięstwie kandydata, który nie reprezentuje i nie będzie realizował wyżej opisanych założeń.

Zapraszamy do poparcia idei prawyborów i udziału w nich wszystkich, którym bliskie są idee wymienione powyżej. Nawet jeśli prawybór nie będzie formalnie wiążący, to stanowić będzie potężną rekomendację świadomej swych wartości i swych interesów części Narodu.

**Adam Borowski, Lidia Dudkiewicz,
Marcin Dybowski, Witold Gadowski, Grzegorz Górny,
prof. Tomasz Grzegorz Grosse, Paweł Lisicki,
Bogdan Kiernicki, Cezary Krysztopa, Tomasz Łysiak,
prof. Aleksander Nalaskowski, Paweł Nowacki,
prof. Andrzej Nowak, Marzena Nykiel,
Maciej Pawlicki, Jan Pietrzak, prof. Wojciech Polak,
Jan Pospieszalski**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliński**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamedzi,
Wojciech Golińska, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczyk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz
Żygadlo**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okladka: **AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 933 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com,
pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 61 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładów podstawowych 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Manipulacja językiem polskim

Szanowna Redakcjo!

[...] Pojęcia, które niosą ze sobą negatywny ładunek emocjonalny, zamienia się na neutralne – od „spędzania płodu” przez „skrobankę” przeszliśmy do „aborcji” i „terminacji ciąży”. „Donosiciele” zmienili się w „sygnalistów”, „pederaści” w „gejów”. Zaciera się granica między ludźmi a zwierzętami. Zwierząt się już nie przygarnia, ale adoptuje jak dzieci. Pies umiera, ale człowiek odchodzi. (Dokąd odchodzi? Odeść może mężczyzna do kiosku po papierosy i nie wrócić do jeżdżowatej żony).

Nie ma już sympatycznego Murzynka Bambo, o którym czytałam w „Elementarzu”. Moja świętej pamięci ciotka, gdyby teraz nazwała Murzynkiem swojego małego, czarnego pieska (jak to przed wieloma laty robiła), chyba zostałaby zakuta w kajdany. Obawiać się mogą mieszkańcy ul. Czarnucha w poznańskiej dzielnicy Naramowice. Po wejściu w życie ustawy o mowie nienawiści, podając swój adres, mogą nie zdążyć przed aresztowaniem wyjaśnić, że tak tradycyjnie nazywano tu czarną, urodzajną ziemię.

Jedno mnie tylko zastanawia. Dlaczego „zapisy” do przedszkola i żłobka zamieniono na „rekrutację”? Czyżby państwo już w maluchach widziało przyszłych żołnierzy wysyłanych na ideologiczny front, np. do walki o prawa LGBT?

Pozdrawiam mój ulubiony tygodnik
Barbara Kęcińska-Lempka

„Czas środka”, Maciej Szymanowski,
„DRz” nr 32/2024

Dzień dobry,
w ostatnim numerze Waszego wyśmienitego tygodnika wkraść się był pewien błąd merytoryczny – ponieważ powtórzony dwa razy, więc raczej nie była to przypadkowa literówka. Otóż na stronie 51 autor artykułu „Czas środka”, pan Maciej Szymanowski, tłumacząc tytuł węgierskiej książki „Huszárvagás”,

podaje jako jego polski odpowiednik frazę „husarskie cięcie”. Tymczasem nie chodzi tu o husarza, tylko o huzara – a więc także o „huzarskie cięcie”!

Husaria – w której walczyli husarze – była formacją polskiej elitarnej ciężkiej jazdy czasu I Rzeczypospolitej, a jej szczyt rozwoju i zwycięstw to wiek XVII.

Huzarzy zaś stanowili formację lekkiej jazdy węgierskiej – później także innych państw, ale zawsze formowanej i umundurowanej na wzór węgierski, a ich najbardziej archetypiczny obraz (widoczny także na okładce rzeczony książki) i czas działania to wiek XIX, zwłaszcza okres wojen napoleońskich.

Pozdrawiam
Jarosław Lewandowski,
redaktor naczelny miesięcznika STRZAŁ.PL
Wydawnictwo Y

Od autora:

Pełna zgoda, mea culpa. Jako ciekawostkę dodam, że tytuł omawianej w artykule książki – „Huszárvagás” – ma w języku węgierskim podwójne znaczenie: huzarskie cięcie oraz trudną do oddania w języku polskim konotację: mistrzow-

skiego rozsąpania (nie przecięcia!) tzw. gordyjskiego węzła.

Maciej Szymanowski

„Kolbe be i »Bogurodzica« też be”,
Piotr Semka, „DRz” nr 29/2024

Przeczytałem felieton pana Semki „Kolbe be i »Bogurodzica« też be”. W roku 1971 rozpocząłem naukę w liceum ogólnokształcącym. Na lekcjach z języka polskiego szczegółowo omawiany był tekst pieśni „Bogurodzica”. W czasie rozkwitu komuny nikomu to nie przeszkadzało. Dożyłem chwili, że moim wnukom zabronią nauki patriotyzmu i historii. Skandal.

Pozdrawiam
Henryk Grzeszkiewicz, Biezuń

Wyjaśnienie

W poprzednim numerze tygodnika, podpisując zdjęcie naszych olimpijczyków, pomyliłem imię naszej jedynej złotej medalistki. Oczywiście chodziło o Aleksandrę Mirosław.

Przepraszam Czytelników za pomyłkę.
Łukasz Zboralski

Zofii i Konstancji Lisickim

wyrazy współczucia i smutku
z powodu śmierci Męża i Taty



Bronisława Lisickiego

składają
najbliżsi i przyjaciele



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pistolecik Thierry'ego

Jak wie każdy czytelnik powieści kryminalnych Raymonda Chandlera, „tylko pętał wymachuje pistoletem”. Prawdziwy twardziel nigdy nie straszy i nie odgrza się – jeśli może zastrzelić i jest zdecydowany to zrobić, to wyjmie pistolet i zabija; dopóki nie jest, dopóty trzyma fason. No, ale nie każdy czytał za młodu Chandlera. Unijny komisarz do spraw rynku wewnętrznego i usług, Thierry Breton, na pewno nie czytał, bo właśnie postanowił się napuszyć i postraszyć Elona Muska. W wystosowanym do niego publicznie liście, na firmowym unijnym papierze, pogroził, że jeśli platforma X (dawniej Twitter) będzie nadal wyłamywać się ze wspólnego frontu propagandowego przeciwko „populistycznej skrajnej

prawicy”, jeśli nie będzie cenzurować „faszystów” i przedstawiać ich w jednoznacznie negatywnym świetle, to „będziemy niezwykle czujni na wszelkie dowody wskazujące na naruszenia i nie zawahamy się w pełni wykorzystać naszego zestawu narzędzi, w tym poprzez przyjęcie środków tymczasowych, jeśli będzie to uzasadnione w celu ochrony obywateli UE”.

Czytelnik Chandlera wie, dlaczego nie wymachuje się pistoletem, jeśli nie ma się naboju w lufie: dlatego, że ktoś może wymachującemu dać w nos i ten pistolecik zabrać. I coś podobnego zrobił miliarder z unijnym komisarzem. Najpierw za pomocą cytatu z amerykańskiego filmu jednoznacznie kazał mu się... Hm, przekładając z kultury na kultu-

rę, czyli ze wspomnianego filmu na osławiony list Kozaków do tureckiego Sultana, poradził „gołą d... zabić jeża” – a następnie opublikował wywiad z Donaldem Trumpem, który szybko wygenerował miliard odsłon.

Komisarz Breton, jak rozumiem, spełni swą pogroźkę: wystąpi do stosownego unijnego biura o wstępną analizę prawną pod kątem zgodności treści wywiadu z Trumpem z unijną dyrektywą DSA, z tą analizą zawnioskuje o rozpoczęcie prac studyjnych nad możliwością zastosowania zestawu narzędzi i środków tymczasowych i tak dalej...

Pewien tutejszy mędrzek zapowiadał niedawno w Unii „kupę śmiechu”; co prawda, miał co innego na myśli, ale przypadkiem trafił. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Kto patrzy, ten widzi

Któż mógł 35 lat temu przewidzieć, że demokracja liberalna, której wielu Polaków pragnęło niemal tak samo jak konsumpcyjnego raj, przerodzi się w rewolucję przeciw cywilizacji chrześcijańskiej, suwerenności państw i prawom rodziny?

Otóż jeśli komuś zależało na cywilizacji chrześcijańskiej, jeśli widział postępującą religijną i rodzinną dekadencję Zachodu, jeśli myślał o niepodległości jako o nowym początku, a nie o końcu historii – to przewidzieć to mógł bez jakiegokolwiek nadzwyczajnego trudu. Tym bardziej jeśli był świadom, że kultura polska jest katolicka, bo katolicyzm był, jest i będzie – dla niej i w ogóle – zobowiązującą normą,

a nie „zabarwieniem polskości”, przyrodzoną cechą, którą bez większego wysiłku zachowamy zawsze, bo kiedyś została nam nadana.

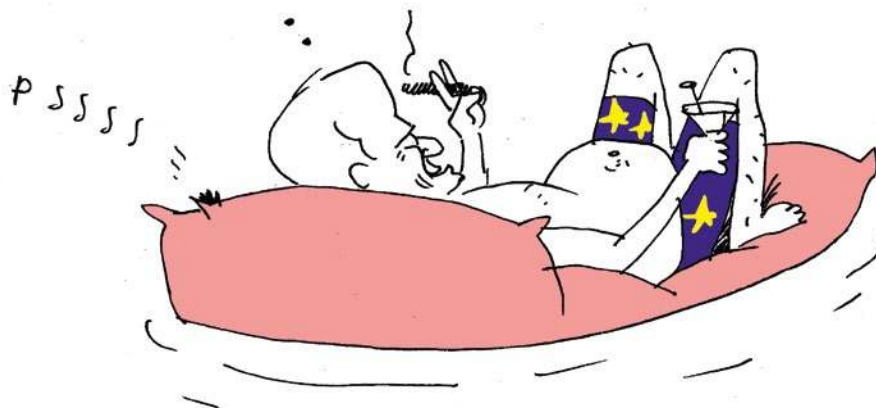
Mija właśnie 45 lat od ogłoszenia Deklaracji Ideowej Ruchu Młodej Polski. Nie pisaliśmy jej u progu niepodległości, ale o dekadę wcześniej. Właśnie wtedy, w czasach Breżniewa i Gierka, postawiliśmy pytanie (bezpomiednio ten fragment redagował Jacek Bartyzel): Czy dla przyszłej wolnej Polski muszą być wzorem „funkcjonujące obecnie na Zachodzie systemy demokratyczne”? Szczególna wartość tego skromnego pytania polegała na tym, że formułowaliśmy je w ramach naszego zaangażowania na rzecz

niepodległości nie po to, by – jak wielu oportunistycznych malcontentów – podważać potrzebę walki o wolność, ale by sformułować jej właściwy, nawet jeśli odległy, cel. Wiedzieliśmy bowiem – jak potem uczył Jan Paweł II – że gdy wolność zostanie nam dana, będzie równocześnie zadana.

Wielu z nas (choć oczywiście nie wszyscy) wcześniejszą działalność w RMP kontynuowało potem w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, walcząc o chrześcijański charakter odradzającej się Rzeczypospolitej. Instytucje, które wtedy zbudowaliśmy, do dziś stanowią przeszkodę dla antychrześcijańskiej rewolucji. I to jest realna miara ich wartości. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wunderbar...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIECZEŃ RZYMSKA

O olimpijskim odłowie rasistów

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Wydawało się, że w Italii nieustraszeni łowcy faszystów w ramach świętego pokoju olimpijskiego dali sobie na chwilę na wstrzymanie. Jednak gdy paryskie igrzyska dobiegały końca, włoscy postępowcy i kapłani poprawności politycznej zorganizowali imponujące rozmachem polowanie na rasistów. Znakomicie zorganizowana nagonka przyniosła sukces. W sidła wpadł jeden z najbardziej znanych włoskich dziennikarzy publicznej telewizji RAI, 80-letni Bruno Vespa, autor kilkudziesięciu pasjonujących książek opisujących najnowszą historię polityczną Italii od Mussoliniego do dziś. Słowem: polowanie na grubego zwierzka z pogwałceniem wszelkich zasad etyki łowieckiej.

Bruno Vespa zachwyił się piękną grą włoskich siatkarek, które w olimpijskim finale rozbiły Amerykanki 3:0. Pierwsze skrzypce we włoskiej drużynie grały córka nigeryjskich imigrantów Paola Egonu i Myriam Sylla, której rodzice przyjechali do Włoch z Wybrzeża Kości Słoniowej. Vespa napisał na platformie X: „Znakomita drużyna narodowa! Gratulacje dla Egonu i Sylli: dzielne, czarne i włoskie. Przykład zwycięskiej integracji. Fruwały nad siatką, a dzięki nim odlecieliśmy i my”.

Ruszyła nagonka. Związek zawodowy dziennikarzy RAI: „Wpis niegodny mediów publicznych. Vespa bez żadnego powodu zajmuje się kolorem skóry siatkarek. To źle skrywany rasizm i wyraz zacofanej,

wstecznej mentalności”. Podobnie idiotycznie wygadywali postępowi politycy i komentatorzy. Ukrywający tożsamość znany rzymski artysta uliczny podpisujący się „Łajka” na ścianie rzymskiej siedziby Włoskiego Komitetu Olimpijskiego namalował mural pt. „Włoskość”, przedstawiający Egonu atakującą piłkę z napisem: „Nie rasizmowi, ksenofobii i nienawiści”.

Polemika rozlała się na wszystkie włoskie media. Mądre gadające głowy we włoskich telewizjach roztrząsały problem „Czy Włosi są rasistami?”. I niezmiennie wychodziło na to, że opozycja i postępowcy to wyznawcy gorliwego internacjonalizmu, a rząd i prawica są siedliskiem dyskryminacji rasowej. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. PAMEL WODZINSKI/FAST NEWS

DYSKRYMINACJA ZA KAWĘ I CIASTKO

Celebrytka Monika Goździalska wybrała się do jednej z warszawskich restauracji, w której spotkała ją nieprzyjemna sytuacja. Okazało się, że dla klientów kupujących jedynie kawę i ciastko nie ma miejsca, co mocno wstrząsnęło modelką. Swoim dramatem podzieliła się na Instagramie. „Wielu restauratorom niestety się w d.pach powywracało, inaczej tego nazwać nie można, bo zaczęli traktować ludzi bardzo przedmiotowo pod względem finansowym. Nażreć się, żreć, żreć i wynocha – grzmiała Goździalska. Przeczytałam wiele opinii na temat restauracji, o której będę tutaj mówiła, no i wielu ludzi nie jest zadowolonych z jedzenia i w ogóle. Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach po COVID walczymy o dobro restauracji, jak i klienta, obsługę i fantastycznym podejściem do klienta, by chciał do nas wrócić, gdy lato minie, zwiną się ogródki i zostanie restauracja” – wskazała. Następnie dokładnie opisała całą sytuację: „W sobotę pojechaliliśmy na hulajnogach do centrum, poszliśmy na Stare Miasto, stwierdziłam, że napiłabym się kawy. Bartek zje ciasto, ja wypiję kawę i wszyscy będą zadowoleni. Weszliśmy do ogródka, 7, 8, 9 stolików wolnych, wchodzi, a pani na dzień dobry, w XXI wieku, zaczyna pytaniem: »Czy my przyszliśmy tutaj na obiad?«. Ja mówię, że nie, że chcemy zjeść ciastko i wypić kawę. I pani kelnerka, której nie jest to wina, że ma takiego szefa wariata, mówi do nas: »Nie możecie Państwo skorzystać

ze stolika ze względu na to, że u nas w restauracji możesz tylko przyjść usiąść, jak zjesz obiad«. Nie możesz przyjść na ciastko” – relacjonowała oburzona celebrytka. Goździalska zaznacza, że tak nie może być. „Czy to jest normalne? Byłam na rynku Starego Miasta, chciałam zjeść ciastko, które jest tam w menu i nie jest też tanie... Przecież nie siedziałabym tam 3 dni. Przychodzi pani manager i mówi, że jak nie zjemy obiadu, to nie usiądziemy. Nie polecam traktowania ludzi jak psów. Nie tędy droga. Nie wszystkich stać na obiad w Warszawie. Trzeba ludzi traktować z szacunkiem. Dlaczego jest taka dyskryminacja? Ja wam tego nie popuszczę. To jest wstyd, żeby restauratorzy postępowali w ten sposób” – zapowiedziała modelka. Czyli to nie jest walka obrażonej celebrytki. Ona walczy w imieniu nas wszystkich. Brawo, Monia!

TONĄCY WOJSKA SIĘ CHWYTA?

Postać Marianny Schreiber powraca (niestety) jak bumerang. Po serii półnagich publikacji z egzotycznych plaż oraz spod wieży Eiffla Schreiber postanowiła przypomnieć wszystkim, że kiedyś chciała robić karierę w wojsku. „Szczerze? W wojsku, które gardzi takimi wartościami jak Bóg, Honor, Ojczyzna, nie mam zamiaru służyć ani dnia dłużej” – stwierdziła. „W takim wojsku, w którym jeden z twoich przełożonych chce cię zaciągnąć do łóżka, robiąc ordynarne uwagi dotyczące twojego wyglądu i wykorzystując swój

stosunek służbowy. Jeżeli myślicie, że takie przypadki molestowania nie mają miejsca w wojsku, to się mylicie. Sama byłam tego ofiarą. W wojsku zakazane jest wynosić wszystkie informacje na »zewnątrz«, dlatego do tej pory bałam się o tym mówić” – napisała na Instagramie, sugerując, że teraz to dopiero zacznie „wynosić informacje”. Działalność medialną Marianny szybko skomentowała armia. Potwierdzono, że została zwolniona z Terytorialnej Służby Wojskowej. „W odniesieniu do informacji zawartych w oświadczeniu Pani Marianny Schreiber zamieszczonym na portalu X informujemy, że od początku istnienia 18. Stołecznej Brygady Obrony Terytorialnej w oparciu o formułowane przez Panią zarzuty nie były prowadzone jakiegokolwiek w tym zakresie postępowania ani nie było żadnego w tym przedmiocie zgłoszenia skierowanego do dowódcy 18SBOT, mężów zaufania czy pełnomocnika ds. wojskowej służby kobiet” – czytamy w komunikacie prasowym. „Co do aktywności medialnej Pani Schreiber sprawa publikacji materiałów, na których były utrwalone przypadki łamania regulaminu przez żołnierza, była poruszana na wcześniejszej rozmowie dyscyplinującej. Miało to również związek ze złamaniem wytycznych Dowódcy WOT dotyczących aktywności w mediach społecznościowych obowiązujących wszystkich żołnierzy” – dodano.

CHYRA, CZYLI „AN”

Aktor Andrzej Chyra opowiedział o tym, jak to jest być ojcem w dojrzałym wieku. „Z jednej strony stymuluje, a z drugiej stawia wymagania. Na przykład, żebym był partnerem w rozmowach na temat tego, co dzieje się w »Minecraftie«, bo to są rzeczy, które dominują życiu dziesięcioletka” – wskazał tata dziesięcioletniego chłopca w wywiadzie dla „Vivy!“. Przyznał też, że syn mówi do niego po imieniu. „Tak wyszło. Sam przyjął taką niezależną formę. Bardzo rzadko mówi do mnie »tato«, zazwyczaj kiedy potrzebuje mojego wsparcia, pomocy. Na co dzień mówi »Andrzej« albo wymyśla skróty od mojego imienia, ostatnio »An«, co bulwersuje ludzi” – podkreślił Chyra. Czują się państwo zbulwersowani? Ja też nie. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wydawać by się mogło, że na młodych Polaków można liczyć bardziej niż na starsze pokolenie, że nasza wieloletnia działalność edukacyjna, wzorce z Zachodu i otwarcie na świat będą przynosiły w końcu jakieś pozytywne skutki, no ale nie xD.

Otóż widzieliśmy wyniki jakiegoś badania, które miało na celu wykazanie, czego najbardziej boją się młodzi Polacy. Myśleliśmy, że wyniki powinny być jasne: Kaczyńskiego, w dalszej kolejności Konfederacji, a wychodząc nieco dalej poza nasze krajowe podwórko – Trumpa, fashysmu, kryzysu klimatycznego, zagłady planety i braku dostępu do darmowej antykoncepcji.

A tymczasem okazuje się, iż młodzi Polacy najbardziej obawiają się utraty środków finansowych oraz pracy, a także rosnących kosztów życia. No i sami widzicie – wszystko jak krew w piach, wciąż nie udaje się wypełnić tego typowo polskiego podejścia.

Ile pokoleń musi jeszcze nastąpić, iżby wreszcie zmienił się ten polski mindset skupiania się na pieniądzach? Zamiast zajmować się ważnymi rzeczami, takimi jak właśnie demokracja, klimat czy ograniczanie śladu węglowego, to my ciągle o tym. A świat nam odjeżdża.

Dotarliśmy do danych, według których Polska jest największym beneficjentem netto w Unii Europejskiej, Niemcy zaś są we wspólnocie

największym płatnikiem. Wiecie, co to oznacza, prawda, kochani?

Otóż tak, oznacza to dokładnie to, że Niemcy nas muszą utrzymywać. Niezależnie od różnych spornych sytuacji, które gdzieś na przestrzeni lat mogły się wydarzyć w naszych sąsiedzkich relacjach, Niemcy nadal wpłacają do UE tyle pieniędzy, iżby ten kraj mógł je otrzymywać i wiązać koniec z końcem.

Polityka przytykowska Donalda Tuska



Pomyślcie sobie, jakie to szlachetne, jaka to godna postawa, zwłaszcza w sytuacji, kiedy na prawicy co chwilę pojawiają się kolejne propozycje rewizjonistyczne dotyczące reparacji tego kraju po wojnie (czyja to była wina, nie rozstrzygamy, historycy i twórcy nie są zgodni) przez Niemców.

Ciekawe tylko, czy siły eurosceptyczne, kiedy się o tym dowiedzą,

zrewidują swoje postawy i wreszcie się od tych Niemców odczepią.

Z tego, co słyszeliśmy, to w Ministerstwie Sprawiedliwości trwają prace nad przepisami, które umożliwią szybsze wzięcie rozwodu niezadowolonym z siebie osobom małżonkom. Niestety, na razie nowe przepisy będą dotyczyły wyłącznie par heteronormatywnych. Warto też podkreślić, iż 100 proc. małżeństw, które zostały zawarte w tym kraju i kończą się rozwodem, dotyczy par hetero.

Doceniamy mimo wszystko postawę ministerstwa i mamy nadzieję, iż jest to dopiero pierwszy krok w kierunku dekonstrukcji tradycyjnego modelu rodziny.

Aby ten proces nieco zdynamizować i dostarczyć zainteresowanym jakieś alternatywy, proponujemy, iżby np. szybki rozwód wiązał się z jednoczesną możliwością adopcji psiecka lub kociecka w trybie przyspieszonym. To of kors tylko wstępna propozycja,

ale wydaje nam się, iż wychodząca naprzeciw społecznym oczekiwaniom. A postępy legislacyjne w tym obszarze będziemy uważnie śledzić, będziemy wam dawać znać na bieżąco, iż pewnie wielu z was taka wiedza się przyda xD. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Ktoś puka...

Krzysiu, ty naprawdę nie chcesz kandydować?

Naprawdę, Sławku. Ty jesteś lepiej przygotowany, obaj to wiemy.

Ależ skąd! To ty jesteś bardziej gotowy. Zresztą chodzisz w krawacie, a ja nie.

Ależ twoje sukcesy biznesowe cię znacznie lepiej predestynują do kandydowania.

Ale akcje mojej kancelarii poleciały w dół, a twojej nie.

Bo ja nie mam kancelarii.

No właśnie!

A co z Grzegorzem? On by akurat chciał.

Czekaj, ktoś puka... Otworzę.

...

Szczęść Boże! Skoro żaden z was nie chce, to mogę przyjąć to brzemię. Nawet chętnie. Sławek, potrzymaj mi gaśnicę. ☺☺ Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Andrzej wyjdź z meczu! Póki jesteś nie mamy szans. Wrócisz jak wygramy złoto”.

ROMAN GIERTYCH, poseł KO, na portalu X podczas meczu polskich siatkarzy na olimpiadzie



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisiecki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl cff981fd60

Zaczniemy od trudnych relacji polsko-rosyjskich. Jak wiadomo, jeden z dwóch panów G. w ubiegłym tygodniu ujawnił, że dziewczyną ruskiego szpiega Pawła Rubcowa była niejaka Magdalena Chodownik. Pół godziny później pani Magda zlikwidowała profil na X, zwanym niegdyś Twitterem, a niewiele później „Tygodnik Powszechny” odciał się od niej i Rubcowa, zapewniając, że to byli tylko incydentalni autorzy. Mniej spektakularne było czyszczenie mediów społecznościowych, kiedy to z grona znajomych Rubcowa i Magdy zaczęli masowo zniknąć znajomi. Dziwnym trafem na kilka dni zamilkli też ludzie tacy jak znany aktywista LGBT Bart Staszewski i inni, którzy dopominali się uwolnienia Rubcowa zamkniętego przez reżim PiS.

Ujawniamy dalej: jedna z najciekawszych sytuacji miała miejsce kilka miesięcy temu. 8 lutego w Sejmie odbyło się posiedzenie Komisji Obrony Narodowej. Bite siedem godzin. Dziwnym trafem jedną z nielicznych osób, którzy wytrzymały, była właśnie Magdalena Chodownik. Dziwne, bo nie udało nam się odnaleźć żadnego materiału prasowego autorstwa tej pani z prac komisji. Ale jeszcze dziwniej było potem. Otóż do szefa komisji Andrzeja Grzyba podszedł pewien mężczyzna i powiedział, że na Chodownik należy uważać, bo jego zdaniem może ona pracować dla ruskich. Nie udało nam się ustalić, czy coś z tą sprawą zrobiono. Wiemy za to na pewno, że mimo zarzutu pomocnictwa w szpiegostwie jeszcze przez wiele miesięcy miała wjazd nie tylko do Sejmu, lecz także do kancelarii premiera.

Z drugiej strony chcieliśmy przedstawić nieznane oblicze Magdy: małej, radosnej wolontariuszki, która zawsze się zgłosi, gdy można zrobić coś dobrego. Na przykład w numerze 7–8/2022 miesięcznika „Press” niejaki Krzysztof Boczek opisywał, jak zbierał materiały do tekstu o złym Kurze i Kurskiej TVP. Polscy dziennikarze mają kompleksy, więc Boczek chciał swe uderzenie skonstruować z wypowiedzi dziennikarzy zagranicznych. Było ciężko. „Z ok. 200 osób odzywa się jedna – Magdalena Chodownik, korespon-

dentka France24 i EuroNews TV” – pisał w „Pressie”. „Chodownik 14 lat spędziła na Zachodzie i wróciła do kraju trzy lata temu. Zna temat i go obserwuje”. Spodobało nam się zwłaszcza słowo „obserwuje”.

Nasze wieści sprzed tygodnia o tym, że po zjednoczeniu PiS i Suwrennej Polski jedno stanowisko wiceprezesa ma przypaść SuwPolowi, wywołały ciekawą reakcję. Oficjalna brzmi: „Naprawdę? Ojej, a my nic nie wiemy. A niby kto to miałby być?”. Nieoficjalna jest lepsza, gdyż przejawia się jako zakulisowe namawianie Patryka Jakiego, żeby się posunął. To znaczy, żeby nie brał tego wicka, tylko oddał stanowisko bardziej potrzebującym.

Bardziej potrzebującym okazuje się w aktualnej sytuacji SuwPolu znana i lubiana Beata Kempa. Nie została europosłanką, w krajowym parlamencie też jej brak. Pal sześć zarobki, z europejskich zaskórniaków da się jakoś żyć, ale

liczy się prestiż, znaczy funkcja. A w tej kwestii – jak mówią wiewiórki z SuwPolu – „Beata nie ma nic”. Stąd sugestia, by zamiast Jakiego to właśnie ona została nowym wickiem w połączonych partiach. Dodatkowo używa się także dziwnego dla prawaków słowa „parytet”.

Kongres PiS się zbliża, ale jest w związku z nim problem. Ni ma piniędzy. Nie dość, że partia jest uboga po ostatnich kampaniach wyborczych, to jeszcze spodziewa się obcięcia subwencji przez PKW. No i jest kłopot, bo trzeba się składać na bój o prezydenturę, a inne eventy też powinny wyglądać na bogato. Trwa więc intensywna praca koncepcyjna, gdzie i w jakiej formie zrealizować kongres. No i na razie wszystko wskazuje na Warszawę, a nie Katowice czy podzeshowskie błonia, bo nie trzeba daleko jechać i jest duży wybór lokalizacji. A duży wybór to – jak wiadomo – konkurencja cenowa.

Zmieniła się zawartość skrótu opisującego czołowych kandydatów PiS na kandydata na prezydenta. Do niedawna było to BBN (Bocheński, Bogucki, Nawrocki), a teraz – BMN. Z grona miał wypaść ostatecznie Bocheński Tobiasz. A tajemnicze M? Nie takie znów tajemnicze – to Mateusz Morawiecki, który bardzo by chciał. Tyle że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński ma w tej kwestii inne zdanie.

Uwaga! Nie jest prawdą, jakoby szeregowy poseł Jarosław Kaczyński nie był zdolny do zmiany zdania. Wręcz przeciwnie, jest raczej pragmatyczny. Licząc na to, były premier Mateusz chwali się podobno badaniami, wedle których w drugiej turze wypada przeciw Tusкови lepiej niż Bogucki albo Nawrocki. Powyższe rozumowanie ma trzy słabe punkty. Po pierwsze, trzeba najpierw wejść do drugiej tury. Po drugie, skąd wiadomo, że przeciwnikiem będzie Tus? Po trzecie, nie chodzi o to, żeby wypaść lepiej, tylko żeby wygrać.

Wwiewiórki twierdzą, że mimo licznych zabiegów byłego premiera MM z powyższej trójki BMN najwyżej aktualnie stoją akcje Zbigniewa Boguckiego. Nie ekscytujemy się. Pamiętamy, jak dopiero co były to akcje

dwaj panowie



Bocheńskiego. Nie mówiąc o tym, że Jarosław Kaczyński jest jak Adam Słodowy: w pewnym momencie wyciąga spod stołu zmontowany gadżet i mówi: „Żeby nie przedłużyć – to ja tu mam takie gotowe”.

Na moment jeszcze o Morawieckim. Różne media jakieś dwa tygodnie po tym, jak podaliśmy, że będzie nowym szefem EKR, ustaliły, iż będzie nowym szefem EKR. Oczywiście nie powołując się na źródło. Nam to nie przeszkadza, my traktujemy dziennikarstwo i rubrykarstwo jako służbę publiczną. Rzucamy więc kolejne perły przed, ehem, zbieraczy pereł: rzecz ma się zdecydować ostatecznie pod koniec września, podczas posiedzenia rady Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Zbieraczom pereł podpowiadamy, że chodzi o partię, a nie o frakcję w europarlamencie o tej samej nazwie, bo biedakom czasem się to miesza.

Skoro o kandydatach na kandydatów. Defilady to coś, co panowie G. uwielbiają, nie przymierzając – jak misie miodek. Na tegorocznej zwróciliśmy uwagę na dwie rzeczy. Po raz pierwszy podczas defilady zabrał głos premier. Do tej pory w zwyczaju było, że przemawiają jedynie prezydent i szef MON. Przemówienie Tuska nas zaskoczyło, bo było nieomal prawicowe. Podobnie jak zaskoczyła nas broszurka rozdawana na defiladzie, bardzo chwalać szefa MON. Zarówno przemówienie, jak i broszura w naszym przekonaniu powinny być zostać oznaczone jako „materiał wyborczy kandydata na Prezydenta RP”.

Tymczasem w neo-TVP. Gruchnęła wieść, że nowy program będzie miał tam prof. Jerzy Bralczyk. „Jak to się mówi” to format, w którym niejaka Katarzyna Kasia ma go przepytywać z tników propagandy PiS i języka TVP Kura z minionych czasów. Dla niewtajemniczonych: Bralczykowi to do niczego niepotrzebne, ale zdaje się, że program jest formą pokuty. Niedawno rozwścieczył on bowiem salony ideolo słowami: „Preferuję tradycyjne formuły i sposób myślenia. Nawet mówienie, że choćby najulubieńszy pies umarł, będzie dla mnie obce. Nie, pies niestety zdechł”. Wszystko pasuje. Pies zdechł, a neo-TVP – też zdycha.

PiS czeka, aż Jarosław Kaczyński
wpadnie na jakiś pomysł...



c e z a t y k t y s z t o r d

Skoro o telewizjach. Jak wiadomo, koncesję na multiplex MUX-8 otrzymała Republika i telewizja braci mniejszych, czyli wPolsce24. Oznacza to nowe inwestycje, a jak inwestycje, to nowe pieniądze. Wiewiórki opowiadają, że senator Grzegorz Bierecki intensywnie pracuje nad stworzeniem grupy kapitałowej, która sfinansuje dalszy rozwój telewizji. Nie zamierza jednak oddawać nikomu kontroli nad całością. I my to też rozumiemy. Podobnie jak Nowogrodzka, gdzie ostatnimi czasy narastała nieufność do potencjalnych inwestorów węgierskich.

Igrzyska w Paryżu już dawno zamknięte, ale kłótnia o to, która z boksoosób jest kobietą, a która mężczyzną, nadal trwa. Po pierwsze, chcieliśmy zauważyć, że to nieładnie pytać boksoosobę, czy jest kobietą czy mężczyzną. Po drugie, mamy salomonowe wyjście z sytuacji. Zamiast martwić się jakimiś testami, należałoby wprowadzić nową dyscyplinę olimpijską: pojedynki kobiet z mężczyznami w ringu. Złote medale przyznawano by w dwóch kategoriach: facetom, którzy najlepiej

biją, oraz kobietom, które najmniej dają się pobić.

Wiceminister nauki z partii Szymon 2050 też skomentował igrzyska. A dokładnie to, że Polska zdobyła mało medali. Zdaniem Andrzeja Szeptyckiego „inne państwa potrafią czerpać korzyści z napływu imigrantów spoza Europy, my widzimy w nich głównie zagrożenie”. Chcieliśmy przypomnieć, że fakty przeczą tezie Szeptyckiego. Na przykład podczas wyścigów przy granicy z Białorusią najszybsi byli nie migranci, ale Franek Sterczewski. Niestety, konkurencji „bieg z reklamówką w dłoni” nie ma jeszcze w programie igrzysk.

Jak wiadomo, kolejny dziennikarz powiększył grono kryminalistów. Prawomocnie został skazany Radosław Gruca z Radia Zet – za znieważenie policjanta. Co ciekawe, sąd w uzasadnieniu stwierdził, że Gruca był nietrzeźwy w stopniu znacznym. Ale ciekawsze jest to, że chce się on sądzić z jednym z panów G., który info o szarpaniu z policją pod wpływem ujawnił. ©©



WIELKA DEFILADA NA ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO

Ponad 2,5 tys. żołnierzy ze wszystkich rodzajów wojsk, niemal 100 żołnierzy z jednostek sojuszniczych (Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rumunii) oraz 220 jednostek sprzętu (czołgi Abrams, Leopard i K2, transportery Borsuk, Rosomak i Kleszcz, haubice Paladin, wyrzutnie rakietowe Himars i przeciwlotnicze systemy Patriot i Mała Narew) mogli zobaczyć obserwujący defiladę z okazji Święta Wojska Polskiego w Warszawie.

Przemarsz żołnierzy poprzedziła defilada lotnicza. Na niebie podziwiać można było np. my-

śliwce F-16 oraz F-35 oraz śmigłowce szturmowe AH-64 Apache.

Obchodzone co roku 15 sierpnia uroczystości upamiętniają zwycięską Bitwę Warszawską z 1920 r., gdy polskie wojsko odniosło zwycięstwo nad nacierającymi od wschodu bolszewikami, ratując kraj, a zarazem Europę przed sowieckim podbojem. *(jap) ©*

CZYTAJ TAKŻE „ANI SILNI, ANI ZWARCI, ANI GOTOWI” NA STRONIE 28

POLEJCEK-SZCZOLKOWSKI / PEPOLIM



Tęsknota za polskim Orbánem



Łukasz Warzecha

Dlaczego w Polsce nie dorobiliśmy się takiego premiera, jakiego mają Węgrzy?



Mój kolega, znany dziennikarz Igor Janke, ma pecha, którego często miewają autorzy książek, które stały się nieaktualne. Albo dlatego, że zmieniły się okoliczności i wydarzenia potoczyły się w inną stronę, niż oni przewidywali, albo dlatego, że sami zmienili swoje zapatrywania, podczas gdy książka ciągnie się za nimi i utrudnia im życie. To ten drugi przypadek.

W 2012 r. Igor wydał książkę „Napastnik. Opowieść o Viktorze Orbánie”. W tamtym momencie Orbán był w połowie pierwszej kadencji rządów po ośmioletniej przerwie w sprawowaniu władzy. Książka opowiada o nim jako o politycznym napastniku, który zawsze znajduje wyjście z sytuacji, nigdy się nie poddaje, a swoją machiną partyjną zarządza bardzo skutecznie, acz bezwzględnie.

W Polsce w owym czasie od pięciu lat rządziła Platforma Obywatelska. Niemal dopiero co pod przywództwem Donalda Tuska wygrała drugie wybory z rządu. Na polskiej prawicy dość częste były wówczas tęsknota za „polskim Orbánem” i porównywanie premiera Węgier z Jarosławem Kaczyńskim, któremu wytykano nieskuteczność. Fidesz, partia Orbána, należał wtedy do Europejskiej Partii



FOT. THIERRY ROUGE/REX/EPIC PRESS/FORMA

z członkami austriackiej Partii Wolności, hiszpańskiego VOX i czeskiego ANO.

Dzisiaj mniej zorientowani wytykają Igorowi „Napastnika...” jako dowód jego fascynacji Viktorom Orbánem. To błąd, ponieważ wszystko zmieniło się radykalnie po 24 lutego 2022 r. Igor Janke Viktora Orbána już nie podziwia, za to kilkakrotnie jeździł na Ukrainę, dostarczając różnego rodzaju pomoc. Rosyjska inwazja na Ukrainę zmieniła diamentalnie zapatrywania nie tylko autora „Napastnika...” – który zaczął też zwracać uwagę na korupcyjne oskarżenia wobec węgierskiego premiera i zbudowanego przez niego systemu – lecz także dużej części obozu, który w Polsce nazywany bywa błędnie prawicowym, a w istocie jest obozem neo-PPS-owskim, którego centrum jest PiS. Nad tą zmianą trzeba się zatrzymać, jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego w Polsce nie dorobiliśmy się naszego Viktora Orbána.

ZDANI NA SIEBIE

Aby jednak zrozumieć, jaką politykę realizuje Viktor Orbán, a więc co odrzuca obóz tzw. polskiej „prawicy”, trzeba choćby krótko przyjrzeć się historii Węgier.

W wypowiedziach węgierskich polityków, także tych opozycyjnych, jak Péter Magyar, lider nowej Partii Szacunku i Wolności (TISZA – co ciekawe, Tisza to również nazwa jednej z większych węgierskich rzek, przepływającej przez park narodowy Hortobágy), powtarza się stwierdzenie: „Jesteśmy małym narodem”, a także: „Jesteśmy zdani na siebie”. Skąd taka opinia?

W roku 1526, po wiekach potęgi, Węgrzy przegrywają z Turkami bitwę pod Mohaczem, wskutek czego ostatecznie w 1541 r. znaczna część kraju ze stolicą – Budą – dostaje się pod panowanie tureckie, które potrwa aż do 1686 r. Wówczas Buda zostaje wyzwolona przez wojska Świętej Ligi, a na początku XVIII w. Węgrzy ostatecznie wydostają się spod panowania tureckiego. Zaczynają się rządy Habsburgów. W 1848 r. wybuch Wiosna Ludów. Pod jej wpływem na Węgrzech rozpoczyna się powstanie antyhabsburskie – to, w którym jednym z dowódców, do dzisiaj czczonych, jest Józef Bem. Powstanie zostaje jednak stłumione przez połączone siły austriackie i rosyjskie. Dopiero po kilkudziesięciu

latach, w roku 1867, zawarty zostaje kompromis austro-węgierski, wskutek którego Węgry stają się równoprawnym członkiem cesarstwa. Ten moment warto zapamiętać, bo kompromis z Wiedniem zostaje zawarty w momencie, gdy Polska odczuwa najgorsze skutki absurdałnego powstania styczniowego.

W pierwszej wojnie światowej państwa centralne przegrywają. W 1920 r. w Węgry uderzają dramatyczne skutki traktatu z Trianon: utrata dwóch trzecich terytorium i 57 proc. ludności. To również trzeba zapamiętać, ponieważ skutki Trianon odgrywają w węgierskiej polityce i myśleniu o sprawach zagranicznych dużą rolę do dzisiaj. I są to skutki bardzo konkretne: to duże węgierskie mniejszości mieszkające w Rumunii, na Słowacji i – co obecnie ma szczególne znaczenie – na Ukrainie.

Druga wojna światowa to realizowany bez entuzjazmu sojusz z Hitlerem, zakończony krótkimi rządami faszystowskich strzałokrzyżowców i dramatycznym oblężeniem Budapesztu przez Sowietów. Po wojnie Węgry lądują w obozie socjalistycznym.

Węgrzy uczyli się patrzeć na sprawy międzynarodowe z pozycji równoprawnych uczestników gry mocarstw

W 1956 r. wybuch bunt przeciwko sowieckim protektorom, w dużej mierze sprowokowany płynącymi z Radia Głos Ameryki zapewnieniami, że Zachód przyjdzie powstaniu z pomocą. Tak się oczywiście nie stało, zryw został utopiony we krwi i stłumiony sowieckimi czołgami. Krótkotrwały premier Imre Nagy został rozstrzelany. Uwolniony w czasie rewolucji z komunistycznego aresztu prymas József Mindszenty ukrył się w ambasadzie USA, gdzie przebywał aż do 1971 r., kiedy został zmuszony do emigracji. Na Węgrzech aż do 1989 r. żadnego buntu już nie było. Było natomiast mocno zakorzenione poczucie zdrady i ogromnych kosztów, poniesionych najpierw w powstaniu 1849 r., a potem w 1956 r.

Ludowej, a więc również do największej grupy politycznej w Parlamencie Europejskim (273 posłów), podczas gdy PiS był bezsilny w niewielkiej wówczas grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (57 posłów), do której zresztą należy do dzisiaj. Fidesz natomiast z EPP wyszedł w 2021 r. Obecnie jego posłowie w liczbie 10 należą do nowej grupy – Patrioci za Europą, wraz

■ Porównajmy to teraz z polską historią, bo to także część odpowiedzi na pytanie o powody braku „polskiego Orbána”. W XIX w. wybuchły dwa całkowicie nieskuteczne powstania, za które Polacy zapłacili gigantyczną cenę. Powstanie w roku 1863 zostało podniesione przez piłsudczykowską doktrynę do rangi absolutnego wzoru jedynie słusznego działania. Na nim wychowało się kolejne stracone pokolenie – to, które polscy przywódcy zdecydowali się spalić w Powstaniu Warszawskim, bezmyślnej i bezcelowej hekatombie miasta oraz ludzi. W czasie komunizmu były bunty lat 1956, 1968, 1970, wreszcie ruch Solidarności na początku lat 80.

Jeszcze raz trzeba podkreślić, jak fundamentalnie ważny był w losach i sposobie myślenia obu narodów i ich klas politycznych wiek XIX. Polacy w zaborze rosyjskim w roku 1863 zrywali się do kolejnego niemającego szans powodzenia absurdałnego powstania, które zniweczyło wszystkie zdobycze autonomii Królestwa Polskiego, a wzięło się ze wzajemnego nakręcania emocji przez różne środowiska polityczne, które rozpoczęły chory wyścig na radykalizm i zapalczywość. Następstwem była druzgocąca degradacja pozycji Królestwa Polskiego i Polaków. W tym samym okresie Węgrzy, jako cały naród, uczyli się patrzeć na sprawy międzynarodowe z pozycji równoprawnych uczestników wielkiej gry mocarstw, zajmując w cesarstwie miejsce obok Austriaków.

Co symboliczne, elementem kompromisu austro-węgierskiego była koronacja cesarza Franciszka Józefa na króla Węgier. I była to sytuacja kompletnie inna niż w przypadku Polski, gdzie formalnie car wskutek uzurpacji był także władcą Królestwa Polskiego. Węgrzy do koronacji austriackiego cesarza mieli stosunek entuzjastyczny, był to akt emancypacji ich kraju, a samo wydarzenie, które miało miejsce na Wzgórzu Zamkowym w kościele Najświętszej Marii Panny (zwanym kościołem Macieja), miało podniosły i bardzo uroczysty charakter. Muzykę koronacyjną skomponował sam Franciszek Liszt, cieszący się wśród rodaków ogromnym szacunkiem.

POLITYKA BEZ SENTYMENTÓW

Historia Węgier miała i ma ogromny wpływ na myślenie węgierskiej elity

Węgrzy są niejako „osobni” i muszą polegać sami na sobie, a więc dbać o własny interes, tak jak robią to największe mocarstwa

politycznej, w tym Viktora Orbána. Wynika z niej kilka podstawowych założeń. Po pierwsze – w polityce międzynarodowej nie ma sentymentów. Uleganie sentymentom i emocjom – jak w 1956 r. – prowadzi do przegranej i ogromnych kosztów. Konieczny jest twardy realizm. Po drugie – Węgrzy są niejako „osobni” i muszą polegać sami na sobie, a więc dbać o własny interes, tak jak robią to największe światowe mocarstwa, w tym USA. Wpływ na to przekonanie ma zapewne i to, że język węgierski jest wyjątkowy i niepodobny do żadnego innego na kontynencie (wbrew pozorom jest też kompletnie niezrozumiały dla Finów, choć wraz z fińskim należy do języków ugrofińskich). Po trzecie – trwa trauma Trianon, a z niej wynikają obowiązki państwa węgierskiego wobec potomków Węgrów, którzy nie ze swojej winy ponad 100 lat temu znaleźli się nagle poza granicami kraju. Szczególna uwaga po rozpoczęciu wojny na Ukrainie skupiła się oczywiście na węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu. Tu trzeba zaznaczyć, że troska Budapesztu o własnych obywateli żyjących na terenie dawnych Węgier jest nieporównywalnie większa niż dbałość Rzeczypospolitej o Polaków na dawnych Kresach.

Po 24 lutego 2022 r. zwłaszcza PiS dokonał zwrotu w swoim stosunku do Orbána i rządzonych przez niego Węgier. Politycy partii Jarosława Kaczyńskiego, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zerwali kontakty nie tylko z węgierskim rządem, lecz także z węgierską ambasadą. Dochodziło do sytuacji, gdy polskie służby, nadzorowane przez ministra Mariusza Kamińskiego, nie reagowały na fizyczne ataki na węgierską placówkę dyplomatyczną (m.in. oblanie jej czerwoną farbą).

Czy to infantylne obrażenie się na Węgry miało jakiegokolwiek racjonalne podstawy, zwłaszcza że przynajmniej na poziomie retorycznym w wielu spra-

wach, szczególnie dotyczących Unii Europejskiej, PiS i Fidesz mówiły podobnym głosem? Oczywiście – nie. Atak Rosji na Ukrainę nie zmienił bowiem w niczym zasad postępowania węgierskiego premiera. Tylko ktoś skrajnie naiwny i kompletnie nieznający polityki tego przywódcy mógłby uznać, że w takiej sytuacji zachowa się on inaczej. Polska strona tymczasem postępowała tak, jakby Węgry miały obowiązek – po pierwsze – skopiować polską politykę zagraniczną, choć mają inną sytuację surowcową, inne położenie, inne zależności i inne priorytety; po drugie – skopiować także naszą autodestruktywną tendencję do unoszenia się emocjami, rzucania wszystkiego na szalę i walczenia najpierw za kogoś, a potem dopiero ewentualnie za siebie. Dlaczego Viktor Orbán miałby się tak zachować? Trudno pojąć.

Orbán robił to, co zawsze: dbał przede wszystkim o interes Węgier i Węgrów, w tym tych mieszkających na Ukrainie, zagrożonych w wyniku wojny podwójnie. Raz – ewentualnymi atakami Rosji, dwa – koniecznością walki w szeregach ukraińskiej armii. Węgry, uzależnione bardziej niż Polska od dostarczanych z Rosji surowców, nie miały żadnego interesu w tym, aby wspierać, nakładane zresztą bez namysłu i głębszej analizy, sankcje na Rosję, ani nie mogły się od niej radykalnie odciąć. Jakie miałyby to konsekwencje, pokazuje obecna sytuacja, gdy Ukraina uczyniła wobec Budapesztu (i Bratysławy) wrogi ruch, odcinając tym krajom transfer płynącej przez jej terytorium rosyjskiej ropy. Na Węgrzech rosyjski surowiec odpowiada za dwie trzecie zaopatrzenia.

LEKCJE POLITYCZNEGO REALIZMU

Sposób widzenia przez węgierskiego premiera międzynarodowej rzeczywistości można poznać poprzez jego coroczne wystąpienia w szkole letniej Fideszu odbywającej się w Rumunii, w Siedmiogrodzie. Relacjonowaliśmy je wielokrotnie w tygodniku oraz na naszym portalu DoRzeczy.pl. Każde z nich jest lekcją politycznego realizmu, niespotykanego w głównym nurcie polskiej polityki.

Znamienne, jak przedstawiane są te wystąpienia w polskich mediach. „Orbán broni Putina”, „premier Węgier znów atakuje Ukrainę”, „Viktor Orbán rezonuje ro-

syjską propagandę". Za godną potępienia jest uznawana sama próba zrekonstruowania rosyjskich motywacji, co przecież jest podstawą przewidywania dalszego rozwoju wypadków. Za haniebne uznaje się w Polsce również to, że węgierski premier twierdzi, iż wojna powinna się jak najszybciej zakończyć. Odrzucana jest wcale przecież nie odkrywczą i obecna w zachodniej debacie niemal na zasadzie truizmu diagnoza Orbána, że wojna przedłuży się dłatego, że mają w tym interes jej prawdziwi uczestnicy, a więc USA i Rosja. Trudno się dziwić, że takie podejście w polskim głównym nurcie wywołuje wzburzenie, skoro nieakceptowana jest całkowita już oczywistość, iż mamy do czynienia z wojną zastępczą, w której Ukraina jest tylko pionkiem, a nie figurą.

Polskie rytualne potępienia pod adresem węgierskiego premiera są kopią takich samych oskarżeń rzucanych wobec tych komentatorów i polityków w naszym kraju, którzy starają się analizować sprawy na chłodno oraz śmiało twierdzić, podobnie jak węgierski premier, że w polskim interesie nie leży przedłużanie konfliktu. Rozlegający się w Polsce jazgot w odzewie na tezy Viktora Orbána jest o tyle absurdalny, że premier Węgier nie mówi niczego niesłychanego. W międzynarodowej debacie poglądy, które wyraża, pojawiają się regularnie. Spór o to, czy Ukraina ma szansę odzyskać swoje terytoria, jakim kosztem oraz jakie ryzyka są związane z przeciągającą się wojną, trwa od 2022 r., choćby na łamach i na portalu prestiżowego magazynu „Foreign Affairs”, przy czym nie pojawiają się w nim oskarżenia o to, że jedna ze stron – reprezentowana przez takie nazwiska jak John Mearsheimer, Samuel Charap, Richard Haas czy Charles Kupchan – to „ruskie onuce”.

MORALNOŚĆ A POLITYKA

Jeśli myślimy o „polskim Orbanie”, to nie chodzi przecież o to, żeby jeden do jednego powielić obecną węgierską politykę wobec Rosji czy Ukrainy, a nawet w innych dziedzinach. To byłby absurd – Polska ma swoje własne uwarunkowania. Chodzi o sposób widzenia międzynarodowej rzeczywistości i metody działania, które rządzą się kilkoma żelaznymi prawidłowościami. To m.in.

możliwość współpracy z każdym, z kim można coś ugrać, a więc granie nawet nie na dwóch fortepianach, ale na trzech i więcej. Viktor Orbán twardo targuje się z UE, na szali stawiając – znów ku oburzeniu Warszawy – kwestię wsparcia dla kolejnych sankcji wobec Rosji, ale w zamian wytargowuje ustępstwa, takie jak wyłączenie z zakazu importu rosyjskiej ropy. Jednocześnie, gdy trzeba, dba o obecność na Węgrzech niemieckich inwestycji. Z sukcesem rozmawia z Chinami, ściągając do swojego kraju inwestycje z Państwa Środka, w tym produkcję akumulatorów i przede wszystkim branżę motoryzacyjną w segmencie elektrycznym.

Jak przedstawiają tę współpracę polscy już nawet nie politycy czy komentatorzy, ale eksperci? Analiza tych relacji, opublikowana przez Ośrodek Studiów Wschodnich (w sprawie relacji z Rosją i Ukrainą zajmujący bardzo

Wyborcy w Polsce nie chcą, żeby politycy coś im załatwili, ale żeby głosując, można się było czuć moralnie lepszym

wyraźne proukraińskie stanowisko), zatytułowana jest: „Europejski przyczółek Chin. Niebezpieczne związki Budapesztu z Pekinem”. Na czym ma polegać niebezpieczeństwo wynikające z tego, że Węgry ugrywają sporo z relacjach z ChRL – właściwie z tekstu nie wynika. Autorki analizy powtarzają kilkakrotnie, że bliskie relacje z Pekinem „osłabiają pozycję polityczną” Węgier w UE i NATO. Na czym konkretnie to osłabienie polega i czym skutkuje, za bardzo się nie dowiadujemy. Można natomiast spokojnie założyć, że budapeszteński rząd ma dokładnie przeliczone korzyści i straty, które ewentualnie współpraca z Chinami może spowodować.

Znamienny jest jeszcze jeden aspekt poglądów Viktora Orbána – tych na los zachodniej cywilizacji i jej postępujący upadek (o tym węgierski premier mówił wiele podczas tegorocznej szkoły letniej). W Polsce ten wątek przez zwolenników obecnej władzy jest kwitowany prostac-

ko jako „rezonowanie rosyjskiej propagandy”. Lecz, co ciekawe, nie jest także zbyt entuzjastycznie podejmowany przez największą partię opozycyjną. Można to tłumaczyć na dwa sposoby. Pierwszy – że PiS obawia się oskarżeń o powielanie „propagandy Kremla”; dwa – że w istocie wielu jego polityków, by wskazać zwłaszcza byłego premiera Mateusza Morawieckiego, nie tylko nie podziela Orbánowej diagnozy, lecz także przeciwnie – swoimi działaniami w czasie sprawowania władzy wspiera taki właśnie kurs, który szef budapeszteńskiego rządu krytykuje.

Dlaczego więc w Polsce nie ma kogoś takiego jak Orbán? Brutalna odpowiedź jest prosta: ponieważ nie ma na niego zapotrzebowania. Większość polskich wyborców nie oczekuje od polityków polityki realnej, ale moralnej. Jedną z głównych kategorii, według których oceniani są politycy, jest postrzeganie ich wypowiedzi jako słusznych, a słuszność definiowana jest właśnie w kategoriach moralności, nie zaś skuteczności. Wyborcy w Polsce nie chcą, żeby polscy politycy coś im realnie załatwili, ale żeby głosując na nich, można się było czuć moralnie lepszym. Jeśli do tego dodamy, że jednym z naczelných „argumentów” w polskiej debacie – z obu stron – stało się argumentum ad Putinum, powielane kompletnie bezrozumnie, bezzasadnie i wplatane we wszelkie możliwe dziedzi-ny, z igrzyskami olimpijskimi włącznie, to widzimy, jaka przepaść dzieli politykę polską i węgierską.

Kilka miesięcy temu jeden z największych entuzjastów UE wśród polskich dziennikarzy, Jędrzej Bielecki, przeprowadził dla „Rzeczpospolitej” wywiad ze wspomnianym wyżej Péterem Magyarem. Jakież było rozczarowanie redaktora Bieleckiego, gdy w fundamentalnych sprawach, takich jak kwestia ukraińska, nowy lider węgierskiej opozycji w zasadzie powtórzył poglądy Viktora Orbána. To pokazuje, że mówimy tu nie tylko o opiniach jednego, choćby czołowego węgierskiego polityka, lecz także o wzorcach myślenia większości węgierskiej klasy politycznej.

Węgry są może małym narodem, ale ich spojrzenie na interes państwa oraz własną rację stanu jest wielokroć dojrzalsze niż nasze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rząd, dziel łupy i mów, co chcesz (na razie)



Rafał A. Ziemkiewicz

Kiedy Donald Tusk staje przed jakimś problemem, mówi cokolwiek – jak uczeń zmyślający powody spóźnienia. Jak długo będzie mu się to udawać?





FOT. JACEK JODANOWSKI/REPORTER

Zdrowy rozsądek mówi, że najnowsza opowieść Donalda Tuska: o 100 mld zł (prawie ćwierć rocznego budżetu państwa!) rzekomo ukradzionych przez PiS, które trzech jego ministrów z PO odzyska dzięki uroczyscie zawartemu pod okiem premiera międzyresortowemu „porozumieniu”, przekroczyła już wszelkie granice absurdu i picu. Można by długo rozbiierać tę narrację na składowe i pokazywać, jak na każdym poziomie oparta jest na zmyśleniach, manipulacjach, a głównie na oczywistych nonsensach. Niech się tym jednak zajmą inni, tutaj poszukajmy odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”.

Zdrowy rozsądek sobie, a Tusk musi mieć przecież swoje wyrachowanie, które zdecydowało, że wyprodukował tę opowieść i nagłośnił ją w czasie weekendowej newsowej flauty, kiedy całodobowe media informacyjne rzucają się ochoczo na każdy, najgłupszy nawet i najbliższy zainscenizowany dla nich „iwent”. Łatwo się tego wyrachowania domyślić: polityczne doświadczenie lidera PO nauczyło go, że wygadywanie oczywistych bzdur zawsze się opłaca i po prostu nie można w tym przesadzić.

Sto miliardów ukradli! To brzmi potężnie i tylko to się liczy. Podobnie potężnie wybrzmiało swego czasu: „sześćset tysięcy fałszywych wiz, sprzedanych na afrykańskich straganach”! Powtórzone wielokrotnie, zaagregowane w antypisowskich mediach, szeroko komentowane oskarżenie stało się podstawą powołania sejmowej komisji śledczej, z której prac wynikło, że nie żadne sześćset tysięcy, tylko dwieście kilkadziesiąt sztuk, i że nie chodziło o wizy fałszywe, tylko o łapówki za przyśpieszenie procedury ich przyznania. I co? I nic.

Kto dziś pamięta, jak premier Donald Tusk osobiście odwiedził wykonawców budowy Stadionu Narodowego, zaniepokojonych manewrami głównego inwestora, ewidentnie obliczonymi na to, by nie zapłacić im za wykonaną pracę, i jak uroczyscie zagwarantował im, że na pewno dostaną, co im się należy, on osobiście tego dopilnuje, tylko niech nie opóźniają tak ważnej dla kraju inwestycji? Oni sami zapewne tak, bo uwierzyli, nie zeszli z budowy, nie dostali należnych im pieniędzy i pobankrutowali. Ale czy kogokolwiek poza nimi obchodziło, co się

stało po tej apoteozowanej w mediach interwencji premiera?

KŁAMSTWO W ŻYWE OCZY

Można wyliczać w nieskończoność: inwestora z Kataru, który miał uratować przed zamknięciem polskie stocznie, wejście do strefy Euro do roku 2012 albo rzekomą zgodę na przymusową relokację podpisaną przez minister Annę Fotygę. Kiedy Tusk staje przed jakimś problemem, mówi cokolwiek – jak uczeń zmyślający powody spóźnienia. Zanim ludzie się ogarną, sprawdzą, stwierdzą, że to, co powiedział, zostało zmyślane na poczekaniu, on będzie już gdzie indziej.

Płot na granicy? Nigdy nie mówiłem, że ten płot nie powstanie. Kłamstwo najczystsze, dokładnie takie słowa Tuska zostały zapisane przez kamery telewizyjne – ale zanim ktoś zdąży „wygugłać” stosowne nagranie, media będą żyły już czymś innym.

Obiecaliśmy zamiast na TVP dawać pieniądze na onkologię i dotrzyмалиśmy słowa, przekazaliśmy je na onkologię. Kłamstwo bezczelne, w żywe oczy, ale wydruki długiej listy prasowych informa-

Polityczne doświadczenie lidera PO nauczyło go, że wygadywanie oczywistych bzdur zawsze się opłaca

cji o kolejnych setkach milionów przekazywanych przez rząd Tuska z rezerwy budżetowej na ratowanie post-TVP Syguta i Gorgosza nie przebijają się do świadomości widza i klikacza, których uwagę Tusk, jego podwładni i pracujący na nich aparat propagandowy skierowali już w inną stronę.

Zanim wyjdzie na jaw bzdurność oskarżeń o powiązania PiS z Putinem, na tapecie już są rzekome przesładowania uchodźców, zanim do ludzi dotrze, że w białowieskich lasach nie ma żadnych masowych grobów zamordowanych przez „pisowską” Straż Graniczną „uchodźców”, tefaleny nakręca emocje wokół „rejestrucią”, by zaraz wygasic je inną „wrzutką”.

Tusk doprowadził zonglowanie kłamstwami i przykrywanie jednych

■ drugimi do takiej perfekcji, że ogłupiały elektorat nie pamięta już niczego, może tylko w „pisowskich” mediach przypomną czasem, że gdyby Tusk był dziś premierem, to benzyna kosztowałaby 5,19 zł, a rachunki za prąd i gaz byłyby o połowę niższe – ale i one wciągane są w prostowanie coraz to nowych „narracji” Tuska na tyle skutecznie, że nie mają już miejsca i mocy przerobowych domagać się jakiegokolwiek ciągu dalszego którejkolwiek z narracji poprzednich.

POSTPOLITYKA

To nie jest polska specyfika – w całym zachodnim świecie mówi się dziś o „postpolityce”. Grający grubymi emocjami showman Trump bez trudu znokautował w prawyborach mającego realne, wybitne osiągnięcia gubernatora Florydy, który w czasach – nazwijmy to – przed-smartfonowych byłby murowanym faworytem. Niemogąca się wykazać żadnymi dokonaniem, ale dostarczająca bezliku malowniczych gaf i memów Kamala Harris uwiodła wyborców demokratów swym niemądrym śmiechem, który w tychże przedsmartfonowych czasach zamknąłby jej raz na zawsze drogę do poważnej kariery...

Ideał demokracji jako rządów świadomych swych praw i interesów, „upodmiotowionych” obywateli, tworzących zbiorowość zdolną odpowiadać za wspólne dobro, nie wytrzymał zmian w komunikacji społecznej, zapoczątkowanych wypieraniem słowa drukowanego przez telewizyjny obraz, a przypieczętowanych upowszechnieniem mediów społecznościowych. Wtrąciły one społeczeństwa Zachodu w stan podobny do tego, który Bronisław Malinowski opisał jako charakterystyczny dla ludów prymitywnych: życia w „wiecznym teraz”.

Ogromna, stale rosnąca, być może już dominująca część społeczeństw zachodnich zatraciła w zachowaniach zbiorowych cechę, która w czasach Malinowskiego uchodziła za podstawową różnicę pomiędzy ludźmi cywilizowanymi a dzikimi: zdolność linearnego myślenia. Świadomość, że to, co jest teraz, wynika z tego, co było kiedyś – a z kolei z tego, co robimy teraz, wyniknie taka lub inna przyszłość. Migające obrazki i krótkie jak slogany reklamowe hasła, które zdominowały debatę publiczną, prze-

noszą emocje związane z chwilą obecną – w dodatku przynoszą nieznosny natłok tych emocji.

Człowiek współczesny, a zwłaszcza mieszkaniowiec Zachodu, żyje w nieustającej kakofonii, w hałasie i przebodźcowaniu. Stąd stopniowe odbieranie znaczenia mediom tradycyjnym przez media społecznościowe, które zaoferowały mu ucieczkę od spowodowanego tym dyskomfortu – ale jest to przysłowio- wa ucieczka z deszczu pod rynnę, bo zasadą ich działania jest izolowanie nie tyle od nadmiaru emocji, ile od emocji niezgodnych z oczekiwaniami. Algoritmy zarządzające tym służą jednemu celowi: skłonić użytkownika do konsumowania jeszcze większych emocji, wedle zasady „więcej tego samego”, więcej tego, co zostało stwierdzone przez algorytm jako bodziec pobudzający danego osobnika do aktywności – odpisywania, podawania, lajkowania. W efekcie zamykają ludzi w plemiennych bańkach informacyjnych; naukowcy nazywają to „efektem trybalizacji”. Trybalizacja w połączeniu z „wiecznym teraz” sprawia zaś, że logika przyczyny i skutku zostaje skutecznie odwrócona.

GŁOSOWAĆ I WIERZYĆ

Wracając do naszych polskich spraw: wyborcy Tuska nie dlatego na niego głosują, że PiS sprzedawał na targowiskach fałszywe wizy, mordował dziki i uchodźców, wycinał drzewa, truł ryby rtęcią albo, teraz, ukradł 100 mld. Oni wierzą w to wszystko dlatego, że głosują na Tuska. Jeśli więc za rządów Tuska śnięte ryby wypływają nie rzadziej niż wcześniej, wizy rozdaje się nie mniej hojnie i kradnie nie mniej intensywnie, a „uchodźcy” nagle przestają być biednymi kobietami i dziećmi, tylko wyszkolonymi w Moskwie bandytami, to nie ma żadnego powodu, by elektorat Tuska poczuł się oszukany i przestał na niego głosować, jak oczekują tego ludzie wciąż myślący w sposób linearny.

Nie sądzę, żeby Tusk miał świadomość socjologicznych prawidłowości zmieniających świat. On po prostu wy-czuł, że ludzie, na których się opiera, nie oczekują od niego konsekwencji, ciągów dalszych, logiki ani prawdopodobności – oczekują nieustającego podtrzymywania emocji, która ich napędza. Tą emocją

jest poczucie wyższości nad tymi, którzy nie należą do ich plemienia, potrzeba symbolicznego dominowania nad nim, potrzeba życia w poczuciu, że dzięki Tuskowi „nam” żyje się lepiej niż „im”, a przynajmniej – że „im” żyje się gorzej. Szef IBRiS, Marcin Duma, mówił o tym stosunkowo niedawno, tyle że innymi słowami, omawiając wyniki badań foku-sowych elektoratu popierającego rząd, w rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim na portalu (o dziwo) Gazeta.pl.

Czy zręczność, z jaką nauczył się Tusk korzystać z tej, najuprzejmiej mówiąc, nielinearności myślenia, cechującej jego społeczną „bazę”, oznacza, że wynalazł polityczne perpetuum mobile? Bynajmniej. Żonglując swoimi kłamstwami, wrzutkami i przykrywkami, z każdą kolejną sztuczką wzmacnia oczekiwanie, których nie może realnie zaspokoić. Skupia się na agregowaniu nienawiści do pisowców i rozliczeniach, bo wie, że tego właśnie jego plemię po swoim wodzu oczekuje: nie tylko z przyczyn uczuciowych, „elity” okłaskujące PO czynią to z podobnych powodów, dla których w czasach PRL „marcowi docenci” gorliwie okłaskiwali Gomułkę zapowiadającego rozliczenia z „syjonistami”. Mówiąc krótko, chodzi nie tylko o pogrzebienie pogardzanego „pisowskiego ludu”, lecz także o łupy. Przecież – jak mówił Lejzor Rojtszwaniec – skoro wyrzucają, to będą zatrudniać, skoro zamykają, to będą zwalniać. Im więcej Tusk obiecuje swoim zwolennikom wyrzucania i zamykania pisowców, tym mocniejszy rozbudza w nich głód na stołki po wyrzucanych i własną bezkarność. Dodajmy, że poza plemieniem rozbudza także emocje niechęci i wrogości wobec swojej, coraz bezczelniej się rozpychającej formacji.

Problemem Tuska jest to, że doprowadził do perfekcji snucie przed swym plemieniem miraży, co niebawem nastąpi – ale nie jest w stanie mu realnych rozliczeń ani realnych łupów dostarczyć. Dlatego musi żonglować coraz szybciej i coraz grubszymi oskarżeniami. Ucieka przed emocjami, które stale potęguje, niczym bohater kreskówki przed toczącą się za nim, wciąż rosnącą i przyspieszającą śnieżną kulą. Ciekawe, jak długo jeszcze będzie mu się to udawać?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ponownie wykonana analiza materiału dowodowego oraz zarzutów aktu oskarżenia doprowadziła do wniosku, że oskarżeni korzystali z prawa do wolności wypowiedzi, gwarantowanej wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej” – podała w komunikacie gdańska prokuratura regionalna. Pod koniec lipca ogłosiła wycofanie aktu oskarżenia przeciwko Adamowi Darskiemu ps. Nergal (sprawa dotyczy także dwóch innych członków zespołu Behemot).

Chodzi o wydarzenia z jesieni 2016 r., kiedy to grupa Darskiego odbywała trasę koncertową pod hasłem „Rzeczpospolita Niewierna”. „Na plakacie promującym tę trasę został przedstawiony biały orzeł bez korony. Zamiast niej z głowy ptaka wyrastały diabelskie rogi. W postaci orła były wpisane dwa węże oraz czaszki i odwrócony krzyż, a cała grafika była umieszczona na czerwonym tle” – opisywała prokuratura. „Nergal” i dwóch jego kolegów zostali oskarżeni o publiczne znieważenie godła RP. Zrobili to, „wprowadzając do wzoru elementy i symbole kojarzone jako satanistyczne i antychrześcijańskie celem nadania wizerunkowi Godła Rzeczypospolitej Polskiej i Orła Białego treści ideowej całkowicie różnej od właściwej mu historyczno-państwowej, a nawiązującej do ideologii satanizmu, dążąc tym samym do sprowadzenia znaku polski do symbolu satanistycznego zła”.

Teraz jednak prokuratura uznała, po ponownej analizie materiałów dowodowych, że muzycy korzystali z prawa do wolności wypowiedzi. Prokuratura podpierza się orzecznictwem ETPCz. „Ugruntowana linia orzecznicza Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wskazuje, że prawo swobody wypowiedzi zezwala każdemu obywatelowi na głoszenie nie tylko takich poglądów, które z uwagi na ich treść i formę są odbierane przychylnie lub neutralnie, lecz także na głoszenie takiego przekazu, który część społeczeństwa może oburzać, razić czy wręcz niepokoić i prowokować do dyskusji” – podano.

Wcześniej, w maju, sąd warunkowo umorzył wobec Darskiego postępowanie karne na okres dwóch lat i zobowiązał go do zapłaty świadczenia pieniężnego

Bezkarność plus



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

W Polsce współrządzanej przez Adama Bodnara nie mają czego się obawiać ci, których sprawy w sądach, prokuraturach i pod auspicjami służb specjalnych ruszyły przed 15 października. Trwa wielkie umarzanie

w kwocie 2 tys. zł. Jednocześnie został on uznany winnym obrazy uczuć religijnych. Zarzuty dotyczyły nagrania z 2018 r., na którym „Nergal” w wulgarny sposób, pod pozorem składania życzeń na Dzień Kobiet, znieważał wizerunek Jezusa. Biorący udział w sprawie po stronie skarżących (wśród nich europoseł PiS Dominika Tarczyńskiego) prawnicy z Instytutu Ordo Iuris zapowiedzieli apelację od wyroku, ponieważ „warunkowe umorzenie postępowania – w stanie faktycznym sprawy – jest niezasadne”.

Przykład Adama Darskiego dobrze obrazuje zjawisko, które przybiera na sile od czasu przejęcia władzy przez ekipę Donalda Tuska. Osoby publiczne – wśród nich politycy, przeciw którym postępowania ruszyły w poprzednich latach – dziś są oczyszczane z zarzutów, a sprawy się umarza. – Nie dziękujemy Bogu, nie dziękujemy polskiemu Kościołowi katolickiemu. Wiecie, co PiS, i wiecie, co Konfederację. Wszystkiego dobrego. Dziękujemy bardzo – mówił Darski w kwietniu 2023 r. podczas gali

wręczenia muzycznych nagród Fryderyk. Wcześniej, w 2020 r., „Nergal” się żalił, że „bywa ofiarą systemu”. – Mam dużo wątpliwości z tym, co się dzieje w Polsce od kilku lat. Często bywam ofiarą systemu, którego wszyscy jesteśmy ofiarami – czy jesteśmy tego świadomi czy nie. Mówię o władzy partii rządzącej. Moje rozprawy sądowe zostały odroczone, ale one trwają i one też są pokłosiem jakiegoś stanu psychicznego, który coraz bardziej zatruwa nasze głowy. Jesteśmy ofiarami propagandy i ciężko się w tym połapać – wskazywał. No cóż, dzisiaj Darski może spać spokojnie. Za profanowanie symboli religijnych i państwowych z pewnością nikt nie pociągnie go do odpowiedzialności.

OCHOJSKA I MASOWE GROBY

Konsekwencji prawnych nie musi się obawiać także była europoseł wybrana z list KO – Janina Ochojska. Znana z głoszenia skrajnie absurdalnych tez o kryzysie na granicy polsko-białoruskiej wiosną 2023 r. posunęła się do sugestii, **■**

■ jakoby leśnicy brali udział w potajemnym grzebaniu ciał migrantów. Twierdziła, że łącznie ok. 300 osób zaginęło przy polskiej granicy, a ich zwłoki wrzucono do masowego grobu.

– Przypuszczam, że w lesie są jeszcze ciała, ale być może część z nich została po prostu uprzątnięta. Dlaczego tak sądzę? Był taki moment, kiedy powołano leśników z całego kraju. Po co? Przecież nie po to, żeby pomogli puszczyc w trudnym momencie. Ale po coś ich zwołano – wskazywała Ochojska, dodając, że „gdyby była taką władzą, jaką mamy teraz, to też by tak zrobiła, żeby dowody uprzątnąć”. Zaznaczyła, że „to nie jest oskarżenie, to jest przypuszczenie, co mogło się stać”.

Później próbowała się tłumaczyć, ale bardzo nieudolnie. – Jeśli chodzi o groby, to ja rzeczywiście wyraziłam się tak skrótowo. Po prostu mam na myśli to, że być może gdzieś jakieś zwłoki są zakopane – brnęła europoseł. Dopytywana, czy są na to dowody, przyznała, że nie ma. „Kłamała, nie przeprosiła. Złapana na kłamstwie, nie przeprosiła. Przyznała się do kłamstwa, nie przeprosiła. Zachowanie nikczemne, ale jest wierna – Donald Tusk będzie jej bronił...” – skomentował ówczesny minister sprawiedliwości, Zbigniew Ziobro.

Polskie media żyły sprawą przez dobrych kilka dni. Śledztwo w sprawie pomówienia Lasów Państwowych i leśników wszczęła wtedy na polecenie prokuratora generalnego Prokuratura Okręgowa w Warszawie. W lutym tego roku postępowanie zostało umorzone. „Zdecydowały nie argumenty merytoryczne, ale formalne. Stało się tak po przesłuchaniu w charakterze świadka nowego dyrektora Lasów Państwowych, Witolda Kossa, który oświadczył, że »odstępuje od oskarżenia«” – podał serwis Rp.pl. Rzecznik warszawskiej prokuratury okręgowej przekazał, że „w przypadku przestępstw prywatnoskargowych podstawą ingerencji prokuratora jest istnienie interesu społecznego w ściganiu publicznym, przy czym ten interes ma mieć charakter obiektywny”. Uznano, że Lasy Państwowe nie potrzebują wsparcia prokuratury, by ścigać Ochojską za pomówienia. Witold Koss to szef Lasów Państwowych z nadania nowej władzy. Jedną z jego pierwszych decyzji było przeprowadzenie audytu w instytucji, obejmującego lata 2015–2023.



Muzyk Adam Darski ps. Nergal nie zostanie ukarany za znieważenie godła

FOT. ADAM WARZAWA/PAP

Wyciągnięcia konsekwencji wobec byłej europoseł leśnicy domagają się na własną rękę. Trwa postępowanie z prywatnego aktu oskarżenia. Zainicjowano też postępowanie cywilne – pozew o ochronę dóbr osobistych wraz z wnioskiem o zabezpieczenie roszczenia. Jednak Lasy Państwowe, jako instytucja, dają Ochojskiej spokój.

Nie było tajemnicą, że kolejne wypowiedzi założycielki PAH były na tyle niemądre i szkodliwe politycznie, że drażniły już nawet Donalda Tuska. Jednak tuż po wygranych przez koalicję wyborach z 15 października europoseł dała dowód lojalności wobec całego środowiska anty-PiS. „Pomysł mi się bardzo podoba. Będzie przypominać nie tylko ten ważny dzień w historii Polski, ale pozwoli pamiętać o zobowiązaniach, jakie podjęliśmy wobec całego Narodu. Temat podjęto już sporo moich przyjaciół, nawet jeżeli nie będzie to oficjalne państwowe Święto Dziękczynienia” – entuzjastycznie się Ochojska na portalu X. Do wpisu dołączyła zdjęcie pieczonej kaczki z napisem: „15 X, Narodowy

Dzień Dziękczynienia, Cały Naród piecze Kaczkę” – to nawiązanie do nazwiska prezesa PiS.

CIMOSZEWICZ I NIESIOŁOWSKI

Spokój ma też inny były europoseł KO, Włodzimierz Cimoszewicz. W marcu ruszył proces byłego premiera, w którym został on oskarżony o spowodowanie wypadku i ucieczkę z miejsca zdarzenia. Do zdarzenia doszło w maju 2019 r. w Hajnówce. Z aktu oskarżenia wynika, że potrącona przez Cimoszewicza 70-letnia rowerzystka miała złamaną kość podudzia, otarcia twarzy i dłoni. Prokurator domagał się pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata, trzyletniego zakazu prowadzenia pojazdów oraz 10 tys. zł nawiązki i 10 tys. zł zadośćuczynienia. Obrońca polityka wnioskował o uniewinnienie.

W czerwcu Sąd Rejonowy w Hajnówce uniewinnił Włodzimierza Cimoszewicza od zarzutu potrącenia rowerzystki. Z kolei sprawa ucieczki z miejsca wypadku – zagrożona karą więzienia – została umorzona z powodu przedawnienia.



usług seksualnych. Materiał dowodowy został zgromadzony m.in. dzięki podsłuchom, obserwacji i zeznaniom świadków. We wrześniu 2023 r. Niesiołowski został uniewinniony przez Sąd Okręgowy w Łodzi. „Dzisiaj Sąd Okręgowy w Łodzi utrzymał w mocy wyrok Sadu Rejonowego z 20.06.2023 uniewinniający Stefana Niesiołowskiego. Wyrok jest prawomocny. Wszystkie zarzuty okazały się nic niewarte. Porażka Ziobry, Jarosława Kaczyńskiego i Prokuratury Krajowej, która złożyła apelację” – ogłosił wtedy pełnomocnik polityka Ryszard Kalisz (który dziś zasiada w PKW i współdecyduje o przyszłości wielomilionowej subwencji Prawa i Sprawiedliwości). W sierpniu Sąd Najwyższy oddalił kasację prokuratury w tej sprawie jako bezzasadną. SN uznał, że działania Niesiołowskiego nie miały nic wspólnego z pełnieniem mandatu posła – nie doszło do popełnienia łapownictwa przez osobę pełniącą funkcję publiczną.

LISTA SPRAW DO ZAKOŃCZENIA

Dojście do władzy ludzi Donalda Tuska i obsadzenie w fotelu ministra sprawiedliwości Adama Bodnara wzbudziło nadzieje w środowisku otwarcie wrogiej wobec prawicy i konserwatystów fundacji Otwarty Dialog. W lutym fundacja ta zaapelowała (apel podpisało wiele innych organizacji, a także były prezydent Lech Wałęsa) do szefa MS w zakresie spraw wszczętych przez prokuraturę w latach 2015–2023 wobec „przeciwników ówczesnej władzy”. Wyrażono oczekiwanie, że „w przypadku śledztw, w których stwierdzone zostanie tzw. uzasadnione podejrzenie braku wystarczających podstaw oskarżenia, niezależni prokuratorzy podejmą odpowiednie kroki w kierunku ich zakończenia”. Obok umorzenia postępowań niepoprawnych politycznie przedstawiciele Otwartego Dialogu domagali się „pociągnięcia do odpowiedzialności prokuratorów i funkcjonariuszy odpowiedzialnych za nadużycia”.

Aby ministrowi Bodnarowi umarzenie szło sprawniej, FOD przygotowała wstępną listę spraw, które należało zakończyć. Wskazano m.in. na postępowania dotyczące aktywistek biorących udział w protestach proaborcyjnych, które podczas manifestacji łamały

prawo, czy działaczy wspierających proceder nielegalnej migracji przy granicy z Białorusią. Wygląda na to, że apel FOD poskutkował. Niedawno Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zdecydowała, że szefowa fundacji Otwarty Dialog, Ludmiła Kozłowska, nie jest już osobą niepożądaną w Polsce. ABW stwierdziła, że nie ma informacji wskazujących na to, iż jej pobyt zagrażałby bezpieczeństwu naszego państwa. Mianowany w kwietniu przez premiera Tuska szef Urzędu do Spraw Cudzoziemców, Tomasz Cytrynowicz, wydał w czerwcu zaświadczenie, że dane osobowe Kozłowskiej „nie figurują w wykazie cudzoziemców, których pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest niepożądany, i w systemie informacyjnym Schengen z polskiego wpisu do celów odmowy wjazdu i pobytu na terytorium państw obszaru Schengen”.

Lasy Państwowe nie będą ścigać Janiny Ochojskiej za niemądre wypowiedzi o grobach uchodźców

Opinię zalecającą wpisanie Kozłowskiej, obywatelki Ukrainy, na listę osób niepożądanych na terytorium RP i Schengen ABW wydała w sierpniu 2018 r. Podstawą były wątpliwości dotyczące finansowania fundacji Otwarty Dialog. Mąż Kozłowskiej, Bartosz Kramek, to autor instrukcji pt. „Niech państwo stanie: wyłączmy rząd!”. W 2017 r., podczas dużych protestów przeciw reformie sądownictwa, Kramek jako przewodniczący rady fundacji Otwarty Dialog pisał, że „protesty są podstawą oporu społecznego, ale nie wyczerpują katalogu instrumentów, których zastosowanie zwiększa skuteczność obywatelskiego nieposłuszeństwa”. Przekonywał, że „radikalne metody oporu z krajów wschodnich usprawiedliwiają wyjątkowe w historii III RP okoliczności”. Mąż Kozłowskiej, krytykując PiS, podkreślał, że „władza, która przeprowadza destrukcję życia publicznego i ustroju państwa w stylu wschodnim, musi się liczyć z adekwatną i analogicznie inspirowaną reakcją społeczeństwa”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Włodzimierza Cimoszewicza ze Stefanem Niesiołowskim łączą przynajmniej dwa wątki – obaj wchodzi w skład Komitetu Wspierania Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie i obaj po decyzji sądu w swoich sprawach mogą odetchnąć z ulgą. „Sąd Najwyższy odrzucił wniosek pisowskich prokuratorów (Barski i spółka) o ponowny proces. Ostatecznie zostałem oczyszczony z wszystkich zarzutów w wymyślonej przez PiS aferze. A tak szczeni pisowcy, aby mnie opłuć i zniszczyć. Nie udało się kanale Kaczyński, Kamiński itd.” – triumfował na początku sierpnia wieloletni poseł i senator Stefan Niesiołowski.

Wszystko zaczęło się w 2019 r., gdy CBA poinformowało o zatrzymaniu osób, które miały korumpować byłego posła. Przekazano, że prokurator generalny (wtedy Zbigniew Ziobro) przesłał do marszałka Sejmu wniosek o wyrażenie zgody na pociągnięcie posła do odpowiedzialności karnej. Niesiołowski miał przyjmować „korzyści osobiste w związku z pełnieniem funkcji publicznych”. Łapówki miał przyjmować w postaci

RYSZARD GROMADZKI: Z opublikowanego w lipcu raportu sojuszu północnoatlantyckiego wynika, że Polska posiada najliczniejszą po USA i Turcji armię w NATO. W raporcie wyliczono, że w jej skład wchodzi ponad 216 tys. żołnierzy. Brzmi nieźle. Ale jak ta liczba przekłada się na rzeczywisty potencjał Wojska Polskiego?

JACEK HOGA: Po pierwsze, ta liczba jest pomieszaniem pojęć, bo nie jest to liczba planowana na czas wojny ani nie jest to liczba czasu pokoju zgodnie z klasyczną metodyką liczenia. Wlicza się tam np. studentów szkół wojskowych. Liczebność polskiej armii jest rzeczywiście większa niż pięć lat temu. Trzeba jednak pamiętać, że sama liczba bez opisu nic nie znaczy. Według wszystkich analiz, niezależnie, czy będą to współczesne analizy czy sprzed 150 lat, wynika, że do działań pierwszoliniowych nadają się mężczyźni poniżej 35. roku życia. Sytuacja, w której 44-letnie panie wciągane są do aktywnej rezerwy po dobrowolnej zasadniczej służbie wojskowej, a ich komentarze są takie, że chciałyby coś zmienić w swoim życiu, skłania do wniosku, że liczba, którą pan przywołał, jest po prostu niemiernodajna.

FOT. ANDRZEJ STOK



Jakim realnym potencjałem dysponuje wobec tego Wojsko Polskie w sierpniu 2024 r.?

To jest bardzo trudne do określenia z kilku powodów. Po pierwsze, mamy bardzo duże zamówienia, określmy je jako alarmowe, typowo przedwojenne. Takie, jakie mieliśmy w 1939 r., kiedy kupowaliśmy brytyjskie myśliwce, które już do nas nie dopłynęły, czy francuskie czołgi, do których nie mieliśmy logistyki. Nie mieliśmy logistyki do swoich czołgów, w związku z czym nasze czołgi w czasie kampanii wrześniowej wchodziły w skład jednostek jednorazowego użytku. Być może to samo grozi dziś jednostkom, które mają na wyposażeniu południowokoreańskie czołgi K2 czy amerykańskie abramsy. Nie prowadzimy poważnych zgrupowań szkoleniowych.

Mówi pan o manewrach z prawdziwego zdarzenia...

Dokładnie. Od ponad 20 lat nie odbyły się manewry, podczas których wyprowadzilibyśmy na ćwiczenia brygadę w etacie wojennym. Zważywszy na to, że w czasie pokoju brygady mają zwinięte pododdziały kontroli ruchu, logistyki, remontowe czy pododdziały medyczne, w związku z czym



Z Jackiem Hogą, prezesem fundacji Ad Arma rozmawia Ryszard Gromadzki.

Ani silni, ani zwarcii, ani gotowi

nie ćwiczymy kluczowego zachowania gotowości bojowej na froncie. W efekcie nie wiemy, jak to będzie działać. Ba, nie ćwiczymy nawet przemarszu brygady, nie wspomnę już o dywizji, co samo w sobie byłoby już dużym szkoleniem. Jest to bardzo duży problem. Można by powiedzieć, że polskie wojsko jest dziś armią okresu przejściowego pomiędzy armią saską czy armią pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta a armią okresu krótko przed wojną w obronie Konstytucji 3 maja. Mamy już aukcję wojska, wiemy, że trzeba zamawiać broń, ale nie mamy własnych zakładów zbrojeniowych, które zniszczyliśmy w ciągu ostatnich 30 lat, w związku z czym nasza logistyka jest całkowicie oparta na sojusznikach.

Z całym rejestrem ryzyk, które wynikają z tego faktu.

Oczywiście, że tak. W efekcie mamy niepozgrywane pododdziały, mamy brygady, które nigdy nie ćwiczyły w swoich etatach wojennych. Mamy sztaby, które ćwiczą wyłącznie na papierze, a nie zarządzają swoimi brygadami podczas ćwiczeń na poligonach. To jest tak, jak byśmy uczyli się obsługi telefonu komórkowego albo prowadzenia samochodu z notatek i w teorii, ale to jeszcze nie jest umiejętność prowadzenia samochodu czy używania telefonu komórkowego.

Diagnoza zdolności działania polskiej armii, którą pan postawił, jest dramatyczna. Potrzebujemy kupić czas, żeby to naprawić? A może decydujące są zupełnie inne powody?

To nie jest tylko kwestia czasu, ale tego, że źle inwestujemy. Debata publiczna dotycząca rozumienia spraw wojskowych w ciągu ostatnich pięciu lata bardzo się posunęła. Mówienie o gotowości nie jest dziś taką nowością jak jeszcze pięć lat temu. Problemem jest sama gotowość. Kolejnym problemem jest całkowite nierozpoznanie potrzeb w zakresie wieku i płci żołnierzy. Ostatnia kwestia jest „na ślepo” przyjmowana od sojusznika, który jest w wielkim kryzysie pod tym względem. W ogóle nie bierzemy pod uwagę realiów, które panują podczas wojny na Ukrainie, gdzie konia z rzędem temu, kto zobaczy masowy, a nie symboliczny udział kobiet w działaniach bojowych, obojętnie, czy to po stronie rosyjskiej czy ukraińskiej. Jednym z największych problemów,

z którym boryka się armia ukraińska, jest średnia wieku żołnierzy ukraińskich. Tymczasem szef naszego Sztabu Generalnego mówił w tym roku, że ma taki świetny pomysł, żeby mobilizować ludzi głównie po czterdziestce, co pozwoli nie marnować młodych ludzi na wojnie. To znaczy raz, że gotowy jest użyć na wojnie ludzi, którzy nie są w optymalnym wieku, żeby wykonać obowiązki żołnierza. Dwa: jest gotowy, żeby znokautować gospodarke i rodziny. Dwudziestolatek, który zginie na wojnie, nie jest tak dotkliwą stratą, jakkolwiek to strasznie brzmi, dla społeczeństwa czy rodziny jak zabity człowiek, który utrzymywał kilkuosobową rodzinę. Tych kilka osób będzie później obciążeniem społecznym i finansowym dla całego państwa.

Chce pan powiedzieć, że nie wyciągamy właściwych wniosków z wojny, która toczy się na Ukrainie?

Tak. Analizujemy to na, powiedziałbym, modelarskim poziomie. To, co było w Polsce zawsze modne, kiedy mówiło się o wojsku, i było udziałem wielu młodych mężczyzn, to rodzaj sprzętu bojowego i tego typu rzeczy. Nie gotowość czy logistyka, bo to rzeczy zbyt nudne, żeby się nimi zajmować. A nawet z tej perspektywy „modelarskiej” cała Polska nabijała się z charakterystycznych klatek na czołgach rosyjskich, ale kiedy armia izraelska zaczęła robić dokładnie to samo, to już się nie śmialiśmy, bo nie wypada. Natomiast sami w ogóle nie myślimy, w jaki sposób zabezpieczać nasze wozy bojowe przed dronami. Mamy poza jedną modną firmą wiele innych, jednak zamówień czy nawet konsultacji brak. Tymczasem używanie dronów i walka radioelektroniczna to są rzeczy, które polscy żołnierze widzieli tylko na obrazkach albo na YouTube.

Wojna na Ukrainie pokazuje, że wykorzystanie dronów i walka radioelektroniczna mają miejsce na niespotykaną wcześniej skalę...

Tak, choć nie jest to rzecz, która całkowicie zmienia rzeczywistość wojny. To bardzo przydatne narzędzia na polu walki. Jednak jeśli jedna strona będzie ich używać, a druga nie, to będzie to skutkowało bardzo dużą nierównowagą w zdolnościach bojowych. To jest problem, który publicznie został zaadresowany

kilka miesięcy temu przez Ministerstwo Obrony Narodowej, które zadeklarowało, że nie planuje do masowego użycia małych dronów rozpoznawczych czy dronów samobójczych... Tego typu drony jest w stanie produkować przynajmniej kilka polskich firm, ale ze względu na politykę rządu PiS, który uparł się, że w polskich prywatnych firmach nie będzie nic kupował, mamy całkowitą stagnację na tym polu. Firmy, które miały zdolności, które produkowały tego typu sprzęt, rozmawiają ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi czy innymi państwami NATO, ale drzwi MON są dla nich zamknięte. Zobaczmy, czy w tej kwestii coś zmieni się w najbliższych miesiącach.

Powiedział pan, że źle inwestujemy, jeśli chodzi o zakup uzbrojenia. Jakie zakupy dla polskiej armii uważa pan za chybione?

Przykładem całkowicie błędnej alokacji gigantycznych pieniędzy, przynajmniej dziś tak się wydaje, jest zakup prawie 100 śmigłowców szturmowych Apache, o których sami Amerykanie mówią – to są wypowiedzi amerykańskich generałów podczas przesłuchań przed komisjami Kongresu – że ich użycie na polu walki jest zbyt niebezpieczne, i rekomendują, żeby przejść na drony rozpoznawcze i drony szturmowe, które są wielokrotnie tańsze i nie ryzykuje się przy tym życia załóg. Mając do wyboru pójście drogą Ukrainy i Rosji, które zainwestowały w lekkie drony rozpoznawcze i lekkie drony szturmowe, samobójcze, które mają prostą logistykę, są proste w obsłudze, są tanie, zainwestowaliśmy w coś, co jest stare i od czego kraj – producent – odchodzi.

W całej tej szerokiej palecie zakupów zbrojeniowych, które realizuje polskie wojsko, widzi pan pozycje, sprzęt, o którym można powiedzieć, że to dobrze wydane pieniądze?

Jest oczywiście, że zakup nowych czołgów był potrzebny i niezbędny. Podobnie jak zakup haubic. Natomiast sposób, w jaki tego dokonano, jest niepokojący. Już początek pierwszej kadencji rządów PiS upłynął pod znakiem wzmocnienia obronności, wtedy mieliśmy czas. Wtedy jeszcze Bumar-Łabędy miały zdolność produkcji czołgów, można było ją wznowić. Ten zakład został zniszczony przez PiS, to jest rzecz moim zdaniem ocierająca się wręcz o kryminal. Jak pamiętam,

■ w osobistej rozmowie pan Jach, wówczas przewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej, powiedział mi, że rząd postanowił inwestować w produkcję w zmodernizowaną wersję czołgu PT-91, a nie w K2, ponieważ stworzenie zdolności produkcyjnych czołgu K2 zajęłoby pięć lat. Pięć lat później rząd PiS zamówił w Korei czołgi K2. Zmarnowali pięć lat! Przez te pięć lat rząd „dobrej zmiany” nie zrobił nic w kierunku zakupu nowych czołgów.

To pokazuje całkowitą niespójność polityki obronnej PiS. Ktoś może się zdziwić, dlaczego mówię w tej chwili krytycznie o PiS, a nie o aktualnie rządzących. Po pierwsze, PiS rządził osiem lat, a decyzje dotyczące obronności mają długofalowy charakter, ich konsekwencje i skutki widać po latach. Po drugie, obecny rząd „uśmiechniętej Polski” nie jest w niczym lepszy. Zresztą szef MON mówił publicznie, że w obszarze obronności będzie pełna kontynuacja. No i jest pełna kontynuacja. Mamy prezydenta, który wizytuje ćwiczenia do defilady. Przyznam, że jeszcze o czymś takim nie słyszałem. Myślę, że oglądanie przygotowań do defilady nie jest dobrym pomysłem, kiedy za granicą toczy się wojna.

To wszystko pokazuje poziom tej recydywy saskiej czy pierwszego okresu rządów króla Stasia. Pomimo tego, że sytuacja wokół nas staje się coraz groźniejsza, rządzący zachowują się tak, jakby nic nam nie groziło.

A więc ani silni, ani zwarci, ani gotowi, parafrazując słynny slogan z czasów schyłku II RP...

Sztandarowym przykładem niekompetencji PiS są Wojska Obrony Terytorialnej, które nie są gotowe w terminie, w którym miały być gotowe, które nie mają wypełnionych etatów, które miały być gotowe, które przekroczyły budżet, a człowiek, który za to wszystko odpowiada, dostał awans. Nie da się chyba gorzej zarządzać jakąkolwiek instytucją, jak człowieka, który „nie dowiózł” projektu, awansować na wyższe stanowisko.

W kondycji, którą pan opisuje, jak rozumiem, polska armia nie będzie w stanie skutecznie obronić kraju przed zewnętrzną agresją?

Lista problemów jest rzeczywiście długa. To wspomniany już brak dronów samobójczych, to będzie brak produkcji amunicji, który jest na poziomie krytycz-

Mamy prezydenta, który wizytuje ćwiczenia do defilady. Przyznam, że jeszcze o czymś takim nie słyszałem

nym. Trzeba pamiętać, że były szef Sztabu Generalnego WP, gen. Andrzejczak, podkreślał, że wydaliśmy na Ukrainę zapasy wojenne amunicji. To znaczy, że mamy zapasy amunicji poniżej poziomu krytycznego.

Pomimo wojny na Ukrainie od dwóch lat nie zaadresowano takiego problemu jak brak zdolności przeciwpancernych w polskich jednostkach. A z tym problemem borykamy się już od ponad dwóch dekad. Dopiero teraz na najniższym poziomie, samoobrony piechoty, zostało to zaadresowane działami bezodrzutowymi ze Szwecji. Ale nawet nie kupiliśmy licencji, kupujemy w Szwecji gotowy sprzęt.

Mówimy o uzbrojeniu, które jest proste w produkcji, na które licencję mogliśmy kupić wiele razy wcześniej. Nie zrobiliśmy tego. A teraz w trybie alarmowym, kiedy za naszą granicą trwa wojna, po wysokich cenach kupujemy gotowy produkt. To pokazuje, jak bardzo nie myślimy o zdolnościach polskiej armii.

Wojna na Ukrainie pokazała, jak ogromne znaczenie mają obrony przeciwlotnicza i przeciwra-kietowa. Jak wyglądają polskie zdolności w tym obszarze?

To jest akurat kwestia, w której nie można zarzucić władzom, że nie próbowały czegoś zrobić. Można kwestionować metody i wybory, ale to są rzeczy, których zawsze można się czepiać. Nie chciałbym tego robić, bo byłaby to złośliwość.

Zamówione zostały zestawy różnych szczebli obrony przeciwlotniczych. Jednak w ilościach niezapewniających zaspokojenie potrzeb wojsk operacyjnych czy obrony kraju. Jest problem, który pojawił się w wyniku ewolucji pola walki w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy to ewidentnie widać, że systemy lufowe są bardzo potrzebne, bo pomagają zwalczać nie tylko drony na poziomie taktycznym, lecz także drony na poziomie strategicznym, wykorzystywane do niszczenia infrastruktury krytycznej kraju. Niestety, nie widać żadnych działań ze strony Sztabu

Generalnego WP, żeby zaadresować ten problem.

Badania opinii publicznej pokazują dramatyczny spadek poczucia patriotyzmu wśród dużej części społeczeństwa. Duża część Polaków w wypadku zagrożenia wojny deklaruje chęć ucieczki z kraju. Zdecydowanie mniej gotowych jest bronić Polski przed agresją. Takie nastawienie musi negatywnie rzutować na gotowość do walki i determinację Wojska Polskiego.

To oczywiście kryzys, z którym boryka się naród polski. Dotyczy on jednak prawie wszystkich społeczeństw wokół. Zmiana tego stanu to działanie długoterminowe, które wymaga aktywnej polityki kulturowej. Niekoniecznie aktywnej polityki państwowej, raczej takiej, która blokowałaby negatywne trendy kulturowe, obce społeczeństwu i kulturze polskiej. Mam na myśli tamę wobec masowego napływu ideologii lewicowych, które zaprzeczają faktom biologicznym.

Natomiast w sytuacji determinacji państwa, kiedy państwo prowadzone jest prawidłowo i poprzez przywrócenie poboru przygotowuje młodych ludzi do szkolenia, to oddziałuje też na społeczeństwo, na postawy ludzi. Młody człowiek, który nie chciał iść do wojska, ale został do tego zmuszony poprzez pobór obowiązkowy, w sytuacji, gdy będzie wykonywał prawidłowo swoje zadania, które wynikają ze szkolenia, trudno żeby nie czuł satysfakcji, jadąc jako kierowca 50-tonowym czołgiem.

Kiedy rozmawia się z ludźmi, którzy jeszcze mieli udział w poborze, to pomimo że na pewno sami z siebie nie poszliby do wojska, po latach są dumni z tego, jak się szkolili. Nie wspominają w przeważającej mierze swojej służby wojskowej jako jakiejś traumy. Nie sku-piałbym się na kryzysie moralnym, który niewątpliwie dotyczy naszej młodzieży, ale na tym, że to państwo nie wykonuje swoich zadań. Nie przygotowuje społeczeństwa do wykonywania zadań, bo przecież obywatel ma nie tylko prawa, lecz także obowiązki. A o tym od 30 lat zapominamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JACEK HOGA

– prezes fundacji
Ad Arma, zajmującej się
promocją obronności.



Piotr Semka

Paryska olimpiada to ostrzeżenie przed zacieśnianiem się marginesu swobody dyskusji o problemach dopuszczania mężczyzn do rywalizacji w kobiecym sporcie. I być może dlatego Magdalena Środa z emfazą nazwała igrzyska w Paryżu genderową rewolucją

Huczne przywitanie Julii Szeremety – zdobywczyni srebrnego medalu w boksie kobiecym na igrzyskach w Paryżu – pokazało skalę moralnego wsparcia dla Polki po jej finałowej walce z reprezentantką Tajwanu Lin Yu-ting. Opinie, że Szeremecie należał się złoty medal, gdyż musiała walczyć z zawodnikiem o typowo męskiej budowie i dysponującym dłuższymi rękami, co jest cechą zawodników w boksie męskim, wywołały falę głosów poparcia dla naszej zawodniczki. Publicznie wsparli ją tacy weterani sportu jak Władysław Kozakiewicz, Jan Tomaszewski czy Adam Małysz. Były bramkarz reprezentacji Polski Jan Tomaszewski wprost głosi, że Szeremetę należy nagrodzić tak, jakby zdobyła złoto.

Podobne reakcje pojawiły się w Italii po przerwaniu przez Włoszkę Angelę Carini pojedynku z Algierką Imane Khelif. Włoska zawodniczka uznała, że walka z przeciwniczką, która ma siłę ciosu i umięśnienie typowe dla mężczyzn, jest pozbawiona sensu.

Spróbujmy podsumować, jakie wnioski wynikają z faktycznego przeformowania wchodzenia na ring zawodniczek, które fizycznie przypominają bokserów mężczyzn.

MKOL NIEWINNY?

Niezwykle rzadko wśród komentarzy dotyczących sporów o mecze Angeli Carini czy potem Julii Szeremety pojawia się kwestia tego, skąd wzięty się męsko wyglądające zawodniczki na kobiecym ringu. Jedyną publicystką, która zajęła się tematem, jest blogerka Kaya Szulczewska, która nie boi się poruszać tematu nieuczciwej konkurencji ze strony osób deklaru-

jących się jako kobiety, które mają wysoki poziom testosteronu lub chromosomy XY typowe dla mężczyzn. O rywalu Julii Szeremety, który zdobył olimpijskie złoto, Szulczewska pisze: „Wiele wskazuje na to, że może być to mężczyzna z zaburzeniami rozwoju płci. Nawet jeśli Yu-ting oznaczony został jako niemowlę płci żeńskiej, a przy tym ma chromosomy XY i ma niedobór 5-alfa-reduksazy, to znaczy, że przeszedł podobnie jak Caster Semenya [inny zawodnik określający się jako kobieta, ale mający męską budowę ciała – przyp. P.S.] męskie dojrzewanie i ma męskie ciało dające mu niekwestionowaną przewagę w sporcie”.

Szulczewska przypomina, że Międzynarodowy Komitet Olimpijski zrezygnował z testów na poziom testosteronu i chromosomu XY w 1999 r. Stało się tak, mimo że większość sportowców uważała, iż takie testy powinny być przeprowadzone. Potem MKOl zmienił także zasady przystępowa-

Polityka MKOl, która dostosowała się do postulatów lobby LGBT, skłoniła więc liberalną prasę do wykreowania komitetu jako pozytywnego bohatera. A kto został bohaterem negatywnym? Oczywiście Międzynarodowa Federacja Boks (z ang. IBA), która jakiś czas temu odrzuciła możliwość startu w zawodach bokserskich zarówno Lin Yu-tinga, jak i Imane Khelif. Bardzo szybko zaczęto zarzucać IBA, że jest faktycznie instytucją niewiarygodną, okoliczności przeprowadzenia testów na obu zawodniczkach są niejasne, a całej federacji przewodzi rosyjski agent Umar Kremłow.

Aby ocenić te zarzuty, potrzeba szerszego kontekstu. IBA jest federacją boksu amatorskiego, która w ostatnich dwóch dekadach była bardzo często krytykowana. Tak zdarza się w wypadku federacji, które działają w sportach przyciągających ogromną uwagę i wokół których krążą ogromne pieniądze. Na podobnej zasa-

Triumf megatestosteronu

nia do płciowych kategorii sportowych przez mężczyzn utożsamiających się jako kobiety (tzw. transkobiet) i mężczyzn z zaburzeniami rozwoju płci.

Informacje te pozwalają zrozumieć właściwy kontekst sekwencji wydarzeń. Skoro z ideologicznych przyczyn zrezygnowano z testów na testosteron i wskaźnik chromosomów X i Y, to było kwestią czasu, kiedy w sporcie pojawią się osoby, które będą chciały wykorzystać swoją przewagę mięśniową lub np. długość rąk i w ten sposób tylnymi drzwiami ułatwić sobie dojście do złotych medali. Dokładnie tak, jak stało się to w wypadku Tajwańczyka Lin Yu-tinga, który zdobył złoto, oraz Algierki Imany Khelif, która wróciła do domu z dwoma złotymi medalami i jednym srebrnym.

dzie od dziesięcioleci wysuwane są częste zarzuty wobec międzynarodowej Federacji Piłkarskiej FIFA. Prawdą jest też, że od 2022 r. prezydentem IBA jest Rosjanin Umar Kremłow, którego nazwisko jest wręcz wymarzone do snucia sugestii, że jest on agentem Putina. Nie zmienia to jednak tego, że jeśli w ostatnich latach IBA była krytykowana, to np. za wątpliwości wokół wyznaczania sędziów, a nie akurat w kwestii jakiegos uprzedzenia do osób mających problemy z męską fizycznością czy formalnej przynależności do płci żeńskiej.

Sugestie snute przez część liberalnych mediów, że Tajwańczyk i Algierka padli ofiarą jakiejś intrygi nadzorowanej naturalnie przez Kremłowa w ramach operacji antygenderowej na rozkaz Rosji, wyglądają

■ jak zarzuty sformułowane ad hoc. Po pierwsze, IBA, mimo że bywa krytykowana, jest największą tego typu federacją stowarzyszeń pięściarskich na świecie i jej członkiem jest np. Polski Związek Boks. Po drugie, jeśli można stawiać tezę, że Rosja jako sojusznik sił komunistycznych może nie przepadać za Tajwanem, to akurat w wypadku Algierii od wielu lat pozuje na jej przyjaciela i sojusznika wspierającego rząd w Algierze w neokolonialnej polityce państw zachodnich.

I wreszcie ostatni czynnik, który rzuca nieco światła na chęć IBA do eliminowania z rozgrywek zawodniczek o typowo męskiej budowie. Działacze związani z boksem kobiecym, po pierwsze, poważnie traktują protesty zawodniczek o typowo kobiecej budowie protestujących przeciwko nierówności szans w rozgrywkach z zawodniczkami dysponującymi typowo męską muskulaturą i siłą ciosu. Po drugie zaś, przeciwko pojawianiu się zawodniczek o wysokim poziomie testosteronu przeciwni są organizatorzy zawodów, którzy obawiają się, że jeśli obecność zawodniczek o typowo męskiej budowie stanie się coraz częstsza, to boks kobiecy straci zainteresowanie u widzów, którzy nie mają ochoty oglądać, jak znacznie silniejsza zawodniczka dominuje nad swoimi koleżankami o typowej budowie.

ŁAMANIE ZAWODNICZEK

Każdy, kto chce egzystować w świecie sportu olimpijskiego, w którym sukcesy prowadzą do kariery w rozmaitych zawodach odbywających się między kolejnymi igrzyskami, musi trzy razy zastanowić się, zanim zdecyduje się na konfrontację z obecną linią MKOl akceptującą pojedynki, które tak bulwersują zwykłych widzów. Dlatego należy zwrócić uwagę na powtarzające się rytuały wycofywania się zawodniczek rozgoryczonych walką z partnerami o męskim typie budowy ze swoich słów oburzenia lub konsternacji. Tak było w wypadku Włoszki Angeli Carini, która mimo że przerwała swoją walkę po 46 sekundach i początkowo nie kryła swojego oburzenia, potem wydała oświadczenie, w którym łagodziła ostrość swoich sądów i pośrednio wycofywała się z sugestii, że jej przeciwniczka miała cechy fizyczne mężczyzny.

Podobnie zdarzyło się w wypadku Julii Szeremety. W polskiej sieci spory



Julia Szeremeta wykazała się ogromną wolą walki do końca, ale przegrała pojedynek z Lin Yu-ting, zawodnikiem o typowo męskiej budowie ciała

FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS

rezonans zdobył zapis na profilu naszej reprezentantki: „Żeby zdobyć złoto, jeszcze muszę naklepać chłopą”. Ten wpis z racji swojej trafności natychmiast rozpowszechnił się w polskich sieciach społecznościowych. A jednak bardzo szybko został wycofany z konta Szeremety. Potem zawodniczka w rozmowach z dziennikarzami wyraźnie odcinała się od tego tematu. A wreszcie o całej sprawie wypowiedział się trener Szeremety Tomasz Dylak. Portal Interia donosił: „Od Julki dowiedzieliśmy się, że to na polecenie trenera materiały zniknęły”. Jak twierdził portal, Tomasz Dylak poinformował dziennikarzy, że profil Szeremety prowadzić miała osoba trzecia”. Dziennikarz Interii zapytał szkoleniowca, czy bardzo się wściekł, gdy zobaczył „to podgrzewanie atmosfery i emocji”. Trener Tomasz Dylak odpowiedział: „Tak, oczywiście, bo ja dbam o to wszystko [...]. Zobaczyłem, co zostało pokazane, i po pół godzinie to zostało usunięte. Ale niestety coś, co zostaje pokazane w Internecie, już nie ginie [...]”. Ja patrzę na to tak, że może jej [to – przyp. P.S.] zaszkodzić,

więc staram się być jej ochroniarzem. Zarówno jeśli chodzi o boks, jak i w życiu”.

Oczywiste jest, że każdy trener, szczególnie w wypadku niedoświadczonej 20-letniej dziewczyny, odgrywa jednocześnie rolę kogoś w rodzaju mentora i menedżera. Ma to jednak konsekwencje. Może to powodować, że trener reaguje nerwowo na szczerość pięściarki, gdy ta stwierdza rzeczy oczywiste. Na dodatek mogące wpłynąć niekorzystnie na przebieg jej kariery bokserskiej i dalszej kariery olimpijskiej. W tym sensie szybkie „ocenzurowanie” dość szczerej wypowiedzi może być unikaniem konfliktu z MKOl. A tak się składa, że akurat MKOl prowadzi politykę, w której poprawność polityczna dominuje nad zdrowym rozsądkiem, który powinien zakazywać pojedynków między osobami o nierównych warunkach fizycznych.

Jeśli krytycy IBA snują sugestie, że badania testosteronu wykonywane przez międzynarodową federację były nieuczciwe, to dlaczego MKOl nie przeprowadza własnych badań? Nie robi tego, bo trzyma



się motywowanej ideologicznie zasady, że przyjmuje płeć zapisaną w paszporcie. A ta dowolność otwiera drogę do nierównych pojedynków w sporcie kobiecym. W czwartek 15 sierpnia skrytykowała to w Polsce sama Szeremeta, mówiąc: „MKOl musi przeprowadzić testy i się na ten temat wypowiedzieć i wyrazić opinię”.

SZEREMETA I CARINI JAKO BIAŁE SZOWINISTKI?

Lewicowa „Krytyka Polityczna” piórem Patrycji Wieczorkiewicz zareagowała na spory w boksie kobiecym alarmującym tekstem. „Raz, dwa, trzy – chłopem możesz zostać ty – czyli transvestigators w akcji”. W tym artykule, nawiązującym wyraźnie do słów o „wyklepaniu chłopca” utożsamianych z Julią Szeremetą, autorka postawiła tezę, że zarzuty wobec Tajwanki i Algierki wynikają z uprzedzeń narodowościowych. Jak pisała Wieczorkiewicz: „Prawie wszystkie olimpijskie zawodniczki »podejrzane« o bycie trans to osoby o ciemniejszej karnacji, co może sugerować nie tylko transfobiczne, lecz także rasistowskie uprzedzenia”.

Ten cytat to dobry przykład, jak ideologiczne poparcie dla idei LGBT skłania do sięgania po wszystkie możliwe argumenty, aby tylko odrzucać krytyki zawodniczek o męskiej budowie ciała. W końcu dochodzą do głosu założenia filozofii queer, czyli dogmat afirmacji i emancypacji osób zwyczajowo traktowanych jako tzw. odmienięcy. W myśl tego nawyku intelektualnego każdy zaliczany do tzw. socjologicznej kategorii „innego” musi mieć rację i jego prawo obecności w danej grupie winno być bronione za wszelką cenę. W myśl tej optyki zawodniczki o męskiej budowie ciała, nawet jeśli dysponują bardziej rozbudowaną masą mięśniową i większą siłą ciosu, winne być akceptowane w imię równości i walki z dyskryminacją.

Tyle że sport z racji swojej fizyczności od dziesięcioleci podlega pewnym arbitralnym ograniczeniom. Boksierowi o wadze 100 kg nie przyjdzie do głowy protestować przeciw odsuwaniu go od kategorii wagowej 60 kg. Tak samo lekkoatleci nie próbują protestować przeciwko testowaniu ich moczu w ramach badań na obecność środków wspomagających. A w wypadku osób mających wysoki poziom testosteronu tym nieuczciwym wspomagaczem jest sama budowa ciała, która gwarantuje przewagę fizyczną. Jeśli nie chce się zmierzyć z takim czysto zdroworozsądkowym argumentem, to wygodną podpórką są sugestie, że intencją rywali są uprzedzenia rasowe.

W podobnym tonie o pierwszej kontrowersyjnej walce Imane Khelif z Angeli Carini utrzymane były reakcje algierskich działaczy sportowych na krytykę zawodniczki Italii zawierające sugestie, że chodzi o neokolonialne sekowanie zawodniczek z krajów arabskich. Podobnie zresztą było w wypadku Tajwanu, gdzie na tamtejszych forach internetowych bardzo ostro atakowano Julię Szeremetę, wypominając jej np. start w wyborach z ramienia ugrupowania skrajnej prawicy. Było to pośrednio efektem, że start w olimpiadzie pięściarki Lin Yu-ting był traktowany jako okazja do demonstrowania patriotycznej dumy z kraju, który rozpaczliwie walczy o międzynarodowe uznanie.

CORAZ CIĘŻSZA DYSKUSJA

To, że w światowych mediach bardzo rzadko pojawiało się pytanie, dlaczego MKOl nie bada poziomu testosteronu

i wskaźników chromosomów XY przy dopuszczaniu pięściarek do walk, pokazuje, jak silny jest poprawnościowy konsensus w dzisiejszym dziennikarstwie sportowym. Polska była jednym z niewielu krajów, w którym dyskusja na ten temat jakoś się przebiła. Tyle że jeśli ktoś decydował się na publiczne wyrażanie wątpliwości, to byli to albo politycy z prawej strony, tacy jak Donald Trump i Giorgia Meloni, albo osoby, które i tak od lat mają łatką transfoba, do których należy np. pisarka J.K. Rowling. Algierska pięściarka już zapowiada pozwy sądowe wobec wszystkich tych, którzy zakwestionowali jej kobiecość. Jak można podejrzewać, państwo algierskie nie pożałuje pieniędzy na najlepszych adwokatów, aby tylko obronić swoją narodową dumę. Ale procesy takie znów zamrozą dyskusję na temat tego typu przypadków.

Do tego możemy dodać znane gwiazdy sportu, które są już od dawna na emeryturze, takie jak np. czeska tenisistka Martina Navrátilová czy wspomniani już Polacy Władysław Kozakiewicz, Jan Tomaszewski czy Adam Małysz. Ale oni swoją sławę już uzyskali i mogą sobie pozwolić na szczerość. Zwróćmy jednak uwagę, że aktywne nadal w sporcie gwiazdy ostrożnie milczą. A pięściarki, które oburzyły się na niesprawiedliwość walki z zawodniczkami nieporównanie silniej zbudowanymi, albo wycofały się ze swoich słów, albo interweniował w takich sytuacjach ich własny trener.

I jeszcze jedno. Zastanówmy się, jakie będą możliwości dyskusji na takie tematy w razie wprowadzenia zapowiadanych przez rząd Donalda Tuska nowych przepisów o walce z mową nienawiści. Gdy w programie „Kontrapunkt” w TVP Info zaproszono do dyskusji osoby krytyczne wobec polityki lobby transgenderowego, kierownictwo stacji zobowiązało się do zaproszenia do kolejnego programu gości, którzy zostaną zaaprobowani przez „środowność osób transpłciowych”. Do tego paryska olimpiada to także ostrzeżenie przed zacieśnianiem się marginesu swobody dyskusji o problemach opisanych w powyższym tekście. I być może dlatego Magdalena Środa z emfazą nazwała igrzyska w Paryżu genderową rewolucją. W tym jednym trudno Magdalenie Środzie odmówić racji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

„Ludzie generalnie nie mają pieniędzy” – pisze węgierski klasyk w „Szkoła biednych”. Racja. Ale co z tego wynika?

Pisarze i pieniądze – coś za temat! Jeśli jeszcze nie napisano takiej książki, to ktoś powinien ją napisać. Byłaby to doskonała okazja, by uronić łzę nad tymi, którzy pisać musieli w głębokim ubóstwie, i aby pozazdrościć tym, którym świat rzucał pod stopy nie tylko kwiaty oraz uznanie współczesnych, lecz także fortunę. Dzieje literatury to dzieje walki o pieniądze. We wpisie do „Dziennika” dokonany w 1964 r. Sándor Márai wspominał czasy Diderota: „Ważne, porywające dzieła pisało do szuflady [...]”. Mógł sobie pozwolić na to, by pozostać biednym – to jest niezależnym – i pisać do szuflady, ponieważ egzystencję, codzienne utrzymanie wtedy jeszcze można było mieć nie tylko i wyłącznie dzięki potężnej Partii”. Tak było w dawnych czasach, potem totalitarny podzielił pisarzy na dwie grupy: nieposłusznych zamykano w więzieniach lub rozstrzeliwano. Posłusznych państwowy mecenas rozpieszczał wielkimi honorariami, gigantycznymi nakładami, nagrodami państwowymi i wakacjami w domach pracy twórczej. Sándor Márai, bezsporny geniusz literatury węgierskiej, odwrócił się plecami od tych, którzy kupowali talenty inżynierów dusz. Po zwycięstwie komunizmu na Węgrzech opuścił kraj i resztę życia spędził na emigracji. Z pieniędzmi bywało – delikatnie mówiąc – różnie. Ale niezależności nie utracił nigdy.

FOT. MONDADORI/GETTY IMAGES

Cała w tym bieda

TON LEKKIEJ KPINY

Cofnijmy się do roku 1933. Świat jeszcze istniał w dawnej formie, wyjąwszy wielkie przestrzenie dawnej carskiej Rosji, gdzie nastąpiły krwawe rządy bolszewików. Márai żyje jeszcze w ojczyźnie i ma się nieźle. Píše i publikuje wiersze, prozę, liczne artykuły prasowe, nosi się z zamiarem założenia tygodnika, wiele podróżuje. Rok wcześniej ukazał się tom jego opowiadań o zwierzętach („Csutora”, 1932),

skąd warto wyjąć zdanie „Człowiek albo się czemuś oddaje, albo pisze”. Pokpiwa w ten sposób z poświęceń, których wymaga trudna sztuka wychowania psa, ale przecież znaczenie znajdziemy tu szersze: pieniądze, aby żyć, też trzeba mieć. Zatem jak tu oddawać się ich zdobywaniu i jednocześnie pisać? Tertium non datur.

I oto wiosną roku 1933 ukazuje się „Szkoła biednych” – właśnie po raz pierwszy opublikowana po polsku, dzięki

wydawnictwu Czytelnik i tłumacze Irenie Makarewicz. „Esej satyryczny” pisał György Bálint. A po wielu, wielu latach biograf Máraiego, Tibor Mészáros, dodawał w książce „Odyseja XX wieku. Sándor Márai – życie i dzieło” (polskie wydanie 2023) tekst przesiąknięty ironią. „Jakkolwiek Márai przedstawia w tym dziele liczne sytuacje wiążące się z ubóstwem, sporządza »matematykę biedy«, nie jest ono instrukcją obsługi, lecz poszu-

kiwaniem podjętym przez praktykującego biednego: bazującym na stoicko-ironicznej refleksji eksperymentem wobec wyzwań życia” – celnie zauważa Mészáros. Żartem jest już oryginalna okładka książki z 1933 r.: elegancki stolik, na którym stoją kieliszki wina, karafka, misa z owocami. A cóż to niby za bieda?

Kto pamięta „Dziennik” Máraiego, ten wie, że miał on niebywały talent do pisania o wszystkim naraz, zaskakujących przejść od tematu do tematu i do wyciągania daleko idących (i z reguły trafnych) wniosków z drobnych przesłanek. Tak jest w „Szkole biednych”, którą pisarz otwiera deklaracją: „Jako praktykujący biedny już od dawna poszukuję podręcznika, który zawierałby instrukcję obsługi ubóstwa, wytłumaczyłby, jak można znosić ten stan z godnością, a bez załamania nerwowego, i w kryzysowych, przykrych chwilach życia zaopatrzyłby w rady ludzi o umiarkowanych dochodach”.

Oczywiście Márai kpi sobie z nas i ten ton lekkiej kpiny powraca nieustannie w jego rozważaniach. Prawi, że podręcznik dla biednych jest niezbędny, gdyż ludzie „generalnie nie mają pieniędzy” (jakże bardzo dotyczy to pisarzy...), ale nieco dalej oddaje się rozmyśleniom na tematy, które z nakreślonym celem wywodu nie mają wiele wspólnego. „Szkoła biednych” to esej bardzo zabawny. A najzabawniejszy jest wtedy, gdy dajemy się porwać argumentacji autora, nie zwracając uwagi na to, że jej celem jest wyprowadzenie nas na manowce, okpienie czytelnika. Tak jest choćby z rozdziałem pełnym niby dowodów na to, że „ludy pijące wino są bardziej skłonne do zakładania światowych imperiów niż ludy zdecydowanie pijące piwo”. Pisze to człowiek, który widzi Hitlera dochodzącego do władzy i który w owym czasie (w innych miejscach) wyraża wątpliwość, że być może Węgrom uda się utrzymać niezależność i od Niemiec, i od Rosji. Zatem – stosując terminologię Máraiego – za największe zagrożenie uważa imperium piwa i imperium wódki. „Rzymianie pili wyłącznie wino i to właśnie ono zachęciło wielkie, waleczne ludy starożytności do historycznych przedsięwzięć” – broni swego punktu widzenia autor, ale omija odpowiedź na pytanie, jakim napojem swą potęgę zawdzięczały Stany Zjednoczone.

Jednocześnie pozostaje Márai wielkim erudytą, zasypuje nas szczegółami na

Oczywiście Márai kpi sobie z nas i ten ton lekkiej kpiny powraca nieustannie w jego rozważaniach

temat tego, jak wygląda sytuacja biednych w różnych kulturach świata, jak radzą sobie z ubóstwem dzieci, kobiety, mężczyźni, dopowiada, jak różne rodzaje biednych powinny wybierać różne strategie przetrwania. Przygląda się sposobom podziału bogactwa (dobrowolnym sposobom, nie rewolucyjnym). „Polecam uwadze biednych moje doświadczenie, że wolno i warto przyjąć tylko takie pieniądze, które, nawet jeśli nie tak chętnie, to jednak daje się prosić o nie z zachowaniem uprzejmych form; bo na pieniądzech rzuconych po chamsku lub niechętnie najczęściej nie ma błogosławieństwa”. Niepostrzeżenie esej o biedzie staje się esejem o dobrych obyczajach, esejem na temat tego, czym jest dobro w ogóle; esejem o tajemnicach duszy i o wolności ducha.

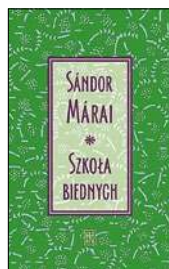
I wtedy rzecz robi się śmiertelnie poważna, choć to, co istotne, wciąż ukryte jest między rozmaitymi żartami i rozmaitymi szarżami na tematy poboczne, a w jakiś sposób dotyczące pieniędzy. Zajmuję się „odkrywaniem prawdy – rzecze Márai – bo jestem przekonany, że to zajęcie jest jedynym godnym człowieka”. A to wyklucza usilną pogoń za tak nieistotnymi drobiazgami jak bogactwo. „Niczego nie pragnę, jedynie prawdy, i do nikogo się nie przywiązuję. Tak też można, ale to bardzo trudne. Ja przerobiłem świat zgodnie z moimi własnymi potrzebami. To mi się udało. Jestem biedny tak, jak ktoś inny jest urologiem – zawodo-”. W tym miejscu od razu przypomniał mi się wstrząsający fragment „Dziennika” Máraiego. Przenosimy się w przyszłość, do roku 1945. W obłężonym i ostrzeliwanym przez Armię Czerwoną mieście Márai wraca do domu, by zanotować: „Moje książki rozsypały się po podłodze. W pokoju pozabawionym okna i dachu deszcz obraca w papierową papkę sześć tysięcy tomów”. I to wszystko.

Tyle zostało. Papka. Będzie trzeba radzić sobie bez niej. I tak pisarz uczyni, ruszając na obczyznę. W niczym go to, jako artysty i człowieka, nie umniejsza.

ŻARTY, PARADOKSY, PROWOKACJE

„Każdy biedny wie z doświadczenia, że często nie jest Bogu miłe właśnie to, co ziemskie prawo, z przymusowym przystosowaniem do uwarunkowań życia, głosi jako słuszne i zasadne. Bóg nie jest prezesem sądu i nie używa paragrafów. W oczach Boga nie jest bezwarunkowo grzechem to, za co tutaj na ziemi osądza się i skazuje biednego. Bóg jest nade wszystko przyjacielem. Z historii Świętego Franciszka wiemy, że jest przyjacielem wyłącznie biednych” – pisze Sandor Marai. I wśród biednych widzi miejsce pisarza, myśliciela, filozofa. Komentuje w „Odysei XX wieku” Tibor Meszaros „Szkolę biednych” tak: „W tym utworze Máraiego pisarze i artyści reprezentują odrębną kategorię: oni też są biednymi, ale mają zdolność znoszenia z godnością tego, jak życie skazuje ich na bycie zdanymi na cudzą łaskę, dlatego nawet świadomi tego przymusu, pozostają wolni”. Czy powinno nas to martwić? Niespecjalnie. Marai proponuje w swym eseju obronę sztuki i obronę indywidualizmu. „Jedynie osobę prywatną uważam za zdolną do działań etycznych, mas – nie. Również za zdolną do rozkoszowania się życiem uważam tylko osobę prywatną; bez tajemniczego uroku indywidualności bezcelowe są w praktyce wszelkie rady i reguły, które uczą miłości życia”. Oto największa herezja wieku XX – Marai nie widzi wyzwolenia w buncie mas.

Żarty, paradoksy, prowokacje, stanowcze stwierdzenia, za którymi kryje się próba sprytnego okpienia czytelnika – „Szkoła biednych” to lektura i cudownie lekka, i zmuszająca do poważnych przemyśleń. Ostatecznie okazuje się nie tylko lekcją przetrwania, lecz także przypowieścią o tym, że są rzeczy ważne i nieważne. Te nieważne często są niezbędne, by żyć, ale tylko te ważne warto są tego, by im życie poświęcić. Cała sztuka w tym, byśmy potrafili jedno odróżnić od drugich.



SÁNDOR MÁRAI
„SZKOŁA
BIEDNYCH”
CZYTELNIK 2024



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

polsat box go

Pomocna dłoń



★★★★★
REŻ. JON GUNN
„ANIOŁOWIE SĄ
WŚRÓD NAS”
(„ORDINARY
ANGELS”)
USA 2024

wyst. Hilary Swank,
Alan Ritchson,
Emily Mitchell

Hilary Swank potrafi zagrać wszystko, nie możemy więc być zaskoczeni, gdy dobrze wypada jako Sharon, właścicielka salonu fryzjerskiego, która tańczy w knajpie na kontuarze i wlewa w siebie morze tequili. „Nie jestem alkoholiczką – mówi na spotkaniu AA – tylko boli mnie głowa i mam denerwującą przyjaciółkę”. Tę, która przyprowadziła ją po pomoc.

Alana Ritchsona znamy jako Jacka Reachera w serialu wedle powieści Lee Childa. Doprowadził tam do perfekcji wizerunek łagodnego olbrzyma, który jest zarazem supermanem mścicielem. W filmie Jona Gunna widzimy go w roli dużo bardziej przyziemnej. Ed to wdowiec, który pochował żonę, ojciec samotnie wychowujący dwie

córeczki, z których młodsza jest ciężko chora. Uratować ją może jedynie przeszczep wątroby. Operacja jest kosztowna. Jak prosty dekarz może zbierać małą fortunę?

Sprawy przybiorą lepszy obrót, gdy ścieżki Sharon i Eda się skrzyżują. Fryzjerka odkrywa, że jednak posiada sumienie i że dobrze jest znaleźć sobie jakiś cel w życiu, a dekarz – że są na świecie ludzie, którzy bezinteresownie zechcą mu pomóc. Łatwo nie będzie, ale film Jona Gunna to opowieść z gatunku tych, które przypominają wyśpiewane przez Niemena słowa: „Ludzi dobrej woli jest więcej”.

Historia ta wydarzyła się mniej więcej naprawdę, scenarzyści podkreślił jednak niektóre wątki – m.in. dopisali Sharon problemy z alkoholem i konflikt

z synem. Nie musieli podkreślać opisów wysiłków tych, którzy na wezwanie Sharon wyciągnęli pomocną dłoń. Żadne to wielkie kino, ale skromny, prosty film Gunna przywraca wiarę we wspólnotę, przypomina o sile wiary, o potędze serca. To, co melodramatyczne, równoważy humorem.

Aprzecież bardzo łatwo jest popsuć taką opowieść nadmiarem dobrych chęci, łzawych dialogów i moralizatorstwa, na szczęście w tym przypadku jedynie tytuł – „Aniołowie są wśród nas” – jest nadmiernie pompacyjny. Reszta gra: aktorstwo zacne, postacie wiarygodne, wzruszenie autentyczne, przesłanie pozytywne. Bardzo niewiele takich propozycji można znaleźć dziś w streamingu. Nikt ich nie promuje, nikt nie zarzuca dziennikarzy linkami do kopii przedpremierowych, sam trafiłem na tę produkcję nieco przez przypadek. Widać tak miało być. Więc otrzymane dobro przekazuję dalej. ©©



NOWE SERIALE: „MAŁPI BIZNES”

Vince Vaughn, Michelle Monaghan i Jodie Turner-Smith na czele obsady serialowej ekranizacji powieści Carla Hiaasena, autora licznych bestsellerów. Hiaasen zwykle opowiada o półświatku Florydy – tak jest i tym razem. Były policjant Andrew Yancy (Vaughn) wie

nudny żywot, kontrolując lokalne restauracje dopóty, dopóki za sprawą makabrycznego odkrycia nie trafi na trop dużo grubszej intrygi. ©©

• sezon 1 „Małpi biznes” („Bad Monkey”), USA 2024

apple tv+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Krzysztof Łukasiewicz „Czerwone maki”, Polska 2024
- sezon 5 „Spoko układu” („Solar Opposites”), USA 2024
- miniseria dokumentalna „Galopujący kartel” („Cowboy Cartel”), USA 2024

apple tv+

Orka na ugorze

KINO

Ci Francuzi są jacyś dziwni. Niby popierają wolność ekspresji, a marzy im się szkoła, w której oprócz głodu wiedzy panowałaby dyscyplina. Rzeczywistość jednak skrzeszy i młody pedagog z powołania zderza się ze ścianą. Próba zainteresowania podopiecznych poezją miłosną Ronsarda owocuje oskarżeniem o molestowanie. Wiadomo, że afera jest dęta (choćby dlatego, że Julien to homoseksualista). Dyrekcja i policja mu współczują, lecz traktują pomówienie serio – bo tak każą przepisy. Patronem szkoły jest zaangażowany poeta Paul Eluard, ale panuje w niej kult świętego spokoju. Nieborak ma problem z wygłoszeniem swego prawa do obrony.

Usłyszawszy, że francuski „system sprawiedliwości jest przeciążony i działa powoli”, prawie się wzruszyłem. Jeśli uwielbiam „Stowarzyszenie umarłych poetów”, to daruję sobie ten seans. U Weira nauczycielem był guru, a uczniom rosły skrzydła. Tutaj autorytet pedagoga idealisty, który za marną pensję szczepi wartości republikańskie w „trudnej dzielnicy”, stopniowo się kruszy. Trochę z jego winy. Julien to typ narcyza. Poddany presji zmienia się w kłębek nerwów. Fabuły powstałe „w oparciu o prawdziwą historię” często trącą fałszem. „Dobry nauczyciel” ma walor wiarygodności. Tylko wyjścia z pokazanej kulturowej matni nie widać. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. TEDDY
LUSSI-MODESTE
„DOBRY
NAUCZYCIEL”
FRANCJA 2024

wyst. François Civil,
Shain Boumedine,
Toscane Duquesne



FOT. MATERIAŁ PRACOWNE

TRUMNA PEŁNA KSIĄŻEK

VOD
MDAGPL



★★★★★
REŻ. DAVIDE
FERRARIO
„UMBERTO ECO
I BIBLIOTEKA
ŚWIATA”
(„UMBERTO ECO
– LA BIBLIOTECA
DEL MONDO”)
WŁOCHY 2022

Umberto Eco umarł, ale nie całkiem. Pozostawił światu monstrualną bibliotekę. Ćwierć wieku temu opiewała na 30 tys. woluminów, potem już nikt nie liczył. Maestro najchętniej spędzał czas w gabinecie, w którym trzymał białe kruki: książki napisane przez podobnych sobie ekscentryków. Ulubieńcem autora „Imienia róży” był XVII-wieczny jezuita Kircher, który uważał się za naukowca i miał zdanie na każdy temat, choć na niczym się nie znał. Bibliofilską pasję Eco wspominają bliscy i przyjaciele, aktorzy recytują fragmenty jego tekstów, lecz królem owej stypy jest sam Umberto wygłaszający ochrypłym głosem prawdy objawione typu: „Nienawidzę jest bardziej szczodra od miłości”. Dla obeznanych z jego prozą nie są to żadne rewelacje. Dla urozmaicenia twórcy dokumentu wprowadził się z kamerą do innych słynnych księżnic. To dobry pomysł, bo duch włoskiego semiologa z pewnością unika Internetu. ©©

REWOLWER I KAPELUSZ

prime video



★★★★★
REŻ. PETER WEIR
„ŚWIADEK”
(„WITNESS”)
USA 1985

Peter Weir posiadał tę samą umiejętność co Roman Polański: kręcił filmy atrakcyjne w formie i brzmieniu w treści. Niestety, to już historia i 80. urodziny Australijczyka można uczcić jedynie powtórką „Pikniku pod Wiszącą Skalą” (wariant artystyczny) lub „Truman Show” (wariant hollywoodzki). Proponuję seans kompromisowy. „Świadek” był pierwszym dziełem Weira zaadresowanym do amerykańskiej widowni, ale kryminalna intryga posłużyła mu jako pretekst do podjęcia ulubionego tematu. Zderzenia cywilizacji z naturą, nowoczesności z tradycją – tu uosobioną przez żyjących w izolacji amiszów. Film przyniósł im niechcianą popularność. Na Oscara najbardziej zasłużyła pani od castingu. Harrison Ford w słomkowym kapeluszu i w skórze policjanta nawracanego na pacyfizm wygląda trochę dziwnie, ale Kelly McGillis zagrała w „Świadku” rolę życia. ©©

wyst. Harrison Ford, Kelly McGillis,
Lukas Haas

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „BITWA WARSZAWSKA”

Przy okazji 15 sierpnia odświeżyłem sobie jedną z planszówek Instytutu Pamięci Narodowej. Gra wojenna dla dwóch graczy, w której do stoczenia jest najważniejsza bitwa wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Szybkie run-dy, trwające ok. 20 minut, i nieskom-

plikowane zasady sprawiają, że jest to dobry wybór, gdy nie mamy zbyt wiele czasu. Oprócz taktycznego myślenia przydaje się tu też umiejętność blefowania. Możemy np. symulować duże natarcie i małymi oddziałami zwią-zywać siły wroga, których nie będzie



★★★★★

mógł wykorzystać do odparcia rzeczywistego ataku. ©© Radosław Wojtas

- Gatunek: wojenna, logiczna
- Autor: Jan Madejski
- Wydawca: IPN
- Liczba graczy: 2
- Wiek: 12+

MOJA PÓŁKA

Kroki nadchodzącego Chama

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Ta książka o Witkacym swą premierę miała 32 lata temu. Ugruntowała ona świetną markę autorki, Joanny Siedleckiej, którą zdobyła, pisząc o Gombrowiczu w o pięć lat wcześniejszym „Jaśnie paniczu”. Kolejnymi książkami o ludziach pióra: „Czarnym ptasiorem” (o Jerzym Kosińskim), „Panem od poezji” (o Zbigniewie Herbertcie) i dwoma tomami „Wypominków” dowiodła, że jako „pani od biografii” nie ma sobie równych.

Pisząc o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, opowiedziała też dramatyczną historię losów bliskich mu osób. On odebrał sobie życie 18 września 1939 r., po ataku Sowietów na Polskę, one przetrwały wojnę, ale ich świat się zawalił. A tego nowego nie były w stanie zaakceptować. Jadwiga Witkiewiczowa, żona Witkacego, twierdziła, że w powojennej Polsce „rządzi mafia, gangsterzy, bandziory, że cały kraj – tak jak pisał Staś, został »zbydlęcony przez socjalizm«. Zalała go nie tylko przemoc, ale i nędza, brzydota, szarość, zapach kapusty”. „Komunizm to paskudztwo” – tłumaczyła i choć unikała brzydkich słów, to – cytując męża – utrzymywała, że „należałoby na to rzygać i szczać”.

Joanna Siedlecka zdążyła porozmawiać z tymi, którzy znali Witkacego, i spisać relacje – jak powiada – „dopełniające portret człowieka tragicznego: wrażliwego, cierpiącego, samotnego. Lekceważonego przez współczesnych, błazeństwem zagłuszającego swój dramat, którego przekleństwem było właśnie to, że urodził się w Europie Środkowej i utknął w Zakopanem. Jego groteskowy teatr wyprzedził przecież Ionesco i Geneta. Poczucie samotności, beznadziejności istnienia – egzystencjalizm Sartre’a i Heideggera. Ostrzeżenia i wizje zaś – Huxleya

i Orwella. Relacje ukazujące go przede wszystkim jako dalekowzrocznego, przenikliwego proroka i wizjonera, który słyszał już wtedy kroki nadchodzącego Chama, przewidział los epoki – wojnę, totalitaryzm, kryzys europejskiej kultury, unifikację i »pykniczenie« ludzkości, zanik »uczuć metafizycznych«. A także, przynajmniej zdaniem moich rozmówców, ich własne, pojedyncze losy, obdarzony był przecież fenomenalną psychologiczną intuicją, o czym świadczą najlepiej jego portrety”.

Nowa edycja „Mahatmy Witkaca” wzbogacona została nie tylko o wcześniej niepublikowane zdjęcia autora „Szewców”, lecz także o trzy nowe rozdziały, które na dobrą sprawę mogłyby zostać opatrzone nadrukiem: „Tylko dla dorosłych!”. Zawierają one ekszibicjonistyczne fragmenty listów Witkacego do żony i przyjaciół. Jego dosadne i obsceniczne „śpiewki poranne”, czyli wierszyki powstające najczęściej podczas kąpieli, oraz najciekawsze chyba rozważania zatytułowane „Ciucka jego tango tańczyła, czyli jak przeklinał Witkacy?”.

A przeklinał wymyślnie, fantazyjnie, bo inwencji nie brakowało mu nigdy. Dla swoich „wszawych wrogów” np. miał słowa – cytuję – następujące: „Gówniarze aż do zdechu, pryszczce, bubki, wypierdki, zasańce, zagwazdrańce, niemyte dusze, dupy cielőce, dupy wołowe, parszywce, mendi, przyjemniaczki, glizdy, bałwany, swołocze, ciemkacze, parszywe świnię, kretyny, jełopy, flaki, słabe flaki, flaczeńce, flako-wymoczki”.

Szczególnie kreatywny był w tworzeniu zaskakujących neologizmów, z których przynajmniej kilka, co zauważa Joanna Siedlecka, zdomowało się w polszczyźnie, jak choćby „zborsuczyć się, rozmo-

wy istotne, głątwa, pyfko, bebechy, kobietowy”.

Skoro o kobietach... Ten wielki ich miłośnik („Staś był erotomanem i więcej niż erotomanem – wspominała jego żona. – Zdradził mnie po raz pierwszy już trzy miesiące po naszym ślubie”), gdy mu zaszczyły za skórę, widział w nich: „małpy, psice, wydry, bestyje, wścieklące, belzebubice, samice dmona” itd., itp.

Niemniej w 1936 r. w liście (do żony...) wzdychał – do rymu:

*Byle tylko, aby, aby –
Mieć kawałek jakiejś baby.*

„Mahatmę Witkaca” w zupełnie innej tonacji kończy wiersz Jacka Kaczmarskiego znany z dramatycznej interpretacji Przemysława Gintrowskiego – „Autoportret Witkacego”:

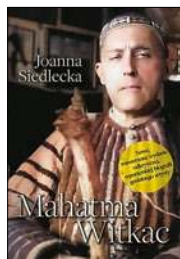
*Dosyć sztywną mam szyję
I dlatego wciąż żyję
Że polityka dla mnie to w kryształach
pomysł
Umysł mam twardy jak łokcie
Więc mnie za to nie kopcie
Że rewolucja dla mnie to czerwone
paznokcie*

*Wrażliwym jest jak membrana
Zatem w wieczór i z rana
Trzęsę się jak śledziona z węgorza
wyrwana
Zagłady świata się boję
Więc dla poprawy nastroju
Wrzeszczę jak dziecko w ciemnym
zamkniętym pokoju*

*Ja bardziej niż wy jeszcze krztuszę się
i duszę
Ja częściej niż wy jeszcze żyć nie chcę
a muszę
Ale tknąć się nikomu nie dam
i dlatego*

*Gdy trzeba będzie sam odbiorę
świata Witkacego.*

Nie zapominajcie „Nienasycenia” i „Pożegnania jesieni”, smakujcie „Szewców”, czytajcie Siedlecką. ©



★★★★★

JOANNA
SIEDECKA
„MAHATMA
WITKAC”FRONDA,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Danny się modli

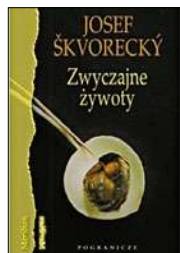
Porządkowania i przyswajania spuścizny wybitnego czeskiego pisarza ciąg dalszy. Porządkowanie: w tomie „Zwyczajne żywoty” dostajemy opowiadanie „Red Music”, które ukazało się po raz pierwszy po polsku jeszcze w drugoobiegowym tomie Škvoreckiego „Wyjątki z autosztambucha” (1988). Z kolei „Saksofon basowy” był jednym z najlepszych tekstów w antologii „Opowiadacze: Nie tylko Hrabal” (2012). Ale ponad trzy czwarte książki to przekłady nowe.

„Neuilly” to – jak podpowiada tłumacz Andrzej S. Jagodziński – „pierwszy większy utwór napisany przez Škvoreckiego na emigracji, eksperyment z poetyką strumienia świadomości”. Nie taki straszny ten eksperyment, rozważania pisarza nie są podane w formie utrudniającej czytelnikowi odbiór. Ale są to rozważania o wszystkim: polityce, totalitaryzmach, znajomych i przyjaciółach, literaturze, moralności (jeden z nielicznych tekstów, gdzie Škvorecký wprost pisze „jestem chrześcijaninem”). Siegając po terminologię sądową, jest to „wypowiedź swobodna”, ale jednak nie rozwichrzona, wszystko kręci się wokół kluczowych dla twórczości czeskiego mistrza tematów. Podobną

metodę znajdziemy przecież w jednej z najlepszych powieści Škvoreckiego „Cud”, nie inaczej jest w jego opus magnum „Przypadki inżyniera dusz ludzkich”, książce, której karty w dużym stopniu układał losowo (tak przynajmniej opowiadał w wywiadach).

Najważniejszy tekst w tym tomie to „Zwyczajne żywoty”, właściwie osobna nieduża powieść (w tej formie ukazała się oryginalnie w roku 2004). To zamknięcie cyklu opowieści o literackim alter ego autora Danym Smiřickim. Rzecz napisana u schyłku życia pisarza to zderzenie relacji z dwóch zjazdów klasowych Danny’ego – pierwszy odbył się jeszcze przed rokiem 1968, drugi – już po upadku komunizmu. Smutna to opowieść: powraca groza krwawego XX w., powracają refleksje na temat ludzkiej kruchości, a także lichego materiału, z którego jesteśmy uszyci. W finale zaś pytanie

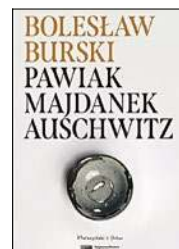
o to, co dalej: Danny rozmawia z młodym polskim księdzem o swej tęsknocie za mszami odprawianymi po łacinie, martwi się o dalszy los Kościoła. Gdy żegna się z czytelnikiem i odmawia przed zaśnięciem modlitwę, to czyni to słowami „Praeceptis salutaribus moniti”, a nie „Wezwani zbawienym nakazem”. ©©



★★★★★
JOSEF ŠKVORECKÝ
„ZWYCZAJNE ŻYWOTY”
POGRANICZE
2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Działacz PPS, żołnierz AK, aresztowany w 1942 r. spisał swoje dzieje w obszernej opowieści o kolejnych pieklach na ziemi. Po raz pierwszy ukazują się drukiem (we współpracy z Państwowym Muzeum na Majdanku).



BOLESŁAW BURSKI
„PAWIAK, MAJDANEK, AUSCHWITZ”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Dziesięć portretów niezwykłych rodaków. Pamięć o niektórych wciąż żyje: Józef Ulma, Witold Pilecki. Ale kto pamięta, że prymas Stefan Wyszyński wspierał pomysł beatyfikacji Romualda Traugutta?



MAŁGORZATA KRÓL
„ZWYCZAJNI ŚWIĘCI POLACY”
ESPRIT

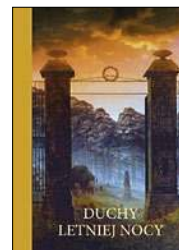
Włoska Riwiera między wojnami, skradziony obraz Rubensa, knowania lokalnego miłośnika Mussoliniego plus sporo barwnych postaci – można trafić gorzej z wakacyjną lekturą. Także serial brytyjskiej ITV.



J.P. CONNELL
„HOTEL PORTOFINO”
MARGINESY

Kolejna antologia klasyki grozy. Najobszerniej reprezentowani są Ellen Glasgow (nieznana w Polsce laureatka Pulitzera) i Robert Murray Gilchrist (zapomniany brytyjski twórca opowieści gotyckich).

recenzuje Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI
„DUCHY LETNIEJ NOCY”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„NOCNY BERLIN”

Włoski mistrz komiksu Hugo Pratt (1927–1975) stworzył 12 tomów opowieści o Corto Maltesie, marynarzu, wędrowcy dotkniętym głęboką nostalgią i talentem do pakowania się w kłopoty. Pięści ma szybkie, ale serce złote. „Nocny Berlin” to czwarty album rozpoczętej w 2014 r. kontynuacji serii. Tym razem przygoda



JUAN DIAZ CANALES, RUBÉN PELLEJERO
„CORTO MALTESE. NOCNY BERLIN”
STORY HOUSE
EGMONT 2024

czeka w półświatku Republiki Weimarskiej, ale Corto zajrzy również do Pragi.

Piotr Gociek



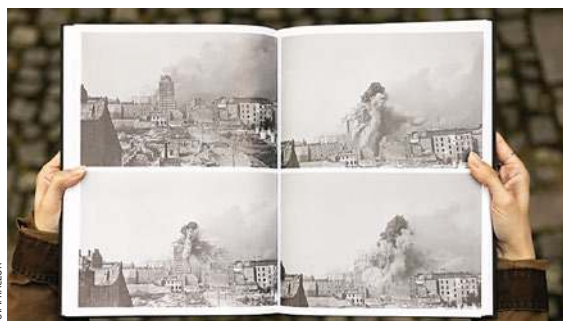
RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kadry z powstania

Sylwester Braun – geodeta, fotograf, fotoreporter działający dla Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Wykonał tysiące zdjęć w powstańczej Warszawie, w tym wiele ikonicznych kadrów.

Codziennosc walczącej Warszawy, codzienność próbującej w niej przetrwać ludności. Momenty



FOT. KACZOR

heroiczne, tragiczne i zwyczajne – na tyle, na ile takim mogło w tych okolicznościach być – życie. „Posterunek na barykadzie, koncert fortepianowy, wiercenie studni to pozornie błahe tematy, które zyskują podniosłe znaczenie w zestawieniu z innymi, równoległymi wydarzeniami, np. pogrzebem ofiar, przejazdem w zdobyczym transporterze, eskortowaniem kolumny jeńców” – piszą autorzy wystawy „Sylwester »Kris« Braun. Fotograf od powstania”.

W Muzeum Warszawy prezentowane są oryginalne odbitki wykonane przez Brauna. Znaleźć je można również w albumie, w którym rozwijane są wątki poruszane na ekspozycji. ©©

GDZIE? Muzeum Warszawy
KIEDY? do 29 grudnia



FOT. PIETRZAK

ZAINTERESOWANIA JĘDRZEJEWSKIEGO

Scenografia teatralna i telewizyjna, projektowanie kostiumów, wystawiennictwo, architektura wnętrz, projektowanie mebli i sprzętów, malarstwo, rysunek, plakat... Próba wymienienia wszystkich dziedzin sztuk wizualnych, z którymi eksperymentował Michał Jędrzejewski, jest na tej przestrzeni praktycznie niemożliwa. Retrospektywna wystawa wielowątkowej twórczości profesora, rektora ASP we Wrocławiu w latach 1984–1990 z okazji 90. urodzin. ©©

GDZIE? Muzeum Architektury
we Wrocławiu
KIEDY? do 15 września



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Król i księżniczka

On ma 81 lat i jest jedną z największych legend muzyki brazylijskiej. Ona jest młodszą od niego o 42 lata i uchodzi za jedną z najciekawszych postaci współczesnego jazzu. Herbie Hancock zapoznał ich ze sobą.

Esperanza jest cenioną wokalistką i basistką. Po raz pierwszy zaprosiła Miltona do współpracy w 2010 r. Wspólnie zaśpiewali piosenkę na jej albumie „Chamber Music Society”, która otrzymała nagrodę Grammy. Wcześniej Nascimento nagrywał z jazzmanami, Wayne'em Shorterem i wspomnianym Hancockiem, a także z Peterem Gabrielem i zespołem Duran Duran.

Jasny wokół Spalding kontrastuje z przytłumionym barytonem Nascimento. Wspólnie wykonują

popularne piosenki Miltona z lat 60. i 70. oraz premierowe utwory Amerykanki, które oddają słoneczny i pełen marzeń liryzm klasycznych albumów Brazylijczyka. Są też zaskakujące covery Beatlesów, Michaela Jacksona czy Wayne'a Shortera. W nagraniach wzięli udział 17 muzyków, siedmioro wokalistów i brazylijska Orquestra Ouro Preto. Na albumie pojawili się też znamienici goście, jak saksofonista Shabaka Hutchings, Carolina Shorter (wdowa po Shorterze), Paul Simon i Dianne Reeves.

Album jest ukoronowaniem monumentalnej kariery Miltona Nascimento, a także pokazuje, że Esperanza Spalding jest godną kontynuatorką jego muzycznego dziedzictwa. ©©



Milton + esperanza

★★★★★
**MILTON
NASCIMENTO/
ESPERANZA
SPALDING
„MILTON +
ESPERANZA”
CONCORD**



★★★★★
**JACK WHITE
„NO NAME”
THIRD MAN
RECORDS**

19 lipca każdy, kto dokonał zakupu w jednym ze sklepów White'a, znalazł w torbie płytę opatrzoną stemplem „No Name”. Tydzień później ta najbardziej rockowa od lat płyta Jacka miała oficjalną premierę. Minimalizm The White Stripes idealnie współgra z energią Led Zeppelin.



★★★★★
**THE SMASHING
PUMPKINS
„AGHORI MHORI MEI”
MARTHA'S MUSIC**

Grupa powróciła do majestatycznego, gotycko-psychodelicznego brzmienia z początku kariery. Miażdżące gitarowe riffy łączą się ze wzniosłymi melodiami i z tajemniczymi wersami Corgana odwołującymi się do hinduizmu, mitologii greckiej i kina grozy.

Teatralna jesień 2024

Wracają dwa, niegdyś największe, międzynarodowe festiwale teatralne: wrocławski Dialog i poznańska Malta. Malta odbędzie się w innym niż zazwyczaj terminie (7–15 września), próbując odbudować nadwątloną markę teatralnymi realizacjami twórczości noblistów. W programie, oprócz prezentacji świeżego spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego na motywach J.M. Coetzee, zwraca uwagę premiera operowa: „Ja, Şeküre” Aleksandra Nowaka, według wczesnej powieści Orhana Pamuka „Nazywam się Czerwień”. Drugi wielki festiwalowy powrót to wskrzeszenie po czteroletniej przerwie Dialogu (12–19 października), pod nowym kierownictwem artystycznym Mirosława Kocura, który chce kontynuować idee Krystyny Meissner, twórczyni festiwalu. „Chciałbym pokazać unikalne i przełomowe technologie, które wzbogacają teatr, np. w państwach Azji, a przede wszystkim w Tajwanie. Przy tym to nie są teatry, które zastępują człowieka, aktora, ale teatry, które wzbogacają ludzkie ciało o nowe doświadczenia i nowe możliwości” – zapowiada Kocur, a teatromani czekają na ogłoszenie szczegółów programu.

Życie teatralne nie znosi próżni i ma swoją dynamikę – opuszczone miejsce szybko zajmują konkurenci. W jesiennej ofercie festiwalowej wyróżnia się bydgoski Festiwal Prapremier (13–28 października). To przegląd najnowszych polskich produkcji, a także pokaz „Antygony w Amazonii” kontrowersyjnego reżysera Milo Rau (belgijski teatr NTGent), spektaklu stworzonego z ruchem rolników brazylijskiego stanu Pará, w którym monokulturowe uprawy soi doprowadziły do



„Ja, Şeküre” Aleksandra Nowaka, według wczesnej powieści Orhana Pamuka „Nazywam się Czerwień”

FOT. FILIP ADAMUS



Grzegorz Kondrasiuk

Teatry ogłaszają plany repertuarowe, a jesień jest czasem festiwalu. Zanim sezon nabierze rozpędu, proponuję krótki, nieoczywisty przegląd propozycji teatralnych

gwałtownych zniszczeń i przesiedleń. Bydgoski Teatr Polski, organizator festiwalu, co roku wręcza nagrodę dramatyczną Aurora, zapraszając do współpracy autorów z wielu nieoczywistych europejskich kierunków. W ten sposób do Polski trafiają ciekawi, nieodkryci twórcy, np. z Rumunii. Prapremiery w tym roku otworzy spektakl „Zniknięcia” oparty na dramacie Elise Wilk (Teatrul Andrei Mureşanu Sfântu Gheorghe), wielopokoleniowej sadze rodziny Sasów siedmiogrodzkich, osnutej wokół historycznych, społecznych i rodzinnych traum.

Nie tylko festiwalowe produkcje mają eksperymentalny

charakter i wchodzą w obszary ryzykowne. Warszawska Syrena, czyli – jakby nie było – teatr musicalowy, swoją najnowszą premierę, „Heathers” (7–8 września) kieruje do młodzieży licealnej borykającej się ze szkolnymi prześladowaniami, z depresją i kryzysami tożsamościowymi. Syrena, wspólnie z fundacją prowadzącą całodobowy telefon zaufania dla dzieci i młodzieży (tel. 116 111/116111.pl), przygotowała kampanię społeczną na temat dróg ratunku przy kryzysie psychicznym. Także Poznański Teatr Muzyczny proponuje polską prapremierę hitowego musicalu „Drogi Evanie Hansenie” (7 września, reżyseria

Paweł Szkotak) i jest to tytuł wchodzący w ten sam krąg tematów: depresji, alienacji, fobii społecznych wśród nastoletnich bohaterów i tak samo podejmujący próbę odbudowania nadziei, ale bez łatwych pocieszeń.

Do Teatru Wielkiego – Opery Narodowej wraca Krzysztof Penderecki. Jego opera „Czarna maska” z librettem Harry’ego Kupfera na podstawie sztuki Gerharta Hauptmanna rozgrywa się w XVII w. na Dolnym Śląsku i jest mrocznym, ekspresjonistycznym dziełem utrzymanym w katastroficznym nastroju (premiera: 22 listopada, reżyseria David Pountney). A wiosną ten sam Teatr Wielki szykuje kolejną realizację Mariusza Trelińskiego: „Ariadna na Naxos” Richarda Straussa według libretta Hugona von Hoffmansthal (4 kwietnia), w całkowicie odmiennym nastroju. Może ten modernistyczny, pełen humoru pastisz, oparty na motywie „teatru w teatrze”, odczaruje trudną teatralną jesień? ©

Ocalić Atlantyde



Wojciech Golonka

„Nowy wspaniały świat” rodzi się na naszych oczach.
W Polsce jeszcze mamy szansę, by zatrzymać tę przemianę



Dziennikarz Tucker Carlson podbił Internet swoją wypowiedzią o teorii „wielkiej podmiany” – zastępowaniu narodów imigrantami

FOT. TUCKER CARLSON NETWORK

Podczas swej niedawnej wizyty w Australii powszechnie znany konserwatywny amerykański komentator Tucker Carlson padł ofiarą klasycznego ataku ze strony „postępowych” dziennikarzy, odpłacając im przy tym pięknym za nadobne, ku wielkiej uciechy przybyłej na jego wystąpienie publiczności. Carlson jest bowiem mistrzem sprowadzania przeciwników do absurdu i nie pozostawił suchej nitki na dziennikarzach próbujących zrobić z niego foliarza, ruską onucę i rasistę w jednej osobie, a nawet gorzej: siewcę rasowej nienawiści odpowiedzialnej np. za masowe strzelaniny, jeśli sprawca darzył jakąkolwiek sympatią teorię tzw. wielkiej podmiany.

Amerykanin zatem bez większego wysiłku, choć nie bez pewnego rozdrażnienia, w stylu właściwego mu talk-show przerobił te różne brednie na miazgę. Jego wypowiedzi stały się hitem w Internecie, a nawet podbiły niektóre australijskie media, jak przychylnie mu Sky News. Niemniej oprócz rozbawiającego spektaklu była to dlań okazja do zwięzłego przypomnienia i określenia, co naprawdę rozumie on przez „wielką podmiannę” i dlaczego krytykuje to zjawisko.

NAPŁYW IMIGRANTÓW

Tucker Carlson wskazał, że „wielka podmiana” to zastąpienie „rdzennej lud-

ności amerykańskiej”, w tym Afroamerykanów, którzy obecni są na amerykańskiej ziemi od kilkuset lat, przez brak jej naturalnej odnowy, masową imigracją ostatnich dekad. Innymi słowy: populacja Stanów Zjednoczonych się powiększa, ale nie dlatego, że rdzenni Amerykanie mają dzieci i przedłużają własny naród, lecz poprzez masowy napływ imigrantów.

Doświadczenie pokazuje jednak, że szczęśliwi ludzie w odpowiednich warunkach ekonomicznych chcą mieć dzieci, zatem jeśli ich nie posiadają, to znaczy, że politycy nie zajmują się problemami własnych obywateli, aby te odpowiednio warunki urzeczywistnić, a zamiast tego, wręcz przeciwnie, zajmują się problemami obywateli cudzych państw, sprowadzając ich na potęgę (legalnie lub nielegalnie) do własnego kraju.

Otóż mimo trudności semantycznych samego określenia „wielkiej podmiany”, uogólnień dokonanych przez Tuckera, złożoności populacji amerykańskiej (będącej par excellence historycznym rezultatem masowej imigracji), a nawet mimo pewnych naciągniętych założeń (kwestia demografii jest bowiem o wiele bardziej zawiła niż sprowadzanie jej wyłącznie do czynników ekonomicznych) sedno wypowiedzi amerykańskiego publicysty jawi się jako nad wyraz

trafne: w krajach dotkniętych zalewem imigracji brak troski o dobro wspólne istniejącego już narodu odczuwa się przez jego jaskrawe skutki przy jednoczesnym, a contrario, skrajnym przewrażliwieniu i totalnej poprawności politycznej na punkcie wszystkiego, co „imigranckie”, właśnie ze wspomnianym nieubłagłym skutkiem w postaci relatywnie szybkiej przemiany struktury etniczno-kulturowej danej nacji.

Można by rzeczywiście dywagować, czy to ukute we Francji określenie „wielkiej podmiany” jest adekwatne do określanej przezeń rzeczywistości – czy np. o wiele mniej dyskusyjne, a zarazem trafnie opisujące to zjawisko pojęcie „wielkiej przemiany” nie byłoby bardziej wskazane. Nie ma jednak wątpliwości, że to już ukute (i znienawidzone przez progresistów) frapujące wyobrażnię hasło skupia uwagę na tymże zjawisku, którego krytyka ma być przemilczana lub stygmatyzowana właśnie jako rasistowska, ksenofobiczna, nienawistna, w każdym razie – niedopuszczalna i naj- lepiej godna bezwzględnego potępienia i penalizowania.

RODACY ŻAŁUJĄ DAWNEJ POLSKI

Polska pod tym względem była do tej pory w tej dość wyjątkowej sytuacji, że mogła z perspektywy dystansu i swej

społecznej jednolitości, czyli przez kontrast, obserwować to wspomniane zjawisko w krajach Zachodu oraz towarzyszącą mu cenzurę. Kontrast ten być może był jeszcze bardziej uderzający dla mieszkańców tychże krajów w momencie, kiedy byli w stanie go dostrzec: w czasie ostatniej dekady niejednokrotnie słyszałem przypadkowych Francuzów czy Belgów wyrażających podczas pobytów turystycznych w Polsce nostalgię za utraconym światem ich dzieciństwa, zwierzenia, że Polska przypomina im ich kraj z lat 1960–1970. Nie precyzowali przy tym, o co dokładnie im chodzi, ale nie trzeba było być geniuszem egzegezy, by zrozumieć, że ich szczerze reminiscencje nie dotyczyły bynajmniej pierogów i barszczu, wódeczek i naleweczek czy nawet, już bardziej na poważnie, waluty narodowej wciąż u nas zachowanej.

Wystarczy zresztą spojrzeć na regularnie spotykany w mediach społecznościowych wysyp obrazków porównujących Polskę z innymi zachodnimi krajami z zapytaniem (w językach angielskim, francuskim itd.): „Jaką widzisz różnicę?”, by łopatologicznie pojąć, że tym, co tak bardzo mogło dotychczas uderzać odwiedzającego nasz kraj zachodniego turystę, był ewidentnie obraz etnicznej i kulturowej jednolitości populacji, w tym zasadniczy brak widocznej islamizacji kraju.

Otóż nie mam wątpliwości, że coraz więcej naszych rodaków zaczyna żałować kraju ich dzieciństwa, nie mając przy tym na myśli „uroków” właściwych dla samego PRL. Niezależnie od tego, czy następuje to z powodu rzekomej potrzeby ekonomicznej, humanitaryzmu czy utopijnej miłości do społeczeństwa otwartego (oznaczającej w praktyce nieważność do wszystkiego, co tożsamościowo ugruntowane), jakże szybko, w tak krótkim czasie, nasze polskie metropolie zmieniają się nieubłagalnie w wieże Babel, i bynajmniej nie mam tu na myśli zasilającej naszą gospodarkę turystyki z bardziej – z naszego punktu widzenia – „egzotycznych” krajów.

I jeśli wciąż daleko nam jeszcze do poziomu podparyskiego Sarcelles, gdzie zamieszkuje kilkadziesiąt różnych nacji (być może trafniejsze byłoby powiedzenie: koegzystuje) i wybrzmiewa nie

mniej języków, to nasz świat popkultury czy mas konsumpcji już dawno się dostosował, i to bardzo szybko, do wizji „nowego wspaniałego świata”, gdzie jednolitość ustąpiła miejsce maksymalnej różnorodności.

Jest rzeczą naprawdę godną uwagi, że w zasadzie wszystkie zagraniczne sieciówki w branży odzieżowej proponują nam w ostatnich latach, właśnie w Polsce, reklamy z zupełnie zróżnicowanymi rasowo modelami; w przypadku mężczyzn łączy ich w sumie zniewieściały wygląd „unisex”, tak jakby był to pospolity wygląd klientów tych marek – Azjatów, Arabów, Hindusów czy Murzynów spotykanych na ulicach USA czy zachodniej Europy tudzież w Polsce.

Przywołanie „Nowego wspaniałego świata” jest zresztą wymowne właśnie pod względem naturalnego punktu dojścia: jedna z głównych postaci powieści Huxleya, przedstawiciel zarządu światowego na Londyn, to Mustafa Mond – o tureckim imieniu i anglosasko brzmiącym nazwisku, zwiastujący ten nowy „zmiksowany” rasowo i etnicznie świat o nowej pstrokatą tożsamości bez tożsamości, z tą drobną różnicą, że ten nasz „nowy wspaniały świat” rzeczywiście rodzi się na naszych oczach, ale w dość dotkliwych bólach, bez większego znieczulenia.

Wystarczy przy tym w jakikolwiek sposób publicznie wyrazić swoją naturalną sympatię – a to przecież ma miejsce – dla odrębności etnicznej narodów (dla swej gens!), odwoływać się do statystyk zestawiających zjawisko imigracji i bezpieczeństwa (w tym bezpieczeństwa kobiet!), wykazywać preferencje narodową (tj. obywatelską!) w kwestii zasiłków i przywilejów itp., by łatwo zostać okrzykniętym obrzydliwym i godnym potępienia rasistą i ksenofobem.

STAWIAJĄC OPÓR

W każdym razie świat ten rzeczywiście się rodzi się nie bez trudności, napotykać mimo wszystko odczuwalny opór ze strony odchodzącego świata, niewystarczająco znieczulonego przez mass media i polityków niezdolnych tak po prostu wyciszyć zupełnie praw natury społeczeństw. Atlantyda nie chce dać się zatopić, jeśli nie bez walki, to przynajmniej bez wyrażonego oporu, czego

dobrym przykładem jest w ostatnim czasie właśnie Wielka Brytania, gdzie kryzys akceptacji „nowego wspaniałego świata” wybuchł w pełni na skutek zdarzenia działającego bardziej jako zwornik i niesłychanie silny impuls niż logiczna przyczyna – w tym wypadku były to brutalne zabójstwa dzieci przez młodego nożownika o imigranckich korzeniach.

Przy czym należy pamiętać, że dany kraj to znacznie więcej niż rasa – to naród, który w niektórych przypadkach ma nawet oblicze wielorasowe, jak w przypadku Stanów Zjednoczonych, co skądinąd jest wehikułem dla tarć, choćby poprzez możliwość antagonizacji części społeczeństwa. A zatem – jak słusznie wskazał wspomniany na wstępie Tucker Carlson – chodzi o utrzymanie utrwalonego już państwa narodowego, będącego naturalną konsekwencją istnienia danej nacji, a zarazem jedyną dlań ostoją i zabezpieczeniem.

Summa summarum kryzysy imigracyjne wszelkiej maści, choć mające również swe szczegółowe wytłumaczenia ekonomiczne (np. „sprowadzamy imigrantów, bo potrzebujemy rąk do pracy”), są, ogólnie rzecz ujmując, odśłoną kryzysu państw narodowych w wirówce globalizmu.

Viktor Orbán podczas tegorocznego uniwersytetu letniego Fideszu w Transylwanii trafnie zdiagnozował, że największy dziś priorytet to opowiedzenie się za państwem narodowym; największy wróg – globalizm. Mamy tu więc podwójną miarę, właściwą dla naszych uwarunkowań: polityk, który stawia na masową imigrację lub uważa, że jest nieunikniona (nieważne, czy jest ona legalna czy nielegalna!), siłą rzeczy pracuje dla obozu globalistów, niezależnie, czy deklaruje na ustach i pochodach plemienny patriotyzm. Ponadto jeśli polityk opowiada się za globalizacją (choćby pod nazwą europeizacji – wiadomo, nas tu, nad Wisłą, trzeba ciągle docywilizować i uszczęśliwiać), to możemy być pewni, że będzie sojusznikiem imigracjonizmu ze wszelkimi jego konsekwencjami. Państwo narodowe, a nie gospodarka, głupcze! Bo to pierwsze jest bezcenne i nie da się go po prostu odkupić, kiedy się je bezpowrotnie utraci.



Piotr Ciompa

Ogłoszona reforma szpitalnictwa to zbyt mały krok we właściwą stronę. Wymaga spełnienia trudnych warunków i dlatego prawdopodobnie podzieli los poprzednich reform

Pamiętamy, jakich problemów politycznych przysporzyła rządowi Prawa i Sprawiedliwości dwukrotnie forsowana reforma szpitalnictwa ministra Adama Niedzielskiego. Podsycany przez opozycję niepokój mieszkańców, wzburzenie także pracobiorców ograniczeniem ich władztwa nad szpitalami przyczyniły się mimo poniesienia kosztów politycznych do dwukrotnego wstrzymania reformy. Czy na podobną ścieżkę wkracza rząd Donalda Tuska?

Generalnie minister zdrowia Izabela Leszczyna zakłada zmniejszenie liczby szpitali i zastąpienie likwidowanych centrami zdrowia koncentrującymi się na poradnictwie specjalistycznym i opiece senioralnej. Mieszkańcom dojazd do szpitala się wydłuży, jednak obecna, gęsta sieć szpitali powstała, gdy sieć dróg nie zapewniała szybkiego transportu. Małe, słabiej wyposażone w aparaturę szpitale leczą gorzej także dlatego, że pewne przypadki chorób lub powikłań zdarzają się na tyle rzadko, że w mniejszym szpitalu lekarze nie mają wystarczającej praktyki. Zastąpienie części kosztownych szpitali centrami zdrowia to kierunek rekomendowany przez Unię Europejską – rozpoczęcie leczenia wcześniej w poradni jest efektywniejsze i tańsze niż zbyt późno w szpitalu. Stopień zaufania społecznego jest jednak tak niski, że wielu mieszkańców nie uwierzy obietnicy, że reforma poprawi ich sytuację. Osobnym argumentem jest utrata przez wiele samorządów największego pracodawcy w powiecie, którym często jest szpital, więc także narzędzia prowadzenia lokalnej polityki. Podobna debata trwa w Niemczech.



Nowy rząd, stary błąd

Jednak bardzo trudno jest w Polsce rozmawiać na ten temat, ponieważ szczerze zdiagnozowanie sytuacji i realne recepty mogłyby wywołać powszechne, ponadpartyjne oburzenia. Tak było np., gdy w 2019 r. ówczesny marszałek Senatu Tomasz Grodzki, wieloletni dyrektor szpitala, w niefortunnej formie oświadczył, że „w Polsce jest za dużo szpitali o jakości leczenia poniżej pożądanej i niedofinansowanych”. Został zaatakowany zarówno przez PiS, jak i swoich.

Po obu stronach także przez osoby, które wiedziały, że powiedział prawdę.

PLUSY I MINUSY

Ogromną zaletą ogłoszonej reformy jest oficjalne potwierdzenie diagnozy Tomasza Grodzkiego. Nie ma nic bardziej szkodliwego dla państwa niż reformowanie urojonej rzeczywistości.

I ze znaczących pozytywów to by było na tyle „wielkiej reformy”. Propozycje zmian zawierają kilka pozytywnych

Minister zdrowia Izabela Leszczyna
zakłada zmniejszenie liczby szpitali

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

prywatnych. Może się okazać, że środki finansowe oszczędzone na zwiększeniu efektywności szpitali wcale nie zostaną w publicznej służbie zdrowia, tylko wyciekną poza nią, a bilans odwrócenia piramidy świadczeń będzie dla samorządowych szpitali wbrew zapewnieniom autorów reformy, ujemny.

Tak samo autorzy reformy chowają głowę piasek w sprawie unormowania relacji szpitali z lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej. Proponuje się zliberalizowanie zasad udzielania świadczeń przez szpitalne oddziały ratunkowe i izby przyjęć, nie bacząc, że dziś SOR-y są zbyt często obciążane elementarnie nieuzasadnionymi skierowaniami do szpitala bez badań diagnostycznych, na które lekarze POZ mają przyznawany przez NFZ budżet. Można się spodziewać, że w wyniku „deregulacji” to zjawisko się pogłębi, ciążąc na funkcjonowaniu SOR-ów.

PIENIĄDZE NA STÓŁ!

Powołanie związków gmin, powiatów i samorządowych województw do prowadzenia szpitali niewiele zmieni, jeżeli podmioty te nie będą dysponować własnymi dochodami, w postaci udziałów we wpływach z podatków, bo tylko wtedy będą mogły poręczać zadłużenie szpitali i w razie ich niewydolności przejmować ich spłatę na siebie. Jeżeli za szpitalami nie będą stać podmioty gwarantujące ich zadłużenie własnymi dochodami, to dostawcy zaprzestaną szpitalom dostaw „na kreskę”, a nawet na wexel, więc przestaną leczyć. Taka zmiana wymagałaby znaczącego korekt ustroju finansowego samorządu. Nadto komuś te pieniądze należałoby zabrać. Kto się na to zgodzi bez politycznej awantury? Jeżeli natomiast zakłada się finansowanie „związków szpitalnych” ze składek ich samorządowych członków, to nie będzie to, jak usiłuje się nas o tym przekonać, żadna nowa jakość, bo z perspektywy wierzycieli finalny poręczyciel będzie ten sam co dziś. Nikt przecież nie zgodzi się na zabezpieczenie swoich należności przez podmiot niedysponujący własnymi dochodami, zwłaszcza w przypadku zobowiązań długoterminowych.

Owszem, należy docenić wprowadzenie przez taki samorządowy związek koordynacji działań sąsiadujących ze

Nie ma nic bardziej szkodliwego dla państwa niż reformowanie urojonej rzeczywistości

sobą szpitali lub ich połączenie. Ale jak pod jednym parasolem trzymać szpital o większym kontrakcie z NFZ i większym zadłużeniu niż szpital sąsiedni? Lub jak je „sprawiedliwie” połączyć, zwłaszcza szpitale prowadzone w formie spółki i SPZOZ? Dlaczego jeden samorząd miałby ewentualnie brać na siebie część długów nie swojego szpitala? Czy te długi miałyby, jak chcą autorzy reformy, być poręczane lub spłacane proporcjonalnie do „udziałów” powstałych z połączenia placówek szpitalu? Jaki charakter mają mieć te „udziały”? Przecież inaczej niż w przypadku udziałów w spółkach nie mogą być zbywalne. Niemożliwe jest więc przeprowadzenie ich wyceny rynkowej, by uzasadnić objęcie proporcjonalnego pakietu przez każdy z samorządów. Szkoda, że Izabela Leszczyna nie sięgnęła po rozważaną przez Adama Niedzielskiego koncepcję przekształcenia wszystkich szpitali finansowanych przez NFZ w spółki medyczne. Tak płacimy za zerwanie ciągłości myślenia państwowego.

WYRWANE KŁY REFORMY

Autorzy reformy nie uwzględniają, że wiele samorządów już dziś jest zadłużone w takim stopniu, że poręczenie zadłużenia szpitalowi lub przejęcie go na siebie spowoduje przekroczenie dopuszczalnych ustawowo norm. Czy planuje się skonstruować kolejny przywilej dla „najgorszych”, tak jak przewiduje się zamianę zobowiązań wymagalnych szpitala na kredyt w Banku Gospodarstwa Krajowego umarzany przez 10 lat, jeżeli szpital realizuje reformę? Czy to sprawiedliwe, że dobry szpital bez zobowiązań wymagalnych nie otrzyma wsparcia finansowego z BGK, jak szpitale gorsze? Powtórzyłaby się lekcja wszystkich dotychczasowych oddłużeń szpitali w III RP – nie warto się starać, bo i tak podatnik w końcu zapłaci. Przecież państwo nie zlikwiduje jedynego szpitala w okolicy

rozwiązań, ale ich ciężar gatunkowy plasuje je raczej pośród korekt systemu, a nie nowego otwarcia. Zastąpienie sześciu poziomów finansowania placówek jednym to nie przełomowa „deregulacja”, a powrót do czasów sprzed 2016 r., z wyłączeniem pozornych konkursów NFZ na świadczenia medyczne szpitali. A przecież z tamtych rozwiązań też nie byliśmy zadowoleni.

Owszem, dopuszczenie związków jednostek samorządu terytorialnego prowadzących wiele szpitali w regionie, względnie łączenie tych szpitali lub powołanie powiatowych centrów zdrowia mogłoby zmienić jakość lokalnej organizacji ochrony zdrowia, ale ścieżka dojścia do tych celów została ukazana tak mgliście, że trudno dać wiarę, iż tym razem reforma przejdzie przez katarakty, na których utonęły jej wcześniejsze próby.

Przewidując przesunięcie nakładów z leczenia szpitalnego na leczenie w poradniach specjalistycznych, ogłoszony projekt nie odnosi się do zjawiska „wyprowadzania” pacjentów przez wielu lekarzy szpitalnych do poradnictwa pozaszpitalnego, czyli swoich gabinetów

■ lub rząd nie pójdzie na konfrontację z lokalnymi postaciami koalicji rządowej, od których zależy większość w parlamencie. Szefowa resortu zdrowia uspokaja samorządowców: „Szpitale, które nie finansują się [...], muszą się restrukturyzować. Nie będziemy ich likwidować. Będziemy rozmawiać”. Na miejscu mniej ambitnych samorządowców i dyrektorów szpitali z tych słów wyciągnąłbym następujący wniosek: bierzmy, co dają, i jak dotychczas nic nie zmieniamy, bo państwo po raz kolejny się z tym pogodzi.

Autorzy reformy jakby nie uwzględnili w swoich planach wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 20 listopada 2019 r., ostatniego, w którego składzie orzekającym większość mieli sędziowie wybrani za rządów PO/PSL. Na wniosek Sejmiku Województwa Mazowieckiego, czyli koalicji PO/PSL, Trybunał orzekł, że z konstytucji ma wynikać, iż samorządy nie mają obowiązku pokrywania strat szpitali. Konstytucja nie wypowiada się na ten temat, ale „wrażliwość prawna” sędziów kazała im powziąć niepodważalną pewność, że ogólnikowe zapisy ustawy zasadniczej prowadzą dokładnie do takiej konkluzji. Uzasadnienie wyroku, pełne apodyktycznych stwierdzeń o funkcjonowaniu ochrony zdrowia opartych na wiedzy na poziomie gazetowym, jest kopalnią argumentów kwestionujących obciążanie samorządów finansowaniem szpitali. Na miejscu minister Leszczyny nie byłbym pewien, czy wygra przed sądem spór z powiatem, jeśli jego szpital dziś weźmie pieniądze z BGK, a za kilka lat, gdy nie spełni warunków ich umorzenia, starosta z powołaniem się na ten wyrok zakwestionuje przerwienie na powiat zadłużenia szpitala. Trybunał sądzi, że pełny obowiązek finansowania służby zdrowia spoczywa na rządzie. Jeżeli sądy to potwierdzą, to reformie Izabeli Leszczyny zabraknie kluczowego domknięcia nowego systemu finansowania szpitali.

Na marginesie podpowiem pani minister, że w ewentualnym sporze sądowym z samorządowcami będzie mogła czerpać ze zdania odrębnego do wyroku TK sędziego Mariusza Muszyńskiego, zwanego „dublerem” z powodu jakoby nieprawidłowego wyboru jego osoby w skład Trybunału. Doprawdy, to byłoby komiczne słuchać argumentacji koalicji

rządowej przeciwko wyrokowi „swojego” Trybunału Konstytucyjnego podważającej w imię władztwa scentralizowanego państwa „kult samorządności”.

GRZECH PIERWORODNY

Adam Niedzielski również wybrał z pozoru łatwą drogę. Wiedząc, że nie może liczyć na samorządy, bo wiele z nich mało wymaga od siebie, obwiniając za kłopoty swoich szpitali wyłącznie innych, odpuścił sobie dialog, a swoją reformę chciał przeprowadzić centralistycznie i konfrontacyjnie. Gwóźdź do jego reformy wbili mu starostowie z PiS rękami lokalnych posłów tej partii.

Paradoksalnie i reforma Niedzielskiego, i reforma Leszczyny mają ten sam grzech pierworodny. Jest nim „autorskie” podejście do opracowania

Weto prezydenta odłożyłoby przeprowadzenie reformy może nawet o dwa lata, czyli przekreśliłoby ją w obecnym kształcie

koncepcji. Przejawiło się ono w przypadkach obu ministrów w arbitralnym powołaniu zespołu opracowującego reformę. W warunkach morderczej polaryzacji pierwszym, ważniejszym niż wiedza technokratów warunkiem reform wykraczających poza jedną kadencję parlamentu jest porozumienie ponad podziałami, by kolejny rząd nie odkręcał decyzji poprzedników, z którymi nie miał nic wspólnego. Może bez winy Izabeli Leszczyny takie porozumienie ponad podziałami w sprawach szpitali jest dziś niemożliwe. Wtedy lepiej się ograniczyć do decyzji wykonalnych w okresie jednej kadencji parlamentu, zamiast destabilizować system zapowiedziami rewolucyjnych zmian, których ryzyko rozgrzebania i niedokończenia jest znaczące.

Porozumienia ponad podziałami nie ma i przed wyborami prezydenckimi, a może i później, nie będzie. Tymczasem wdrożenie reformy wymaga przekonania mieszkańców, dlaczego rezygnacja z tego, co mają dziś, nawet niezadowolającego, przyniesie poprawę jutro. Wyobrażam

sobie bunt w matecznikach PiS czy Platformy, gdyby ich własne rządy chciały społeczności lokalnej odebrać „nasz” szpital, jak to mogliby przedstawiać przeciwnicy polityczni. Taka edukacja wymaga jedności klasy politycznej i wzajemnego zaufania. Dlaczego samorządy niekontrolowane przez obecną koalicję rządową mają zaufać, że aparat państwowy odpowiedzialny za przeprowadzenie reformy będzie je tak samo traktował jak samorządy rządzone przez koalicję rządową? A przecież szpitale konkurują o ograniczone zasoby finansowe NFZ i tych samych pacjentów. Na przykład prezes NFZ ma udzielać zgody na finansowanie szpitala bez świadczenia kosztownej hospitalizacji ostrej. Taki szpital będzie miał przewagę konkurencyjną nad szpitalem sąsiednim. Czy prezes NFZ będzie równo traktował zarówno powiat zarządzany przez koalicję rządową, jak i powiat zarządzany przez inne siły polityczne?

KLUCZ U PREZYDENTA

Kluczem do przyjęcia tej reformy jest stanowisko prezydenta. Jeżeli prezydent uzna, że niekontrolowane przez koalicję rządową samorządy mogą zostać pokrzywdzone, to prawdopodobnie zawetuje ustawy. Odłożyłoby to uchwalenie reformy może nawet co najmniej o dwa lata, czyli przekreśliłoby ją w obecnym kształcie, gdyż rzeczywistość, np. poziom zadłużenia szpitali, będzie już inna. Za wetem przemawia to, że reforma minister Leszczyny nikomu nie stawia wymagań – ani samorządowcom, ani lekarzom czy pielęgniarkom, ani związkom zawodowym czy też pacjentom. Po pierwsze, ma być miło, bez antagonizowania interesariuszy, którzy nie chcą reformy niewydolnego systemu, tylko pompowania weń coraz więcej pieniędzy. Takie antagonizmy mogłyby się negatywnie odbić na sondażach. W tak trudnym obszarze funkcjonowania państwa, jakim jest ochrona zdrowia, to potwierdza pytanie, czy reforma jest realna, czy rzeczywście rząd jest zdeterminowany ją wdrożyć. Donald Tusk odkłada trudne decyzje lub pozoruje zajmowanie się nimi. Reforma szpitalnictwa wpisywała się w taką politykę. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor był menedżerem w prywatnej i publicznej służbie zdrowia, dyrektorem szpitali, do 2024 r. członkiem Rady NFZ.

Mija właśnie 10 lat od uroczystego otwarcia ECS w obecnej postaci i nie o kontrowersyjny architektonicznie (osobiście mi się podoba) gmach tu chodzi. Chodzi o dzisiejszy kurs ECS pod kierownictwem dyrektora Basila Kerskiego. Pamiętam dokładnie tę uroczystość (30 sierpnia 2014 r.), na której – pomimo już wyczuwalnych podziałów – pojawili się „prawie wszyscy”. Później wydarzenia potoczyły się w bardzo niepokojącym kierunku, prowadzącym do poważnej polaryzacji. Ta polaryzacja, miast ustępować, coraz bardziej się pogłębia. Mało tego, odczuwam pewne zadowolenie obecnego kierownictwa z faktu jej nasilenia.

Przypominam, że duch Solidarności od Sierpnia '80 miał niezwykle dar łączenia. Obecny trend podsyłania polaryzacji jest odrzuceniem przesłania Solidarności, a przecież nie do tego ECS – w zamyśle Pawła Adamowicza – był powołany. Pozwalam sobie na przywołanie jego myśli, ponieważ miałem przyjemność uczestniczyć u zarania tegoż projektu w sesji Rady Miasta Gdańska w 1999 r., podczas której dość świeżo upieczony prezydent przedstawiał projekt uchwały inicjującej działania formalne w kierunku powołania instytucji. Wreszcie byłem członkiem Zarządu Województwa Pomorskiego, który uczestniczył w każdej poszczególniej formule prawnej dzisiejszego ECS. Mniej ważna jest formuła prawna, ważne są geneza ruchu Solidarności i sam proces jego budzenia.

Miałem też okazję uczestniczyć w kolejnych procesach. Strajk 1970 r. zastał mnie w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Miałem wówczas 15 lat, ale dokładnie pamiętam te emocje. W sierpniu 1980 r. uczestniczyłem już jako dorosły członek podziemnego Ruchu Młodej Polski. Wreszcie 16 grudnia 1981 r. odpierałem brutalny szturm milicji i wojska na Stocznę Gdańską. Nie będę szczegółowo opisywał sytuacji, ale wielu z mojego pokolenia pamięta tę atmosferę, te emocje, tę rozpacz. Solidarność formalnie miała postać związku zawodowego, ale w istocie była ruchem niepodległościowym, zakorzenionym głęboko w marzeniu o wyzwoleniu się spod jarzma rosyjskiego. Wszystkie strajki, wszystkie demonstracje odbywały się pod flagą narodową,

Czarny łabędź gubi pióra



Kazimierz Klawiter

W sierpniu 1980 r. wyleciał z Gdańska „czarny łabędź” i zafascynował cały świat. Mało jest takich zjawisk w historii cywilizacji, które by zmieniły dzieje w tym stopniu co ruch Solidarności. Jedną z instytucjonalnych prób dbania o to dziedzictwo jest stworzenie Europejskiego Centrum Solidarności – projekt śp. Pawła Adamowicza. Czy ECS realizuje tę misję?

z białą-czerwonymi opaskami i – co chyba najważniejsze – prawie nie było metra kwadratowego bez krzyża, bez niezwykle licznych portretów Jana Pawła II i wielu świętych. Cały czas mieliśmy z tyłu głowy złowieszczą myśl: „Wejdą czy nie wejdą?”. Chodziło oczywiście o interwencję Armii Czerwonej.

SIERPIEŃ ZACZAŁ SIĘ W MAJU...

... i to z Panem Bogiem. Rok 1980 był rokiem niezwykle ważnym. Już wcześniej, w 1979 r., umawialiśmy się w propagandzie szeptanej, że w grudniu '80 postawimy „siłowo” pomnik Poległych Stoczniovców 1970. W uroczystość NMP Królowej Polski i Święto Konstytucji, 3 maja, odbyły się Msza św., a później manifestacja pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego. Wiec zakończył się brutalnym pobicie i wyrokiem trzymiesięcznego aresztu dla mówców: Darka Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego. Jedynym możliwym wsparciem, które mogliśmy wtedy dać, była cykliczna modlitwa w kościele Mariackim. Zaryzykowalbym twierdzenie, że bardzo znacząco

dawała nadzieję i podnosiła na duchu cały Gdańsk.

Jako stały uczestnik tych wydarzeń czułem na własnej skórze te emocje. Dla mnie prostym następstwem i ciągłością zdarzeń był wybuch strajku w stoczni, który przeszedł wszelkie wyobrażenia i zamierzenia przywódców i wrogów. Jak się później okazało, uczestnicy Ruchu Młodej Polski dali silne wsparcie praktyczne, eksperckie i emocjonalne strajkującym, te ostatnie zwłaszcza poprzez modlitwę.

ŹRÓDŁO SIŁY

Bezsprzecznie siłę ducha narodu wskrzesił Jan Paweł II. Przełom dokonał się wraz z wyniesieniem na Stolicę Piotrową, a uwidocznił się najbardziej w pierwszej pielgrzymce do ojczyzny (2–10 czerwca 1979 r.), kiedy – jak to określił Stefan Kisielewski – nagle cały naród wyszedł spontanicznie na ulice i czuł, że jest razem.

Przy każdej wielkiej decyzji czuliśmy obecność Jana Pawła II. Do Rzymu udawali się prawie wszyscy i szukali

■ duchowego wsparcia. Było to bardzo mocno widoczne przez cały karnawał Solidarności, a po stanie wojennym najjaśniejszy przekaz sformułował Jan Paweł II na monumentalnym wydarzeniu, którym były Msza Święta i spotkanie na gdańskiej Zaspie 12 czerwca 1987 r. Był to moment nieprawdopodobnego uniesienia i można powiedzieć, że to wydarzenie zawładnęło Polską, zawładnęło narodem. Gdańsk, nieprzebrane tłumy, majestatyczny, powalający ołtarz w kształcie łodzi Piotrowej i – nade wszystko – homilia, której myśl wybrzmiewa do dziś: „Jeden drugiego brzemiona noście”.

W sposób oczywisty ruch inspirował się katolicką nauką społeczną. Naturalnie Solidarność była ruchem pluralistycznym od samego początku, co objawiało się choćby w obecności ekspertów w stoczni pochodzących z różnych środowisk, również z lewicy laickiej (np. Kuroń, Modzelewski). Co ciekawe, wszystkie środowiska korzystały z nieformalnego parasola Kościoła katolickiego, a już zupełnie mocno: kampania wyborcza Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w 1989 r. nie odbyłaby się bez technicznego wsparcia struktur parafialnych. Cały naród ma prawo do czerpania z dziedzictwa Solidarności, ale w sposób uczciwy nie można oderwać Solidarności od chrześcijańskiego etosu, w skrócie – od Dekalogu.

DZIESIĘCIOLECIE ECS

Deklaracje powołania ECS podpisały uroczystie i zgodnie wszystkie strony w 2005 r. podczas obchodów 25. rocznicy Sierpnia '80. Uroczystości wypadły dostojnie, tłumnie i radośnie. Dość przypomnieć, że bracia Kaczyńscy i Aleksander Kwaśniewski bawili się do białego rana. To, niestety, był ostatni tak radosny bal.

W 2007 r. nastąpiło formalne powołanie ECS z uzgodnionym tekstem misji, który określa cele główne jako upamiętnienie dziedzictwa i przesłania Solidarności oraz inspirowanie projektów obywatelskich zgodnych z duchem Sierpnia '80 w Europie i na całym świecie. Bez wątpienia liderem projektu od strony ideowej i praktycznej był śp. Paweł Adamowicz. Rozwój jego wizji bacznie obserwowałem, byliśmy także w stałym dialogu partyjnym i urzęd-



Wierni na Mszy św. dla ludzi pracy z udziałem Jana Pawła II na Gdańskiej Zaspie, 12 czerwca 1987 r., trzymają transparent o treści: „Boże chroń nas przed komunizmem – Solidarność”. Zdjęcie ze zbioru fotografii przekazanych do IPN przez Stanisława Składanowskiego, sygnatura: IPNB-U-7-7-8-47

Europejskie Centrum Solidarności (na zdjęciu) powinno być jedną z instytucji, która – realizując główne przesłanie Solidarności – buduje dialog

FOT. ADOBE STOCK



Tłumy wiernych na Mszy św. dla ludzi pracy z udziałem Jana Pawła II na gdańskiej Zaspie, 12 czerwca 1987 r. – po prawej stronie ołtarz papieski stylizowany na dawny żaglowiec floty gdańskiej. Zdjęcie ze zbioru fotografii przekazanych do IPN przez Stanisława Składanowskiego, sygnatura: IPNBU-7-7-8-45



Jeśli na wystawie stałej ECS, w centralnym miejscu, nie ma ani Jana Pawła II, ani ks. Jerzego Popiełuszki, to jest to objaw zupełnego niezrozumienia przesłania Sierpnia lub celowe fałszowanie przekazu. Wygląda na to, że obecne kierownictwo dokonuje swoistej rewolucji kulturowej, odrzucającej kulturę chrześcijańską (bazę Solidarności), i próbuje udowodnić – niestety ze skutkiem – że główną bazą aksjologiczną jest przesłanie rewolucyjne z bliżej niezdefiniowaną wolnością. Działania ostatnich lat doprowadziły do wystąpienia z projektu NSZZ „Solidarność”. Po czasie wiemy, że doprowadziło to do powołania Instytutu Dziedzictwa Solidarności, który widzi ducha „S” w jego tradycyjnej postaci.

Ta sytuacja każe zadać pytanie, czy roztropnie zarządzamy naszym ważnym, rozpoznawalnym na świecie dziedzictwem. W dużej mierze przegrywamy tę rywalizację z tzw. obaleniem muru berlińskiego jako symbolu zwycięstwa nad komunizmem. Na tę kradzież symboliki nie możemy się zgodzić, ale to już wymaga bardzo silnych i metodycznych działań.

BASIL KERSKI: W POLSCIE NIE DOJRZELIŚMY DO NIEPODLEGŁOŚCI

W mojej ocenie misja realizowana dzisiaj przez Basila Kerskiego mocno odbiega od ducha gdańskiego i od ducha

Pawłowego. Gorąco polecam lekturę najważniejszego dokumentalnego źródła powstania ECS, którym jest „Projekt powołania Muzeum »Polskiej drogi do wolności«” z marca 1998 r.

Przekleństwem ostatnich lat są pęknięcie i polaryzacja narodu, a ECS powinno być jedną z instytucji, która – realizując główne przesłanie Solidarności – buduje dialog. Jest wręcz przeciwnie. Jako członek Rady ECS odczuwam wręcz sztywność z tzw. drugiej strony i faktycznie zupełny brak chęci budowania narzędzi dialogu. Przykład: w 2021 r. ECS włączył się bardzo mocno w destabilizację obrony Polski przed nawałnicą rosyjsko-białoruską, a nawet odbyły się próby porównania ograniczonego stanu wyjątkowego w 2021 r. ze stanem wojennym w 1981 r. Takie przykłady można mnożyć. Stosunkowo niedawno Basil Kerski w wywiadzie zarzucił Polakom, że nie dojrżeli do niepodległości.

Moim marzeniem jest powrót ECS do nurtu dialogu jako symbolu Gdańska – którego dobrym przykładem był Lech Bądkowski – wielka postać Gdańska przedsierniowego i pierwszy rzecznik prasowy Solidarności, organizator Klubu Myśli Politycznej im. Konstytucji 3 Maja – a także aktywna obrona przed przeniesieniem środka ciężkości na upadek muru berlińskiego. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest radnym województwa pomorskiego, członkiem Rady ECS.

Nowa wojna z mszą trydencką?



Paweł Chmielewski

Trzy lata temu papież Franciszek podjął próbę usunięcia z Kościoła katolickiego tradycyjnej Mszy Świętej. Poniósł w tym całkowitą klęskę. Nic dziwnego, że w jego otoczeniu narasta frustracja i myśli się o ponownych restrykcjach

Jeszcze na początku 2021 r. tylko część katolików w Polsce zdawała sobie sprawę, że jest w ogóle coś takiego jak msza trydencka – po łacinie, sprawowana ad orientem („tyłem do zwykła. Starsi pamiętali, że było tak w ich dzieciństwie i może młodości; niektórzy czytelnicy mainstreamowej prasy kościelnej kojarzyli też nazwisko abp. Marcela Lefebvre’a. Na tym się kończyło, bo nawet jeżeli uwzględnić założone przez niego Bractwo Kapłańskie św. Piusa X – w na-

szym kraju mszę trydencką sprawowano łącznie w ok. 100 kościołach i kaplicach. Na 10 tys. parafii w Polsce to niewiele. W innych krajach, zwłaszcza w USA i we Francji, miejsc z celebracją dawnej mszy mogło być więcej, ale nigdzie nie szło o zjawisko masowe.

Wtedy do tradycyjnej liturgii wziął się papież Franciszek. Trzy lata temu, 16 lipca, ogłosił dokument „Traditionis custodes”. Chciał całkowicie zlikwidować mszę trydencką, ale postąpił tak nieudolnie, że w efekcie... tylko ją spopularyzował. Dla Kościoła to wprawdzie całkiem dobrze, ale nie zdziwiłbym się, gdyby papież doszedł po czasie do wniosku, że wrzucono go na minę. Ideolodzy na jego zapleczu wściekli się, wiedząc, że zrobili z siebie głupców. Pałają dziś żądzą odwetu.

PRZEKONYWANIE FRANCISZKA

„Traditionis custodes” przygotowała grupa progresywnych „ekspertów” od liturgii. Najważniejszą rolę odegrali świecki profesor Andrea Grillo oraz abp Vittorio Viola. Ten pierwszy już kilka lat wcześniej odgrażał się, że Franciszek zamierza zakazać mszy tradycyjnej, ale wstrzymuje się z decyzjami ze względu na szacunek

dla swojego poprzednika, Benedykta XVI. Grillo przekonywał, że papież ostatecznie musi coś zrobić, bo środowiska tradycyjne są rzekomo szkodliwe, jako że rozbijają jedność liturgiczną Kościoła: z ich powodu są jakby dwie msze – nowa i stara. Tak nie powinno być – utrzymywał. W te same tony uderzał Vittorio Viola, duchowny ściśle związany z dziedzictwem Annibalego Bugniniego, twórcy posoborowej reformy liturgicznej, oskarżonego o przynależność do masonerii i wyrzuczonego przez Pawła VI z Watykanu. Viola nosi nawet jego pierścion biskupi. Obaj dążyli do wyeliminowania mszy trydenckiej, a mieli w Rzymie wielu sojuszników.

W 2021 r. kierujący Kongregacją Kultu Bożego Anglik, Arthur Roche, nakłonił papieża Franciszka do złożenia podpisu pod dokumentem opracowanym przez włoskich wrogów dawnej mszy. Jego treść była w sumie prosta. „Traditionis custodes” stanowiło, że w Kościele rzymskim jest tak naprawdę wyłącznie jeden ryt liturgiczny, tzn. nowy, ten zreformowany – i wszyscy mają uczestniczyć jedynie w nim. Kto jeszcze tego nie robi, ten powinien zostać cierpliwie „doprowadzony” do zmiany zdania.

Gdyby potraktować literę tego dokumentu poważnie, msza w rycie tradycyjnym stałaby się jakimś nonsensem, wewnętrzną sprzecznością: liturgia sprawowana w Kościele przez całe wieki (sic!) nagle przestała jakoby wyrażać wiarę tego Kościoła, zostając zepchnięta do pozycji ledwie tolerowanego reliktu przeszłości, eksponatu muzealnego, który już tylko przez chwilę może być używany w realnym życiu...

Było to tak absurdalne, że poza propagandystami sterowanymi przez watykańskie biuro prasowe niewielu chciało przyjąć tę narrację: krytyka sypała się zarówno z prawej, jak i z lewej strony. A na tym nie koniec, bo „Traditionis custodes” pozbawiło też kluczowych kompetencji biskupów. Zgodnie z prawem Kościoła to właśnie biskupi kierują liturgią w swoich diecezjach – ale dokument Franciszka bezzasadnie im to odebrał, chcąc zmuszać ich, jak uczniów, do proszenia się w Watykanie o zgodę na to, by podległy biskupiej władzy ksiądz mógł odprawić dawną mszę...

Wywołało to w światowym episcopacie dość powszechną dezaprobatę – i opór. Restrykcje „Traditionis custodes” weszły w życie tylko w niektórych diecezjach. W wielu wprowadzono je częściowo, w innych – w ogóle, po prostu ignorując watykańskie normy. Co więcej, katolickie media zaczęły od tego czasu poświęcać o wiele więcej miejsca mszy trydenckiej i związanym z nią wspólnotom, a tradycyjni kapłani i wierni zaczęli być prezentowani jako prześladowana mniejszość. Mniejszości, jak wiadomo, mają dziś wzięcie: liberalna opinia publiczna wyrobiła sobie nawyk stawiania w ich obronie i w tym przypadku zadziałało to całkiem nieźle. Kaplice Bractwa św. Piusa X zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Grillo, Viola i cała reszta watykańskich wrogów liturgii przedseminarnej nie mogli być zadowoleni.

Próbowano ratować sytuację. Jeszcze w tym samym 2021 r. kard. Roche próbował ożywić „Traditionis custodes” nowymi wytycznymi; rok później namówiono Franciszka do wydania listu pt. „Desiderio desideravi”, który wprawdzie stwierdzał, że msza trydencka ma zostać zlikwidowana, ale nie wprowadzał już nic nowego; wreszcie w roku ubiegłym Roche ogłosił niewielkie pismo, w którym w dość rozpaczliwym tonie przypo-

minał, że jest prefektem Dykasterii Kultu Bożego i trzeba go słuchać...

NAPIĘTA SYTUACJA

Nie zdało się to wszystko na wiele. Dlatego ekstremiści liturgiczni zaczęli przeżywać nad wyprowadzeniem kolejnego ciosu, tym razem jakoby druzgocącego. Jak przekonują watykańscy, w Kurii Rzymskiej przygotowano projekt nowego dokumentu, który miałby całkowicie zakazać sprawowania tradycyjnej mszy przez zwykłych księży diecezjalnych. Możliwość jej celebracji miałaby odtąd wyłącznie kapłani należący do kilku wspólnot, które są dedykowane dawnej liturgii. Gdyby tego rodzaju zakaz wszedł w życie, w Polsce z dnia na dzień zniknęłaby zdecydowana większość miejsc celebracji mszy trydenckiej, a część wiernych zostałaby nagle z niczym.

Przez długi czas prace nad takim tekstem były prowadzone na tyle delikatnie, że opinia publiczna nic o nich nie wiedziała. Do mediów informacje o dokumencie przedostały się dopiero w czerwcu tego roku. Przeciwnicy z Watykanu mówią, że za takim surowym zakazem lobbował zwłaszcza kard. Roche, chcąc ratować swój autorytet po „Traditionis custodes”. Papież miał mu jednak odmówić, niezadowolony z kształtu tekstu. Polecił ponowne zredagowanie dokumentu, który Anglik położył na jego biurku. Sprawa w 2023 r. trafiła do Vittoria Violi, a ten w porozumieniu z kilkoma najważniejszymi kardynałami Kurii Rzymskiej zmienił poprzedni tekst i przedstawił go Franciszkowi.

Watykańscy poinformowali, że papież jednak ponownie odmówił i zdecydował się odłożyć dokument na półkę. Dlaczego? Tego możemy się tylko domyślać, ale warto pamiętać, że Franciszek w gruncie rzeczy nigdy nie interesował się liturgią. Nie to, żeby mszę trydencką lubił: z różnych jego wypowiedzi na temat dawnej liturgii wiemy, że tak nie jest. Wydaje się jednak, że papież jest niechętny nie tyle samemu rytowi, ile znacznej części środowiska, które dawną mszę ceni – to przecież bardzo często jego krytycy, głośni zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Być może z ich powodu w 2021 r. dał się przekonać do ogłoszenia „Traditionis custodes”. Dziś papież ma jednak bardzo poważne problemy z utrzymaniem jedności w Kościele. Po tym, jak w grudniu 2023 r. dał kard. Victorowi Fernándezowi zielone światło na wprowadzanie

nie błogosławieństw dla par LGBT, sytuacja jest skrajnie napięta, a wielu biskupów znajduje się na krawędzi otwartego buntu wobec Watykanu. Rozpoczynanie kolejnej bitwy o liturgię nie jest papieżowi do niczego potrzebne. Watykańscy przekonują, że bardziej umiarkowani hierarchowie zdecydowanie odradzali Franciszkowi podejmowanie kolejnych działań na tym polu. Tymczasem papież woli słuchać właśnie ich.

EKSTREMIŚCI NIE SKŁADAJĄ BRONI

Gdyby Ojciec Święty zdecydował się na powszechny zakaz dawnej liturgii, musiałyby zresztą liczyć się z negatywną reakcją... części świata kultury. Kiedy św. Paweł VI wydał nowy Mszał Rzymski, wprowadzając w miejsce mszy trydenckiej zreformowaną liturgię, otrzymał dobrze znany list z Wielkiej Brytanii: przedstawiciele angielskich i walijskich elit intelektualnych w 1971 r. poprosili go o zgodę na to, by w ich krajach można było nadal odprawiać dawną liturgię, a to ze względu na jej ogromną wartość cywilizacyjną. Swoje podpisy pod prośbą złożyli nie tylko katolicy, lecz także anglikanie, a nawet niewierzący. Mówi się, że kiedy Paweł VI czytał listę sygnatariuszy i zauważył nazwisko sławnej Agathy Christie, wykrzyknął – i zgodził się udzielić koncesji. Do tego wydarzenia ostatnio dwukrotnie nawiązano. Do Franciszka napisali najpierw przedstawiciele współczesnych brytyjskich elit, prosząc, by ze względów kulturowych nie zakazywał tradycyjnej mszy. To samo zrobili nieco później ludzie kultury ze Stanów Zjednoczonych. Czy oba listy miały jakiś realny wpływ? Trudno rozstrzygać, ale takich inicjatyw lepiej nie bagatelizować: Franciszek jest wyczulony na opinie elit.

Ekstremiści liturgiczni nie składają jednak broni. W ostatnich tygodniach Vittorio Viola nieledwie szaleje, wydając wiele indywidualnych zakazów sprawowania dawnej liturgii. Stara się wyzyskać do końca „Traditionis custodes”, odbierając mszę trydencką a to jakieś diecezji, a to jakimś pielgrzymom. Można mieć nadzieję, że to przedśmiertne drgawki antytrydenckiej ideologii. Katolicy wierzą, że bramy piekielne nie przemogą Kościoła. Jak mogłyby przemóc ryt mszy, którym Kościół żył przez długie wieki? © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest publicystą portalu PCh24.pl.

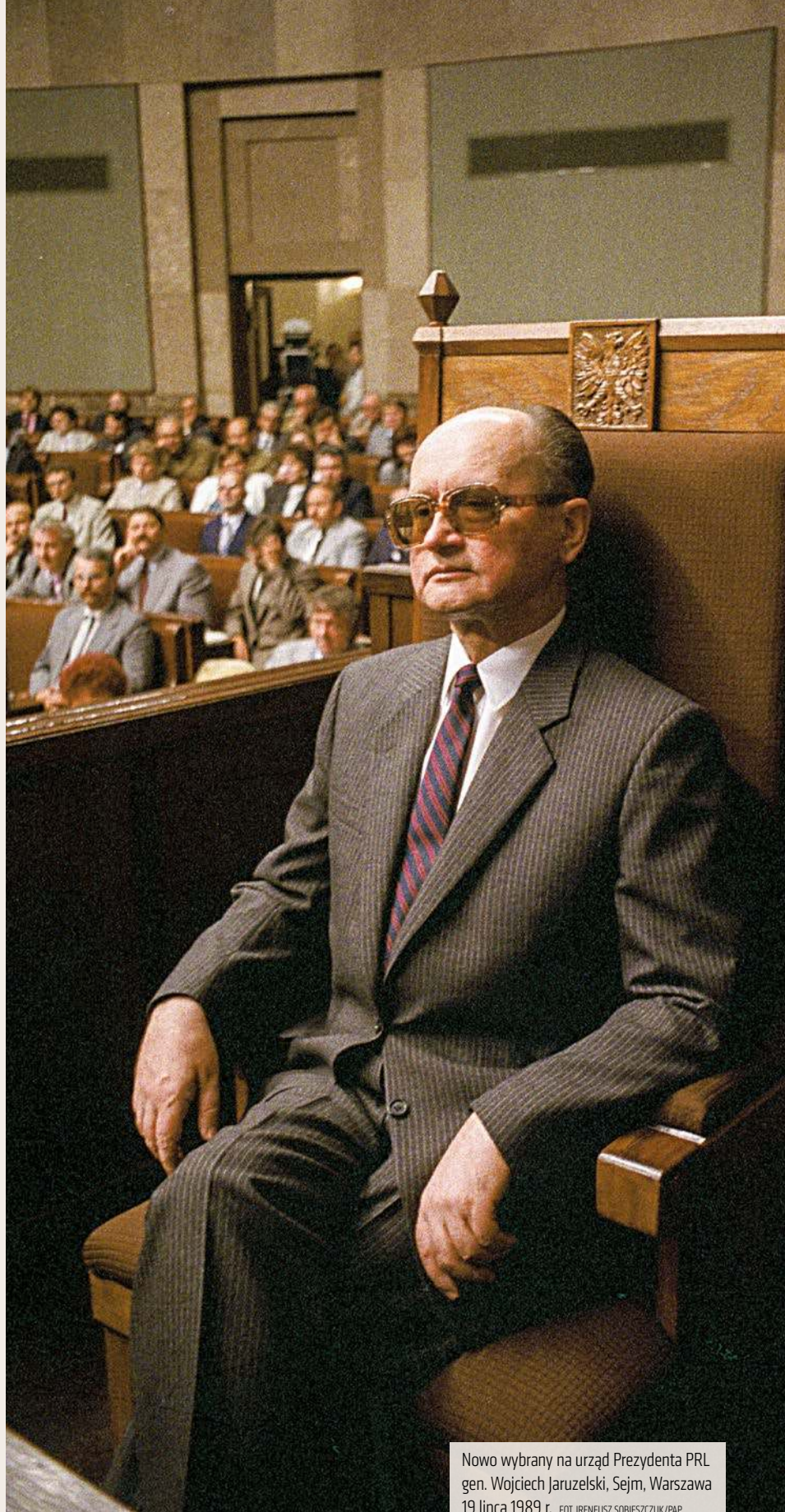
KAROL GAC: Trzydzieści pięć lat temu, 19 lipca 1989 r., Wojciech Jaruzelski został prezydentem PRL. Koncepcja ta zaczęła się materializować latem 1988 r. Jakie było wówczas tło społeczno-polityczne?

PROF. ANTONI DUDEK: Sam pomysł przywrócenia urzędu prezydenta pojawił się już podczas rewolucji Solidarności w latach 1980–1981. Wzięło go na sztandar Stronnictwo Demokratyczne, czyli jedno z dwóch satelickich ugrupowań wobec PZPR. Wówczas praktycznie nikt nie był zainteresowany tą koncepcją. Minęło jednak kilka lat od wprowadzenia stanu wojennego i w drugiej połowie lat 80., gdy mieliśmy pierestrojkę Gorbaczowa, o tym pomyśle przypomnieli sobie doradcy Wojciecha Jaruzelskiego, którzy pisali tajne memoriały, czyli słynny „zespół trzech” – Jerzy Urban, Stanisław Ciosek i gen. Władysław Pożoga. Mniej więcej od przełomu lat 1986 i 1987 zaczęli oni sugerować Jaruzelskiemu, że są potrzebne silne impulsy wobec społeczeństwa, aby nie doszło do wybuchu niezadowolenia społeczeństwa, bo sytuacja gospodarcza była coraz gorsza.

Ucieczka do przodu?

Dokładnie tak. Stwierdzono, że w jej ramach trzeba reaktywować urząd prezydenta, którym miał zostać Wojciech Jaruzelski. Natomiast on sam był wobec tego mocno sceptyczny. Do tego stopnia, że jedno z pytań referendalnych z listopada 1987 r., które miało pierwotnie dotyczyć przywrócenia urzędu prezydenta, zmieniono na takie, w którym zapytano, czy popiera się dalsze zmiany polityczne zmierzające do demokratyzacji państwa. W sumie było to absurdalne, ale pokazywało rozpad strategicznego myślenia w ekipie Jaruzelskiego. Zresztą i samo referendum skończyło się kompromitacją władzy. Na to nałożyło się rosnące niezadowolenie społeczne, czyli dwie fale strajków z 1988 r. oraz poczucie ze strony władzy, że potrzebne jest osiągnięcie porozumienia z częścią opozycji i Kościołem. Zakładano, że w efekcie będzie to bardziej wiarygodne zarówno dla społeczeństwa, jak i dla Zachodu.

Trzeba pamiętać, że dla Jaruzelskiego absolutnym priorytetem było poprawienie relacji z Zachodem, ponieważ polska gospodarka, która znajdowała się w katastrofalnym stanie, potrzebowała zachodnich kredytów. Druga fala strajków z lata 1988 r. była silniejsza od tej wiosennej,



Nowo wybrany na urząd Prezydenta PRL gen. Wojciech Jaruzelski, Sejm, Warszawa 19 lipca 1989 r. FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP

co miało swoje znaczenie. Zwłaszcza że protesty objęły też część kopalni na Górnym Śląsku, co było de facto uderzeniem w serce gospodarki. W efekcie Jaruzelski doszedł do wniosku, że trzeba zacząć rozmowy z opozycją, i wydelegował gen. Kiszczaka do pierwszego spotkania z Lechem Wałęsą, w willi MSW przy ul. Zawrat, 31 sierpnia 1988 r. Od tego momentu trwały rozmowy przygotowawcze przed tymi „właściwymi”, związanymi z Okrągłym Stołem. Jednocześnie cały czas w tle mieliśmy pomysły reform ustrojowych

się spod kontroli. Prezydent mógł właściwie w dowolnym momencie rozwiązać parlament, a więc zupełnie inaczej niż dzisiaj, gdy może to zrobić tylko w określonych przypadkach. Ostatecznie Jaruzelski nie skorzystał z tych uprawnień, ale to już wynikało z tego, co wydarzyło się później.

W kwietniu 1989 r., po miesiącach przeciągających się negocjacji, nastąpiło ostatecznie podpisanie porozumień i uroczyste posiedzenie plenarne zamykające obrady Okrągłego Stołu. Wśród zapisów znalazło się m.in. ustanowienie

kę wówczas chodziło, ale o psychologiczny wpływ klęski obozu władzy 4 czerwca na słabsze ogniwa, czyli Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. Przedstawiciele tych partii mieli z puli obozu władzy kilkadziesiąt mandatów, a bez nich nie było większości, by wybrać Jaruzelskiego.

Część zaczęła mieć wątpliwości?

W przeciwieństwie do obecnych wyborów parlamentarnych te z czerwca 1989 r. odbywały się w dwóch turach. W okręgach wyborczych przypominały one nieco wybory prezydenckie, czyli żeby zostać postem, trzeba było w swoim okręgu zdobyć ponad połowę wszystkich głosów. To się udało w przeważającej większości kandydatom Solidarności, ale nie udało się w miażdżącej większości przypadków tym z obozu władzy. W efekcie potrzebna była druga tura, w ramach której walczyło po dwóch kandydatów z PZPR, SD i ZSL. Dlaczego to takie ważne? Ze względu na to, że między I a II turą Solidarność wezwwała w ponad 50 przypadkach do głosowania na konkretnych kandydatów przeciwko innym. Jak się łatwo domyślić, wskazani kandydaci zdobyli mandat. Takim klasycznym przykładem był np. młody rolnik z województwa płockiego Waldemar Pawlak, który walczył z aparatchykiem ZSL. Ta grupa weszła do Sejmu de facto dzięki poparciu Solidarności, a nie swoich partii, i szybko zaczęła być problemem z perspektywy władzy, bo spora część z nich stwierdziła, że nie będzie głosować na Jaruzelskiego. Nagle się okazało, że nie ma potrzebnych 299 głosów za Jaruzelskim, ale jest znacznie mniej.

W efekcie tego Wojciech Jaruzelski zaczął się wycofywać, bo obawiał się kompromitacji w głosowaniu.

Zaczął się polityczny kryzys. Jaruzelski uznał np., że skoro on nie ma szans w głosowaniu, to może większe będzie miał gen. Kiszczak. Wydawało mu się, że wszyscy będą go postrzegać jako jednego z architektów Okrągłego Stołu, wręcz demokratę, a nie szefa MSW, co oczywiście było absurdem. Co ciekawe, gen. Kiszczak liczył przez pewien czas na to, że zbuduje poparcie. W tym celu latał np. do Gdańska na rozmowy z Lechem Wałęsą, który w pewnym momencie też sam zaczął się zastanawiać, czy



Z prof. Antonim Dudkiem, historykiem, politologiem i publicystą rozmawia Karol Gac

Kulisy prezydentury Jaruzelskiego

i politycznych, w myśl których miały się pojawić dwie nowe instytucje – Prezydent i Senat. Senat miał być przeznaczony dla opozycji, ale ważniejszy miał być Sejm, najważniejszy zaś – prezydent, czyli Wojciech Jaruzelski.

Potwierdziła to kwietniowa nowelizacja konstytucji PRL, w której prezydentowi przyznano szerokie kompetencje.

Nie chodziło jednak wyłącznie o to, by Jaruzelski miał bardzo dużo władzy, ale miał to być też pewnego rodzaju „bezpiecznik”, aby sytuacja w Sejmie nie wymknęła

urzędu prezydenta, wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe złożone z posłów i senatorów. Nadeszły jednak wybory czerwcowe, które były szokiem dla władz.

Rzeczywiście. Skala zwycięstwa Solidarności, zwłaszcza do Senatu, czyli 99 mandatów na 100, oraz wszystkie możliwe do zdobycia miejsca w Sejmie (161) robiły wrażenie. Na poziomie matematycznym to jednak nie demolowało ustaleń z Okrągłego Stołu, ponieważ prezydenta miało wybrać 560 członków Zgromadzenia Narodowego, a opozycja zdobyła 260 mandatów. Tyle tylko, że nie o matematy-

nie mógłby zostać prezydentem. Jest np. taka tajemnicza sprawa z przełomu czerwca i lipca, gdy w Gdańsku rozwieszono plakaty z Wałęsą jako kandydatem na prezydenta. Do dziś nie wiadomo, kto to zrobił, ale wydaje się, że było to testowanie gruntu. Ostatecznie nie wypadło ono jednak najlepiej, bo przysłyły sygnały z zagranicy, które jasno wskazywały, że wielcy tego świata chcą Jaruzelskiego.

Równoległe mieliśmy jednak naciski KC PZPR na Jaruzelskiego, by zmienił decyzję, lecz także pamiętny artykuł Adama Michnika „Wasz prezydent, nasz premier”, opublikowany 3 lipca 1989 r. w „Gazecie Wyborczej”.

Ten artykuł wywołał ogromny ferment w obozie Solidarności. Większość uważała go za zbyt radykalny głos. Swoją polemikę napisał np. Tadeusz Mazowiecki, pt. „Spiesz się powoli”. Część uważała jednak, że to dobry pomysł, by Solidarność miała wpływ na władzę wykonawczą. Padały nawet głosy, by ostentacyjnie wysunąć kandydaturę Wałęsy na prezydenta. Ostatecznie jedynym kandydatem był Wojciech Jaruzelski, co było poprzedzone festiwalem grózb i nacisków np. pod adresem strony kościelnej i parlamentarzystów „S”. Przekonywano, że w wojsku i SB nie wyobrażają sobie innego kandydata niż Jaruzelski, a w przeciwnym razie może dojść np. do ich buntu, a nawet wprowadzenia stanu wojennego.

Wspomniat pan o sygnałach z zagranicy. Michaił Gorbaczow nakłaniał Jaruzelskiego, aby ten walczył o prezydenturę. Kreml widział w nim bowiem gwarancję stabilizacji procesu, który zachodził w Polsce, co było ważne w kontekście wydarzeń w całym bloku. Ponadto, co mogło zaskakiwać, mieliśmy jasne stanowisko Stanów Zjednoczonych w tej sprawie.

Historia z George’em Bushem jest świetnym przykładem lekcji geopolityki, której wówczas nam udzielono. Na pierwszy rzut oka wydawało się to przecież zdumiewające, prawda? W końcu administracja Reagana, a więc także republikańska, przez całe lata 80. prowadziła zażartą walkę z Jaruzelskim i organizowała przeciwko niemu front międzynarodowy, aż tu nagle taki zwrot. Należy go postrzegać w szerszym kontekście geopolitycznym, a więc pierestrojki Gorbaczowa. Od kiedy Amerykanie zorientowali się, jak korzystną politykę prowadzi Gorbaczow, a więc

Amerykanie rozumowali, że jeżeli Jaruzelski nie zostanie prezydentem, to w Polsce zacznie się chaos

dotyczącą ograniczania zbrojeń i liberalizacji Związku Sowieckiego, ich absolutnym priorytetem była jego ochrona. Amerykanie rozumowali, że jeżeli Jaruzelski nie zostanie prezydentem, to w Polsce zacznie się chaos i to doprowadzi do perturbacji na skalę podobną do tej z lat 1980–1981, co z kolei mogliby wykorzystać przeciwnicy Gorbaczowa na Kremlu. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to być może absurdalne, ale to był główny powód, dla którego Amerykanie chcieli, by Jaruzelski został prezydentem. Zresztą to zafiksowanie Waszyngtonu na tym punkcie ujawniło się jeszcze w połowie 1991 r., kiedy Amerykanie przekonywali Ukraińców, że nie powinni ogłaszać niepodległości, ale negocjować z Gorbaczowem.

Stanowisko Amerykanów w sprawie Jaruzelskiego nie ograniczyło się wyłącznie do deklaracji, ale przejawiało się w konkretnych działaniach ambasadora USA w Polsce. John R. Davis zaprosił np. na kolację grupę parlamentarzystów Solidarności, którym tłumaczył, że rozumie, iż nie mogą zagłaszać „za” Jaruzelskim, ale przecież mogą być nieobecni albo oddać głosy nieważne, co obniży próg potrzebny do wyboru. Dokładnie tak się stało podczas posiedzenia Zgromadzenia Narodowego, a Jaruzelski został wybrany przewagą zaledwie jednego głosu! Dla wszystkich było jasne, że Jaruzelski został prezydentem de facto z łaski Solidarności. Zwłaszcza że było to głosowanie jawne, więc wiemy dokładnie, kto i w jaki sposób głosował. Nie są jednak do końca znane kulisy tego głosowania – czyli ilu senator Andrzej Wielowieyski przekonał do absencji, a ilu zrobiło to bez jego wpływu. Z punktu widzenia Solidarności było to posunięcie wyglądające na zegarmistrzowską precyzję, choć moim zdaniem tak nie było i pewną rolę odegrał tu przypadek. Więcej opowiadam o tym w odcinku „Generał prezydentem” na moim kanale YouTube „Dudek o Historii”. Faktem jednak pozostaje, że Jaruzelski został prezydentem, ale zarazem

został upokorzony. Zresztą on sam zdawał sobie z tego sprawę, co potwierdzają różne relacje. Wydaje się, że od samego początku miał poczucie, że ta prezydentura nie jest taka, jaka być powinna.

Jak wyglądała?

Aktywność Jaruzelskiego słabła w miarę upływu czasu. Początkowo starał się przeforsować gen. Kiszczaka na premiera, co się nie udało. Pogodził się z premierostwem Mazowieckiego, ale walczył o różne resorty. Wydaje się, że przełomowymi momentami były grudzień 1989 r. i egzekucja Ceaușescu. To Jaruzelskiego przeraziło, bo zobaczył, że jeśli będzie za bardzo przeszkadzać, to może spotkać go podobny los. Po stronie PZPR narastało też przekonanie, że rząd mogą przejąć radykałowie z Solidarności, a wtedy może być różnie. Jaruzelski zgadzał się już później na wszystkie reformy rządu Mazowieckiego, choć ten też nie tykał właściwie sprawy najistotniejszej dla prezydenta, a więc wojska. Prezydentura Jaruzelskiego była mocno wycofana. W lipcu 1990 r. Jaruzelski pierwszy raz powiedział Mazowieckiemu, że może ustąpić, ale premier go powstrzymał.

Jednak 18 września, po spotkaniu z udziałem Jaruzelskiego, Wałęsy i Mazowieckiego, zorganizowanym w Domu Arcybiskupów Warszawskich, pierwszy z nich ogłosił, że ustąpi ze stanowiska.

Jaruzelski nie mógł już trwać. Trzeba pamiętać, że w 1990 r. był on już anachroniczny. NRD się rozpadła i zaraz miało nastąpić zjednoczenie Niemiec. Na południu od grudnia 1989 r. prezydentem był Václav Havel, czołowy dysydent. Jaruzelski zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. W przeciwieństwie do wielu innych dyktatorów rozumiał, że szansą dla niego jest oddanie władzy, bo to daje mu większe gwarancje bezpieczeństwa niż utrzymywanie się przy władzy najdłużej, jak to możliwe. Tym bardziej że postulaty o rezygnacji Jaruzelskiego towarzyszyły mu od samego początku. W 1990 r. hasło „Jaruzelski musi odejść” było jednym z najczęściej skandowanych na różnych wiecach. Jaruzelski od wiosny tylko czekał na ten moment, kiedy będzie mógł odejść. Jaruzelski właściwie od 1988 r. konsekwentnie się cofał, a jego rezygnacja była finałem tego procesu.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Surkonty

1944

Epopeja Kresów Północno-Wschodnich podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu jest w Polsce coraz mniej znana. Jedna z największych walk z „drugim okupantem”, czyli z Sowietami, przez pół wieku nie istniała w świadomości Polaków. Decydowały o tym narzucone nam przemocą ideologia i cenzura. Dziś, po upływie ponad trzech pokoleń, trudno nawet o zdawkową pamięć. Bitwa z „sojusznikiem naszych sojuszników”, choć trafiła nawet na tablicę przy Grobie Nieznanego Żołnierza (w 1990 r.), jest już prawie całkowicie zapomniana. Tak samo, jak ich dowódca – mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” (pośmiertnie awansowany o jeden stopień).

Po ustąpieniu Niemców i wejściu na ten teren Armii Czerwonej latem 1944 r. rozpoczął się kolejny dramat tych ziem i zamieszkujących je Polaków. Ale opór trwał – przed masowymi represjami, oblężeniami, kolejnymi wywózkami na Sybir. Rozbicie zgrupowań AK, wcześniej biorących udział w operacji „Ostra Brama”, spowodowało, że pojedyncze oddziały wycofywały się na zachód, inne szukały swego miejsca dalej, aby nie ulec zniszczeniu. Jednym z nich dowodził Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, który w walkach z Niemcami wcześniej stracił rękę, ale odmówił ewakuacji, nie chcąc opuszczać swych żołnierzy i przede wszystkim

polskiej ludności, która tak długo była dla niego oparciem.

Jego oddział został otoczony koło leśniczówki Surkonty (20 km od Lidy) przez wojska NKWD. Nierówna bitwa trwała pięć godzin, poległo w niej 18 żołnierzy i oficerów AK (jako jeden z pierwszych zginął Kalenkiewicz, trafiony w głowę), rannych i wziętych do niewoli 17 żołnierzy i oficerów Sowietci dobili na miejscu. W walce zginęło aż 132 enkawudzystów. W swych raportach Sowietci obniżali znacznie swe straty, wyolbrzymiając ofiary po stronie AK – miało być aż 54 zabitych i sześciu jeńców, choć cały oddział liczył zaledwie 36 osób.

Walka pod Surkontami szybko przeszła do legendy, bo pokazała, że można stawiać zacięty opór Sowietom, zadając im wielokrotnie większe straty. Polegli AK-owcy, zebrani z pola walki przez miejscową ludność, zostali potajemnie pochowani obok mogiły powstańców 1863 r., w nieoznaczonym miejscu. Gdy nastały „lepsze” czasy, w 1991 r. doszło do ich ekshumacji i pochowano ich z godnością na miejscowym cmentarzu. Choć Białorusini zgodzili się na umieszczenie polskiego napisu na krzyżu, to nie pozwolili jednak na pełen opis walki, z kim została stoczona. Przez wiele lat rodziny poległych mogły odwiedzać ten cmentarz. Dwa lata temu na polecenie Łukaszenki cmentarz został zrównany z ziemią. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zamek cesarski

w Poznaniu

Złośliwi twierdzą, że stolica Wielkopolski posiada wprawdzie dwa zamki, ale razem liczą niepełna 100 lat. Pozostawiając w spokoju zrekonstruowany od podstaw Zamek Królewski, zwany złośliwie Zamkiem Gargamela, warto przyjrzeć się bliżej drugiej budowli. W 1904 r. rozpoczęły się bowiem prace nad rezydencją dla władców Niemiec, a Wilhelm II nie oszczędzał na inwestycji. Budowla powstała błyskawicznie. Oficjalnie oddano ją do użytku już 20 sierpnia 1910 r. Zamek miał stać się nie tylko rezydencją władcy, lecz także najważniejszym elementem Dzielnicy Cesarskiej w Poznaniu i symbolem panowania niemieckiego w Wielkopolsce.

Cesarz uważał, że styl neoromański najbardziej odpowiadał germańskiej duszy – i w tej konwencji powstał poznański zamek. Wilhelm wprowadził osobiście wiele poprawek do projektu, a nawiązania do dawnych epok nie kończyły się wyłącznie na stylu neoromańskim. Kaplicę zamkową wybudowano w stylu bizantyjskim, a podobny wystrój otrzymało najwspanialsze pomieszczenie gmachu – monumentalna sala tronowa.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w zamku zlokalizowano apartamenty dla prezydenta Rzeczypospolitej. Z budynku korzystał też Uniwersytet Poznański. W podziemiach gmachu odbywał się natomiast specjalny kurs, w którym brali udział polscy

kryptolodzy, którzy później złamali kody niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma.

Podczas drugiej wojny światowej Niemcy przebudowali wnętrza w stylu neoklasycystycznego totalitaryzmu. Zamek miał stać się jedną z rezydencji Adolfa Hitlera, a przygotowany dla niego gabinet był identyczny z pomieszczeniem w kancelarii Rzeszy. Salę Tronową przebudowano na miejsce zgromadzeń partyjnych, a na jednym z balkonów zamontowano ogrzewanie, by Führer nie przeziębził się podczas defilad czy przemówień. Jednak Hitler prawdopodobnie nigdy nie odwiedził gmachu.

W czasach PRL planowano zburzyć budowlę, uważając ją za symbol niemieckiego panowania w Poznaniu. Poprzestano na demontażu nazistowskich symboli, zachowano jednak gabinet Hitlera, dzięki czemu filmowcy mogli wzorować się na jego wystroju w swoich produkcjach. We wnętrzach dodano wiele socrealistycznych elementów, które mimo zmian ustrojowych zachowały się do dziś. Nic dziwnego, że wzbudzają mocno mieszane uczucia.

Od 1948 r. gmach pełnił funkcję ratusza miejskiego, a obecnie mieszczą się w nim Centrum Kultury Zamek, Teatr Animacji oraz Muzeum Powstania Poznańskiego Czerwca 1956. Budowla tak zrosła się z architekturą Poznania, że trudno sobie wyobrazić miasto bez Zamku Cesarskiego. ©©



Bristol, 1979 r. FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wielka trójka warszawskiego hotelarstwa (Europejski, Bristol, Polonia) nie zmienia się od ponad stulecia?

PIOTR WIERZBICKI: Można tak powiedzieć, chociaż dwa z tych hoteli miały przerwy w swojej działalności. Europejski, pokiészowany przez wojnę, w roku 1949 przejęło Ministerstwo Obrony Narodowej, urządzając w nim szkołę dla „politruków”. Do funkcji hotelowej wrócił po 13 latach. A gmach przy ostatnim przekształceniu zyskał dwa dodatkowe piętra w nowoczesnym stylu, co jest jednak dość istotną innowacją. Natomiast Bristol był w tak fatalnym stanie, że go w roku 1980 zamknięto, a ponowne otwarcie nastąpiło dopiero u progu III RP.

Z medalowym tercetem zamierzały rywalizować Helvetia i nieznaną z nazwy hotel w drapaczu chmur przy Dworcu Głównym?

Takich konkurentów, o których nikt już dziś nie pamięta, bo ich żywot zakończył się tragicznie w latach drugiej wojny światowej, było więcej. Wymieniłbym tu przede wszystkim Hotel Brühlowski (ul. Fredry 12). Elegancki w pięknym neorenesansowym budynku, wzniesionym w 1880 r. Został spalony już w 1939 r. Helvetia niestety nie zaistniała, mimo zaangażowania szwajcarskiego kapitału. W połowie lat 20. spółka wpadła w tarapaty i rozpoczętą inwestycję przejął Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, kończąc budowę gmachu na własne potrzeby. To obecna centrala OPZZ przy ul. Kopernika 36/40. Ten drugi hotel, o który pan pyta, działałby w 56-metrowym wieżowcu, który w ramach nowoczesnego kompleksu Dworca Głównego miał stanąć od strony ul. Chmielnej. Wybuch wojny zniweczył te plany. Warto dodać, że Helvetia stanowiła w zasadzie jedyną tak zaawansowaną próbę budowy klasycznego hotelu w międzywojennej Warszawie. Nowe hotele oczywiście powstawały, ale w zaadaptowanych do tego celu obiektach, jak np. w wybudowanych wcześniej kamienicach. Poza tym udało się wznieść tylko obiekt w ramach hotelarstwa zamkniętego, czyli Hotel Sejmowy przy ul. Wiejskiej. Choć dodać należy, że nie był on znowu taki hermetyczny, bo kiedy mógł, przyjmował też normalnych gości, a nie jedynie parlamentarzystów. Od podstaw wybudowano też kilka obiektów hotelarstwa szkolnego, czyli akademików, ale to już trochę inna sprawa.



Z Piotrem Wierzbickim, przewodnikiem warszawskim i autorem książek rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Domy z gwiazdkami

Bristol zapisał się w dziejach polityki i radiofonii...

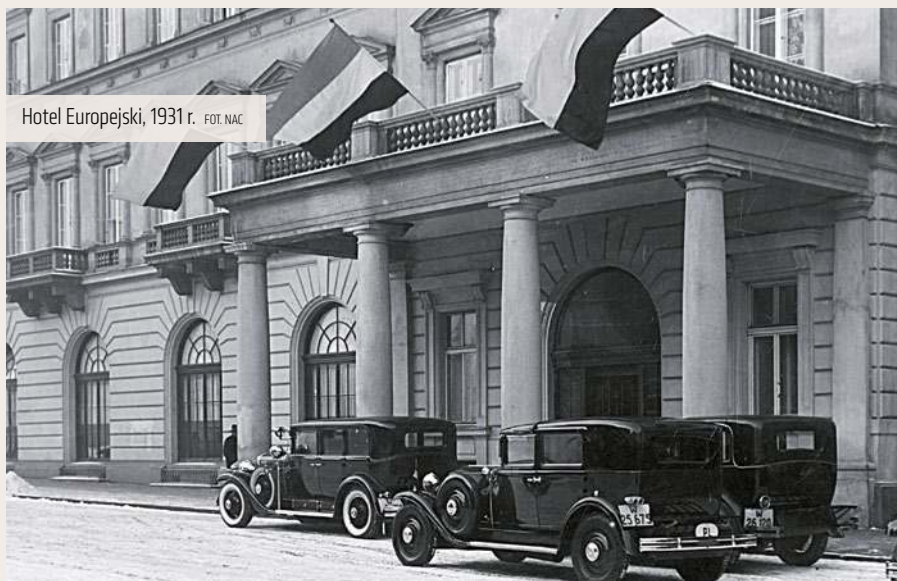
Nie było niczym niezwykłym, że najlepsze hotele odegrały w historii naszego kraju rolę daleko wykraczającą poza funkcję bazy noclegowej. Trudno sobie zresztą wyobrazić, żeby w styczniu 1919 r., kiedy Ignacy Paderewski został premierem, siedzibą jego rządu nie stał się właśnie Bristol (konkretnie pokój 105). To jest w końcu hotel wybudowany za jego pieniądze. „Podwieczorek przy mikrofonie”, który starsi czytelnicy pamiętają z okresu PRL, nadawano wtedy z kawiarni Stolica, ale nie wszyscy wiedzą, że w pierwszej odsłonie zaistniał już w roku 1936 i transmitowano go właśnie z Bristolu. Wyprowadzenie orkiestry z solistami ze studia na estradę w lokalu publicznym tchnęło nowatorstwem, zyskując wielkie zainteresowanie.

To Savoy wprowadził do Polski inne nowinki?

Po pierwszej wojnie światowej zniknęło wiele ograniczeń obyczajowych, z dzisiejszego punktu widzenia kuriozalnych. Na przykład istniało niewiele przybytków gastronomii, do których szanująca się kobieta mogłaby przyjść bez męskiej opieki. Na początku lat 20. Savoy – przy Nowym Świecie – zorganizował jeden z pierwszych w Warszawie dancingów na wysokim poziomie, gdzie samotne kobiety mogły pojawiać się bez obaw. Szwedzki stół natomiast wtedy nie wypalił, gdyż po chudych latach „wielkiej wojny” i konfliktu polsko-bolszewickiego goście stali się tak wygłodniali, że koszt serwowanego jedzenia znacznie przewyższył wpływy ze sprzedawanego w tym samym czasie alkoholu.

Czy w II Rzeczypospolitej istniały wyłącznie hotele prywatne?

W zasadzie tak, chociaż oczywiście wyróżniano rozmaite formy własności, np. Bristol w 1928 r. nabył Bank Cukrownictwa. Według obliczeń Kazimierza Wagnera, badacza hotelarstwa międzywojnia w roku 1937 działało legalnie, czyli po wykupieniu tzw. świadectwa przemysłowego, 131 prywatnych przedsiębiorstw bazy noclegowej dysponujących 3444 łóżkami. Oczywiście poza hotelami o bardzo różnym standardzie były to też popularne wtedy pensjonaty i pokoje umeblowane. Poważnie traktujący działalność hotelarsze zrzeszyli się w Naczelnej Organizacji



Hotel Europejski, 1931 r. FOT. NAC



Bristol w okresie międzywojennym z widocznym obok budynkiem redakcji „Kurieru Warszawskiego”

FOT. NAC

Przemysłu Hotelowego. Miała mnóstwo roboty z obroną swych praw, ponieważ władze skarbowe traktowały przemysł hotelarski niezwykle surowo. Na dodatek był to biznes narażony na nieuczciwą konkurencję „szarej strefy”. A także użeranie się z nieuczciwymi gośćmi, których trudno było pociągnąć do odpowiedzialności.

Większość przybytków hotelowych stołecznego międzywojnia nie przetrwała drugiej wojny światowej?

Można to nazwać zagładą. Wielkość bazy noclegowej z końca lat 30. oszacować ciężko. Według Józefa Kowalczyka hoteli ogólnodostępnych funkcjonowało 44. Do tego dochodziło 20 pensjonatów. Nie liczymy tu pokoi umeblowanych,

schronisk turystycznych i hoteli branżowych. Z tego wszystkiego pozostało zaledwie 11! Tyle wymienia „Przewodnik po Warszawie” z roku 1946!

W okupowanej przez Niemców Warszawie szczególną rolę odegrał Hotel Polski...

... stojący przy ul. Długiej. Latem 1943 r. przeprowadzono tam jeden z etapów skomplikowanej operacji gestapo, celem wywabienia z kryjówek Żydów. Rzekomo mieli wyjechać z Generalnego Gubernatorstwa na oferowanych przez agentów gestapo paszportach państw, z którymi Niemcy nie prowadzili wojny. Przez hotel przeszło wtedy ok. 3,5 tys. osób, zdecydowaną większość zamordowano w Auschwitzu.

■ W roku 1945 Polonia zyskała status dyplomatyczny.

Być może najciekawszy okres w jej dziejach. Gmach przetrwał wojnę w stanie nienaruszonym, co więcej, ocalała też większość jego wyposażenia. Siłą rzeczy zaczęto tu umieszczać przedstawicielstwa dyplomatyczne. Wielkie nagromadzenie cudzoziemców sprawiło, że Polonia stała się czymś w rodzaju międzynarodowego centrum w zrujnowanej Warszawie, zyskując sobie miano „hotelu dyplomatycznego”. Ta oaza elegancji w morzu gruzów działała do końca lat 40.

A jak na nasze hotelarstwo rzutowało jego upaństwowienie?

Można by się spodziewać, że państwo, będące w stanie wdrażać wielkie inwestycje, powinno także budować nowe hotele. Przez lata były to przecież najbardziej opłacalne miejskie przedsiębiorstwa. Przyjmując gości zagranicznych, zarabiały naprawdę poważne pieniądze, a trzeba wyjaśnić – z dzisiejszego punktu widzenia brzmi to absurdalnie – że obowiązywały wówczas różne cenniki dla gości zagranicznych i krajowych. Ci pierwsi płacili oczywiście o wiele więcej. Jednak dziwnym trafem wciąż pojawiał się kłopot ze wznoszeniem hoteli. Dopiero za Gierka nastąpiło pod tym względem znaczne ożywienie.

W stolicy PRL pokoi hotelowych brakowało?

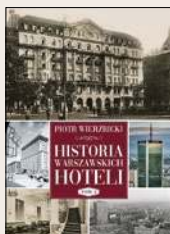
To był permanentny problem, którego nie udało się rozwiązać nawet w epoce wielkich inwestycji lat 70. Wcześniej recepcje hotelowe wystawiały nawet specjalne tabliczki: „Pokoi wolnych brak”. Wycofano je w 1969 r., żeby nie denerwować klientów. Pokój w stołecznym hotelu uznawano za dobro deficytowe. Branżowe pismo „Hotelarz” oceniało, że w 1989 r., nawet poza sezonem, niedobór miejsc noclegowych w stolicy wynosił 8 tys., a w sezonie dochodził do kilkudziesięciu tysięcy!

Prostytucja nie zawsze była dla hotelarzy utrapieniem?

Przez wieki stanowiła dyskretny splot wzajemnych



potrzeb i okoliczności. W okresie międzywojennym wiele warszawskich hoteli cieszyło się pod tym względem mocno podejrzaną opinią. To wtedy weszło do polskiego kodu kulturowego pojęcie „pokoju na godzinę”. Wynajmowanie go na określony czas, zwykle 60 minut, za kwotę odpowiadającą dobie, przynosiło olbrzymie zyski. Procederem bezpośrednio zajmowali się recepcjoniści i portierzy,



PIOTR WIERZBICKI
„HISTORIA WARSZAWSKICH HOTELI”
(DWA TOMY)
„SKARPA WARSZAWSKA”
2023/2024

lecz legendarna przedwojenna policjantka, Stanisława Paleolog, twierdziła, że przeważnie byli w niego zaangażowani również właściciele hoteli. Z kolei w PRL w hotelowych knajpach przedstawicielki najstarszego zawodu świata, na ogół elitarne, łowiły klientów, najchętniej obcokrajowców. Zarabiały nieprawdopodobnie wielkie, jak na tamte czasy, pieniądze. Całkiem nieźle wychodzili też na tym portierzy, którym panie musiały płacić za wejście do lokalu. W 1973 r. wynikła z tego zresztą wielka afera i sprawa sądowa, którą szczegółowo opisuję.

Renesans hotelarstwa w Syrenim Grodzie nastąpił wraz z transformacją ustrojową?

Owszem, ale nie tak od razu. W nową rzeczywistość Warszawa wkroczyła z niedawno powstałymi Holidayem i Marriottem. Jednak lata 90. były bardzo trudne przede

wszystkim ze względu na brak pieniędzy na inwestycje i wyraźne zużycie funkcjonujących obiektów. Na dodatek wielu pracowników, przyzwyczajonych w Polsce Ludowej do nader swobodnego traktowania regulaminów, co skutkowało lekceważącym stosunkiem do klienta, miało trudności w przestawieniu się na zupełnie inne tory działania. Zagraniczni inwestorzy przywieźli bowiem kasę, lecz bezwzględnie wdrażali też szczegółowe zasady, wypróbowane przez lata twardej gry rynkowej. Do Polski na wielką skalę weszły światowe sieci hotelarskie, choć pojawiło się też bardzo dużo obiektów indywidualnych, prowadzonych bezpośrednio przez właścicieli. Gwałtowny rozwój hotelarstwa nastąpił pod koniec drugiej dekady nowego tysiąclecia. Na początku lat 90. w Warszawie działało 29 hoteli. Obecnie jest ich co najmniej 90, a dotyczy to wyłącznie obiektów skategoryzowanych, czyli z przydzielonymi gwiazdkami (hostele nie podlegają kategoryzacji). Wydaje się, że branża dość szybko wylizała rany po pandemicznym ciosie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Wierzbicki – przewodnik warszawski, założyciel facebookowego profilu „Warszawa na Wyrwyki”. Współautor pracy „Echa dawnej Warszawy. Żydowska Warszawa”, autor książki „Podchmielona historia Warszawy” oraz dwutomowej „Historii warszawskich hoteli”.

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~874~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STEPHEN J. ROSSETTI:
„DZIENNIK AMERYKAŃSKIEGO
EGZORCYSTY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

402,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 472 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl cff981fd60



Maciej Pieczyński

Operacja kurska to kompromitacja Putina, która raczej nie doprowadzi do rozpadu Rosji ani do zmiany władzy na Kremlu. Paradoksalnie jednak może umocnić w Rosjanach przekonanie, że Putin ma rację. Czyli że Rosja na nikogo nie napada, tylko zмага się z agresją z zewnątrz

Operacja kurska nie jest pierwszym przypadkiem, gdy podległe władzom w Kijowie oddziały zaatakowały Rosję. Wcześniej jednak mieliśmy do czynienia z szybkimi i krótkimi rajdami rosyjskich ochotników, walczących po stronie Ukrainy. Tym razem skala jest o wiele poważniejsza. To, co dzieje się od 6 sierpnia na zachodnich rubieżach państwa-agresora, pod wieloma względami jest wyjątkowe. Po raz pierwszy w ataku na Rosję wzięły udział regularne jednostki Sił Zbrojnych Ukrainy. Po raz pierwszy więc Rosję napadli Ukraińcy, a nie Rosjanie. Po raz pierwszy tego typu atak skutkuje wielodniową okupacją terytorium. Po raz pierwszy od 1941 r. wojska obcego państwa najechały Rosję. Jak słusznie zauważyła Arleta Bojke na Kanale Zero, przy okazji operacji kurskiej po raz pierwszy od wybuchu wojny czerpiemy informacje głównie ze źródeł rosyjskich, nie zaś ukraińskich. Kijów bowiem początkowo milczał. To Rosjanie sami przyznali, że zostali zaatakowani.

W poniedziałek 12 sierpnia Putin zwołał naradę w sprawie ataku Ukrainy. Uczestniczyli w niej gubernatorzy obwodów kurskiego i biełgorodzkiego. Padły konkretne liczby. Ukraińcy weszli do obwodu kurskiego na głębokość 12 km i szerokość 40 km. Zajęli 28 miejscowości z 2 tys. mieszkańców, o których losie – jak z rozbijającą szczerością przyznał gubernator Aleksiej Smirnow – rosyjskie władze nie mają pojęcia. Dwukrotnie wkroczyli też na teren obwodu biełgorodzkiego. 7 sierpnia Putin spotkał się z najważniejszymi urzędnikami w państwie i nazwał operację SZU „prowokacją na wielką skalę”. Tego samego dnia



władze obwodu kurskiego wprowadziły regionalny stan wyjątkowy, a dwa dni później – stan sytuacji wyjątkowej o znaczeniu federalnym, który obowiązuje wówczas, gdy liczba poszkodowanych przekracza 500 osób lub skala szkód wynosi ponad 500 mln rubli. Putin polecił wypłacić po 10 tys. rubli odszkodowań osobom, które musiały opuścić swoje domy. To jednak grosze. Stan wyjątkowy wprowadzono również w obwodzie biełgorodzkim

WCIĄŻ WIERZĄ W PUTINA

9 sierpnia Kreml wprowadził reżim operacji antyterrorystycznej na terenie trzech obwodów graniczących z Ukrainą: kurskiego, biełgorodzkiego i briańskiego. Do 10 sierpnia z obwodu kurskiego ewakuowano 76 tys. osób. Przy czym ewakuacja odbywa się bezładnie i chaotycznie. Mieszkańcy swoje oburzenie

wylewają publicznie, w mediach społecznościowych. Co jednak znamienne, za brak pomocy krytykują nieudolnych lokalnych urzędników, nie zaś prezydenta. Do Putina apelują, aby zapewnił im bezpieczeństwo. A to wszystko zgodnie z zasadą „dobry car – źli bojarzy”. „Gdzie jest nasz rząd? Putin, pomóż, proszę! Tam bombardują wsie! Na pewno pan nic nie wie! To straszne, co się tam dzieje!” – krzyczy rozpaczliwym głosem do kamery Ludmiła, starsza kobieta z Sudży.

Już pierwszego dnia ukraińskiego ataku na Telegramie pojawiło się nagranie, na którym kilkunastu czy kilkudziesięciu mieszkańców rejonu sudżańskiego obwodu kurskiego zwraca się z apelem do „szanownego Władimira Władimirowicza”. Warto przytoczyć obszerny fragment tego wystąpienia, bo oddaje ono sposób myślenia wielu tzw. zwykłych Rosjan:

Ukraińscy żołnierze w obwodzie sumskim przy granicy z Rosją, 11 sierpnia FOT. ROMAN PILIPEY/AFP/EAST NEWS

ziemię

„Na naszą ziemię weszły obce wojska ze sprzętem NATO. W ciągu kilku godzin nasze miasto zostało obrócone w ruinę. Nasi bliscy, mężowie, sąsiedzi bronią Donbasu [przed Ukraińcami – przyp. red.]. Straciliśmy ziemię, straciliśmy domy. Uciekaliśmy pod ostrzałem. Biegliśmy wśród ruin. Wielu z nas nie ma dokumentów. Chcemy zwrócić się do pana z prośbą o pomoc. Zostaliśmy sami. Przyzwyczailiśmy się do ostrzałów. Wspieraliśmy i wspieramy naszą armię od pierwszych dni, od samego początku specjalnej operacji wojskowej. Zostaliśmy z dziećmi bez dachu nad głową. Bez wody, bez pieniędzy. Wyjechaliśmy tak, jak staliśmy. Nasze dzieci boją się spać w nocy. Nasi bliscy tam zostali. Nie możemy się z nimi skontaktować. Nie ma żadnej łączności. Prosimy, niech nam pan pomoże”.

Ani słowa krytyki pod adresem Putina, który nie zabezpieczył kraju przed agresją z zewnątrz. Ani słowa refleksji o tym, że agresja na Rosję jest skutkiem uprzedniej agresji Rosji na Ukrainę. Ale też ani słowa o tym, że mieszkańcy zamierzają sami zorganizować opór przeciwko „najeźdźcy”. Społeczeństwo rosyjskie, jak zazwyczaj, jest całkowicie bierne. Może ponarzekać na „złych bojarów” i poprosić o pomoc „dobrego cara”, ale samo nie zamierza się w nic angażować, tworzyć oddziałów samoobrony itd. Rosjanie w swej masie przyzwyczajeni są do tego, że Kreml sam prowadzi swoją politykę, oni zaś jedynie ją podziwiają na ekranach telewizorów. I popierają, ale z daleka, aktywnie w niej nie uczestnicząc.

Z jednej strony, jeśli pasywne społeczeństwo może czegoś oczekiwać od silnej, dyktatorskiej władzy w zamian

za lojalność i uległość, to zapewnienia bezpieczeństwa. Tymczasem atak na obwód kurski pokazał, że z tej niepisanej umowy Kreml nie jest w stanie się wywiązać. Z drugiej strony, nawet jeśli wśród mieszkańców będą rosła rozczarowanie i nieufność wobec władzy, to, po pierwsze, skupi się ono na „bojarach”, a nie na „carze”. Szczególnie że car z pewnością przykładowo „winnych zaniedbań” ukarze. Po drugie, nawet gdyby adresatem niezadowolenia stałby się Putin, to cóż z tego? Pasywni Rosjanie, uciekający w popłochu przez Ukraińcami, nie chwycą za broń, nie pójdą na Moskwę.

PROPAGANDOWA KLĘSKA?

Co prawda, operacja kurska już teraz mocno nadwreżyła image Kremla. Dwa i pół roku po tym, gdy w ramach „specoperacji” Rosjanie oblegali Kijów, muszą walczyć w obronie własnego terytorium. I to z pogardzaną Ukrainą, której mieszkańcy mieli przecież witać z kwiatami rosyjskich „wyzwoliciele”. Wydawałoby się – totalna propagandowa klęska. Można jednak spojrzeć na sytuację z jeszcze innej, mniej niekorzystnej dla Putina strony. Z atakiem SZU kremlowska propaganda dość szybko zaczęła sobie radzić w taki sam sposób, w jaki wythumaczyła swoim odbiorcom niepowodzenia na froncie „specoperacji”. Tę narrację można streścić następująco: „Może i jesteśmy w odwrocie, ale przecież nie walczymy tylko z Ukrainą, ale z całą potęgą kolektywnego Zachodu”. W tej tezie jest ziarno prawdy, bo przecież bez pomocy sojuszników Kijów nie tylko nie byłby w stanie ruszyć na Kursk, lecz także już dawno by został zajęty przez Rosjan. Ale jednak, choć przy użyciu zachodniego sprzętu, do Rosji wkroczyli Ukraińcy, a nie Polacy czy Amerykanie. Tak czy inaczej, operacja kurska paradoksalnie może umocnić w poddanych Kremla przekonanie, że Putin ma rację. Czyli że Rosja na nikogo nie napada, tylko zmagą się z agresją z zewnątrz. To oczywiście nieprawda, ale z pozoru brzmi logicznie w uszach tych, którzy byli podobną propagandą karmieni od ponad dwóch lat, a teraz jeszcze widzą jej naoczne potwierdzenie w postaci niemieckich czy polskich czołgów z ukraińskimi załogami pod Kurskiem. Naiwnością byłoby więc sądzić, że Rosjanie pod wpływem ataku z zachodu zrozumieją, że Zachód jest „dobry”, Putin zaś „zły”.

Najprawdopodobniej jednak Ukraińcy, ruszając na Kursk, nie planowali żadnej „dymitriady”. Nie zamierzali przekonać do siebie mieszkańców obwodu i skłonić ich do obalenia Putina i ustępstw wobec Kijowa. Cele były inne. Eksperci wymieniają kilka możliwych, które się wzajemnie nie wykluczają. Po pierwsze, odciągnięcie wojsk rosyjskich z frontu donbaskiego. Jednak, przynajmniej w ciągu pierwszego tygodnia od rozpoczęcia operacji, taki ewentualny skutek osiągnięty nie został. Rosjanie kontynuują natarcie w Donbasie. Po drugie, Ukraińcy wzięli do niewoli przynajmniej ok. tysiąca Rosjan. A to spory kapitał. Kijów będzie miał kim „zapłacić” przy kolejnej wymianie jeńców. Poza tym każdy Rosjanin w niewoli ukraińskiej to propagandowy sukces obrońców. Po trzecie, chodzi z pewnością również o podniesienie morale armii ukraińskiej. To niewątpliwie się udało. W samą porę. Jeszcze niedawno Zełenski zaczął publicznie przyznawać, że rozmowy z Rosją są konieczne. Putin zaś, czując, że ma przewagę zarówno polityczną czy militarną, jak i psychologiczną, odrzucał wszelkie zaproszenia do negocjacji, zarzekając się, że nie będzie dyskutował z Ukraińcami dopóty, dopóki nie spełnią wszystkich jego żądań. Czyli dopóty, dopóki de facto nie skapitulują.

Ukraińcy urządzili więc Rosjanom pokaz siły, obnażając jednocześnie słabość Kremla. Słabość, która do rewolucji nie doprowadzi, ale zasieje zwątpienie w wodza u części społeczeństwa, a przede wszystkim – u części kremlowskich elit. Co gorsza dla Putina, o tym, że „car jest nagi”, przekonują się również partnerzy Rosji, w tym Chiny, Indie czy świat arabski. Władca Kremla aspiruje do tego, by być liderem światowego sprzeciwu, swego rodzaju „międzynarodówki autokratów”, sprzymierzonych przeciwko dominacji USA. Jak zauważa opozycyjny bloger Maksym Kac, owi sojusznicy Rosji nie oczekują od jej przywódcy przestrzegania praw człowieka czy prawa międzynarodowego, tylko siły i zdecydowania. Tego zaś Putinowi ostatnio brakuje. A przecież sam narzucił reguły gry. Gry, w której „jeśli bójka jest nieunikniona, to trzeba bić jako pierwszy”. Te reguły znają i według nich postępują również tzw. zwykli Rosjanie oraz kremlowska elita. Wszyscy oni widzą, że Zełenski wymierzył Putinowi

demonstracyjny policzek. I oczekują od Putina rewanzu.

Do momentu, gdy piszę te słowa, żaden rewanz nie nastąpił. Mało tego, poza buńczuczными wypowiedziami Dmitrija Miedwiediewa, którego mało kto traktuje poważnie, żadna z tub czy wież Kremla nie nawołuje nawet do krwawej zemsty, a jedynie do wewnętrznych rozliczeń (wśród kandydatów na kozła ofiarnego – siejący jakoby panikę blogerzy prowadzący czy kadyrowcy, którzy podejrzenie szybko poddali się do niewoli) czy do skutecznej obrony przed agresją. Rosja zachowuje się jak obłożona twierdza.

CZYM TO SIĘ SKOŃCZY?

Po raz kolejny potwierdza się, że Rosja nie jest ani tak słaba, ani tak silna, jak się wydaje. Nie jest tak słaba i nieudolna, jak ją od początku wojny przedstawiano nad Dnieprem czy na Zachodzie. Nawet kurska ofensywa najprawdopodobniej nie pozwoli Ukraińcom odzyskać wszystkich okupowanych terenów. Ale też wbrew obawom wielu komentatorów, groźby Rosji są niemal nic niewarte. Ukraińcy permanentnie przekraczają wyznaczone przez Kreml czerwone linie, co i rusz atakując Rosję na jej własnym terenie. Może się wręcz wydawać, że jej granice są płynne, a przeciwnik bez problemu może wchodzić w nią jak w masło, jeśli tylko zechce i się dobrze przygotuje. A co najważniejsze, udzielić adekwatnej odpowiedzi Moskwa nie jest w stanie. Może jedynie grozić, ale mało kto dziś te groźby traktuje serio.

Naiwnością byłoby sądzić, że marsz na Kursk doprowadzi do „rozpadu Rosji”. Wizerunek Putina został nadzarpnięty, podobnie jak przy okazji puczu Prigożyna czy poprzednich, dużo skromniejszych rajdów na teren Rosji. Ale, jak już zaznaczyłem, nie sprawi to, że nagle Rosjanie masowo przejdą na stronę Kijowa. Wściekną się na Moskwę, ale „bänderowców” znienawidzą jeszcze bardziej. Rosja dała się zaskoczyć swoim przeciwnikom i wykazała się słabością. Ale to nie pierwszy taki wypadek. Już wiele pożarów wybuchło Putinowi pod nosem po 24 lutego, ale wszystkie jak dotąd ugasił. Teraz, podobnie jak podczas puczu Prigożyna, „strażakiem” ma być były ochroniarz Putina, były gubernator obwodu tulskiego, a obecnie doradca prezydenta,

Aleksiej Diumin. To tylko potwierdza, że to właśnie on ma największe szanse, by zostać następcą obecnego władcy Kremla. Kompromitacja kurska to kropla, która lekko draży skałę putinizmu, ale takich kropel musiałoby być całe morze, aby doszło do gwałtownej zmiany władzy, nie mówiąc już o „rozpadzie Rosji”.

Może mieć to jednak innego rodzaju konsekwencje. Ukraińcy okopali się w obwodzie kurskim i raczej łatwo nie zostaną stamtąd wypchnięci. Ta czerwona linia – zajęcie ziemi rosyjskiej przez Ukraińców – może być wyjątkowo bolesna. Zełenski może bowiem teraz zakomunikować swoim zachodnim sojusznikom coś w rodzaju: „Nie wierzyliście w nas, kazaliście nam układać się z Putinem, zakazywaliście atakowania Rosji, bo to doprowadzi do eskalacji. I co? Okupujemy obwód kurski, Putin nie potrafi adekwatnie odpowiedzieć, nic się nie dzieje. To może jednak dajcie nam więcej broni, uwierzcie, że jesteśmy w stanie wyzwolić wszystkie tereny, zanim zaczniemy rozmawiać z Moskwą”. Rosyjska propaganda, piórem jednego z publicystów telewizji Tsargrad, stwierdziła nawet, że operacja kurska to „próbą generalną” NATO przed inwazją na Rosję. W tej tezie może być takie oto ziarno prawdy, że może rzeczywiście Ukraińcy przekonają Zachód, że z Rosją można wygrać.

Najprawdopodobniej jednak Moskwa w końcu otrząśnie się z szoku, a strażak Diumin, stojący na czele operacji antyterrorystycznej, wyzwoli obwód kurski. Jeśli to się Rosji uda, to sukces Ukraińców pozostanie w sferze moralno-propagandowej. Jeśli zaś „ukraińscy okupanci” nie dadzą się przepędzić, to Kijów zrealizuje kolejny, tym razem bardzo praktyczny cel, który najpewniej sobie postawił. Czyli znacząco polepszy swoją pozycję negocjacyjną przed rozmowami z Moskwą. Rozmowami, które są jednak nieuchronne i prędzej czy później do nich dojdzie. Jeśli w ich trakcie w Sudży będzie wisieć żółto-błękitna flaga, to Ukraińcy, zamiast oddawać „ziemię za pokój”, zaofერują „ziemię za ziemię”. Wydaje się jednak, że Rosja ma na tyle sił i środków, żeby takiej oferty nie przyjąć. A wtedy obie strony nie będą miały ani ziemi, ani pokoju. I będzie trwała wojna, wyniszczająca mimo wszystko bardziej ofiarę niż agresora.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



BAZGROŁY ZA TYSIĄCE

Dwulatek z Niemiec – Laurent Schwarz – robi karierę jako „twórca obrazów abstrakcyjnych”. Matka chłopca opowiadała, że wszystko zaczęło się od wyjazdu do Włoch. „W hotelu był pokój do malowania, nie mogliśmy go stamtąd wyciągnąć” – mówiła mediom w wywiadzie. Niedługo po powrocie rodzice stworzyli dla niego jego własne studio i założyli konto na Instagramie, aby pokazywać jego prace. Dzieła chłopca obecnie zyskują na popularności, a ceny za nie sięgają nawet 7 tys. dol.

FOT. LOUISA OEF/REUTERS/FORUM

ŚLUBY Z DZIEĆMI W IRAKU

W Iraku powstał projekt ustawy, która zezwalałaby na zawieranie małżeństw z dziewczynkami w wieku dziewięciu lat. W Bagdadzie i wielu innych miastach odbyły się protesty, ponieważ ustawa przeszła pierwsze czytanie w parlamencie. Aktywiści na rzecz praw kobiet głośno mówią, że te działania praktycznie zalegalizują gwałt na dzieciach. Oficjalnie projekt ma przywrócić sądom religijnym prawo do decydowania w sprawach rodzinnych.

TRUMP POŻYCZYŁ HIT?

Donald Trump podczas niedawnego wiecu wyborczego użył kultowej piosenki Celine Dion „My Heart Will Go On”. Management Celine wyraził swoje oburzenie. Video, nagranie audio, fragment koncertu i wizerunek artystki zostały wykorzystane bez uprawnień. „Naprawdę, akurat ta piosenka?” – pytała zde gustowana piosenkarka w instagramowym poście.

WIATR POKONAŁ KIM DZONG UNA

Kim Dzong Un po raz kolejny w stronę Korei Południowej wysłał balony wypełnione śmieciami (to odwet za to, że aktywiści z południa wysyłają balonami ulotki na teren Korei Północnej). Z wypuszczonych 240 balonów, zawierających plastikowe butelki i skrawki papieru, zaledwie 10 przekroczyło granicę. Okazało się, że w planowanym „ataku” nie zostały uwzględnione warunki pogodowe. Wiatr wiał w kierunku przeciwnym.

DEWELOPER PRZEJMUJE OBÓZ

Teren, na którym położony był obóz koncentracyjny w okolicach Halberstadt w Niemczech (w obozie zginęło ok. 4,3 tys. osób), został sprzedany deweloperowi. Inwestor nie ujawnił jeszcze planów. Aktywiści uważają, że tak ważne historycznie miejsce powinno zostać wykupione przez państwo. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czesi pokochali Polskę

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Podczas gdy w polskich mediach wciąż króluje narracja o paragonach grozy, zimnym morzu i niechcianych już wakacjach nad Bałtykiem, polska riwiera ma już nowych fanów.

Tegoroczne statystyki pokazują bezsprzecznie, że coraz chętniej nad polskie morze przyjeżdżają nasi południowi sąsiedzi, a konkretnie Czesi. Według czeskiego urzędu statystycznego zainteresowanie letnimi wypadami do Polski wzrosło w tym roku aż o 60 proc.

Czescy turyści nie tylko w reklamie chwalą sobie dobry dojazd (dzięki trasie S3), piękne, białe plaże z drobnym piaskiem, przyjazny klimat (mniej tropikalnych upałów), a także to, że z Polakami zawsze mogą się dogadać.

Czeski dziennik „Seznam Zprawy” zauważył w połowie lipca, że Bałtyk coraz częściej jest przez Czechów nazywany „nowym Adriatykiem”.

Hotelarze dostrzegają zaś wzrost rezerwacji nie tylko z Czech, lecz także ze Słowacji oraz z Węgier.

Polska to piękny kraj. Niezwykłe plaże, pełne zabytków miasta, uzdrowiska, góry, jeziora czy zadbane wsie, w których powstają gospodarstwa agroturystyczne, mogą stanowić cel podróży wielu zagranicznych turystów, ale na razie wciąż nie potrafimy ich przyciągnąć. Miejmy więc nadzieję, że moda na wakacje na polskiej riwierze, która nastąpiła po tym, jak Chorwaci zaczęli dyktować turystom kosmiczne ceny noclegów, żywienia i rozrywek, rozszerzy się poza Czechy. Potrzeba tylko dobrej i mądrej promocji... ©©



Jak Trump z Muskem



Jacek Przybylski

Podczas rozmowy z miliarderem Elonem Muskem na platformie X Donald Trump obwinił prezydenta Bidena za to, że dopuścił, aby Putin przeprowadził pełnoskalową inwazję na Ukrainę. Jednocześnie pochwalił obecnego przywódcę Ukrainy i ponownie podkreślił, że jeśli wygra wybory, to doprowadzi do szybkiego zakończenia wojny w Europie

Rozmowa najbogatszego człowieka świata (jego majątek szacowany jest na ok. 222 mld dol.) oraz 45. prezydenta USA i – co bardzo prawdopodobne – wkrótce znów najpotężniejszego człowieka świata rozpoczęła się w ubiegły poniedziałek z 42-minutowym opóźnieniem. Według właściciela tego

serwisu społecznościowego powodem był atak DDoS, który przeciążył serwery należące do platformy X (dawnego Twittera).

BEZ CENZURY

Nie tylko hakerzy próbowali nie dopuścić do pozbawionej cenzury rozmowy mającej przerwać dobrą passę wiceprezydent

Kamali Harris, która gwałtownie zyskała w przedwyborczych sondażach po tym, jak liderzy Partii Demokratycznej skłonili Joe Bidena do porzucenia marzeń o reelekcji.

Ponieważ właściciel platformy X to nie tylko samozwańczy obrońca absolutnej wolności słowa, lecz także aktywny zwolennik kandydata republikanów na prezydenta, swoje trzy eurogrosze w amerykańską politykę postanowili wtrącić europejscy burokraci. Jeszcze zanim rozpoczęła się rozmowa Trumpa i Muska, europejski komisarz do spraw rynku wewnętrznego i usług opublikował w mediach społecznościowych list otwarty do właściciela platformy X. Francuz Thierry Breton nie tylko przypominał o unijnych przepisach dotyczących mowy nienawiści i ostrzegł Muska, że ma prawny obowiązek powstrzymania „promowania szkodliwych treści”, lecz także posunął się do bardzo słabo zawołowanej groźby. „Ponieważ odpowiednie treści są dostępne dla użytkowników z UE i są rozpowszechniane również w naszej jurysdykcji, nie możemy wykluczyć potencjalnych skutków ubocznych w UE” – napisał francuski eurokrata w oświadczeniu opublikowanym na X, przestrzegając właściciela tejże platformy, że „wszelkie negatywne skutki nielegalnych treści” mogą skłonić unijnych urzędników do podjęcia dalszych działań przeciwko należącej do Muska platformie, przy użyciu „pełnego zestawu narzędzi, w tym poprzez przyjęcie środków tymczasowych, jeśli będzie to uzasadnione w celu ochrony obywateli UE przed szkodami”. I nie były to czcze pogroźki. Już kilka tygodni temu UE oskarżyła firmę Muska o nieprzestrzeganie unijnych przepisów dotyczących mediów społecznościowych, za co platformie grożą wielomilionowe kary.

Najbogatszy człowiek świata nie przejął się jednak groźbami komisarza, który wystąpił w roli samozwańczego cenzora, i odpowiedział Bretonowi stosunkowo wulgarnym memem z satyrycznego filmu „Jaja w tropikach”. Nie wiadomo, czy Francuz poczuł się urażony, ale na razie Bruksela przynajmniej za to Muska nie ukarała.

PUCZ W WASZYNGTONIE

Ostatecznie rozmowę Elona Muska i Donalda Trumpa na żywo śledziło momentami nawet ponad milion osób, a według właściciela platformy X łącznie rozmowa odnotowała 998 mln wyświetleń.

Wprawdzie Trump nazwał to wydanie „najwspanialszym wywiadem w historii”, ale zgodnie z zapowiedzią Muska nie był to profesjonalny wywiad, a raczej utrzymana w przyjacielskim tonie, miejscami dość chaotyczna pogawędka. Miliarder zadawał byłemu prezydentowi łatwe pytania i nawet nie próbował kontrować, gdy Trump nieco przesadzał z hiperbolami.

Donald Trump opowiedział o lipcowej próbie zabicia go przez strzelca w Butler w Pensylwanii. I zapowiedział, że powróci do tego miasteczka w październiku, czyli tuż przed listopadowymi wyborami. Oskarżył także Partię Demokratyczną o przeprowadzenie zamachu stanu, w wyniku którego Joe Biden ogłosił, że rezygnuje z walki o reelekcję, i wskazał na swoją następczynię, Kamalę Harris. – To był zamach stanu. To był zamach stanu, którego celem był prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie chciał odejść, więc oni powiedzieli: możemy to zrobić w miły sposób lub możemy to zrobić w trudny sposób – przekonywał kandydat Partii Republikańskiej.

WOJNY I MIGRACJA

Trump w rozmowie z Muskiem przekonywał, że wewnętrzni „wrogowie” i „źli ludzie w naszym rządzie” są „bardziej niebezpieczni” niż zagraniczni adwersarze, tacy jak Rosja i Chiny. Nie bagatelizował jednak przywódców Rosji, Chin i Korei Północnej. – Są twardzi, inteligentni i okrutni – zaznaczył. I podkreślił, że do rosyjskiej agresji na Ukrainie nigdy by nie doszło, gdyby prezydentem był on, a nie Joe Biden, który – zdaniem Trumpa – sprowokował Putina do ataku słowami o pozostawieniu otwartych drzwi do wstąpienia Ukrainy do NATO. Kandydat republikanów jest też przekonany, że jeśli wygra, to będzie w stanie zaprowadzić pokój nie tylko w Europie, lecz także w innych miejscach globu.

Były amerykański prezydent posłużył się też argumentem migracyjnym. – Sądzę, że do naszego kraju przybyło ponad 20 mln ludzi. Wielu z nich przychodzi z aresztów, więzień, ze szpitali psychiatrycznych lub z ich większej wersji – zakładów dla obłąkanych. Wielu z nich to terroryści. I powiem ci coś: przybywają nie tylko z Ameryki Południowej. Przybywają z Afryki. Przybywają z całego świata. Przybywają

z Azji. Przybywają z Bliskiego Wschodu – mówił Trump. I chociaż podana przez niego liczba migrantów jest trudna do zweryfikowania i może być zawyżona, to były prezydent USA słusznie wypunktował nieudolność Kamali Harris w ochronie amerykańskiej granicy. – Miała trzy i pół roku, a teraz mają kolejne pięć miesięcy, aby coś zrobić. Ale nic nie robią. To tylko gadanie. Ona jest niekompetentna i on jest niekompetentny. I, szczerze mówiąc, myślę, że ona jest bardziej niekompetentna niż on, a to coś mówi, bo on nie jest zbyt dobry – zauważył kandydat republikanów. Donald Trump zapowiedział jednocześnie, że jeśli to on wygra wybory, to USA rozpoczną największą akcję deportacyjną w swojej historii. Oskarżył też swoją rywalkę o to, że drastycznie zmienia zdanie w kluczowych sprawach. Trump stwierdził, że Harris była „lewicowym radykałem, liberałem z San Francisco, a teraz... chce być bardziej trumpowa niż Trump”.

POJEDYNEK DOBRA I ZŁA

– Ten kraj upada, a nasi przeciwnicy to źli ludzie. I kłamcy. Składają fałszywe oświadczenia. Robią rzeczy, które są bardzo złe. Mówią, że uszczelnia granicę. Mówią, że świetnie radzili sobie na granicy, a byli najgorsi w historii. Teraz mówią, że powstrzymują przestępczość – komentował poczynania rywali były prezydent USA. Podczas dwugodzinnej rozmowy kandydat republikanów zapowiedział również zamiar zlikwidowania Departamentu Edukacji i przeniesieniu władzy nad systemem szkolnictwa na poziom władz stanowych. Odniósł się też do samej Harris. – Jest uważana za zdecydowanie bardziej liberalną niż Bernie Sanders. Jest radykalnie lewicową wariatką. A jeśli zostanie naszym prezydentem, to tego kraju już nie będzie – stwierdził Donald Trump, ostrzegając, że Harris po wyborach wróci do pomysłów, które kiedyś popierała, jak cofnięcie finansowania dla policji czy zakaz szczepinowania hydraulicznego.

Rozmowa Muska i Trumpa pokazała, że zmiana na stanowisku kandydata Partii Demokratycznej w walce o reelekcję sprawiła, że były amerykański prezydent stanął przed najtrudniejszym zadaniem od momentu powrotu na scenę polityczną w połowie 2015 r. Harris zdołała wskrzesić kampanię demokra-

tów, a w niektórych ogólnokrajowych sondażach zdołała już się wysunąć na delikatne prowadzenie. Były amerykański prezydent pierwszy raz ma zaś trudności ze skierowaniem z powrotem na siebie światła medialnych reflektorów, a także z przyjęciem skutecznej strategii ataku na Harris. Chociaż Partia Demokratyczna może świętować udane lato, to jest szansa na to, że demokraci zbyt szybko uwierzą w pewne zwycięstwo Kamali Harris, która ostatecznie podzieli los Hillary Clinton (w sierpniu 2016 r. sondaże dawały jej przecież dużo większą przewagę nad Trumpem, niż ma obecna wiceprezydent USA). Jeden, dwa czy nawet trzy punkty procentowe przewagi nie powinny odbierać republikanom wiary w odzyskanie Białego Domu.

Na głośną rozmowę Trumpa z Muskiem błyskawicznie zareagował wice sztab wyborczy Kamali Harris. Rozesłany do zwolenników demokratów e-mail nie tylko zawierał apel o zbiórkę funduszy, lecz także nazywał Muska „sługusem” drużyny Trumpa i oskarżał miliardera o próbę kontrolowania amerykańskiej demokracji. O tym, jak sama Harris szanuje demokrację i wyborców, świadczyć może to, że przez ponad trzy tygodnie od czasu przejścia w praktyce roli kandydata Partii Demokratycznej na prezydenta (choć formalnie nikt jej jeszcze nie wybrał) ani razu nie udzieliła dłuższego wywiadu czy nie zorganizowała konferencji prasowej z prawdziwego zdarzenia. Obecna wiceprezydent unika kontaktów z mediami na tyle wyraźnie, że nawet przychylny liberałom „Washington Post” skrytykował za to Harris, zauważając, że Trump „przynajmniej odpowiada na pytania”, tymczasem Harris trudno zapytać o to, dlaczego od 2020 r. w tak wielu sprawach tak radykalnie zmienia poglądy czy też jak jej rządy różniłyby się miały od rządów Joe Bidena. – Ona nie wie, jak zorganizować konferencję prasową; nie jest wystarczająco inteligentna, żeby zorganizować konferencję prasową – stwierdził na swojej konferencji Donald Trump, który w rozmowie z Muskiem stwierdził, że „to smutne, iż ktoś, kto zarabia na życie, będąc osobą publiczną, nie może odpowiedzieć na pytanie lub boi się udzielić wywiadu, choć w jej przypadku byłby to bardzo przyjazny wywiad, bo wszyscy dziennikarze są jej przychylni”.



Piotr Włoczyk

Gubernator Minnesoty ma pomóc Kamali Harris wygrać „środek” kraju. Tim Walz przedstawia się jako „swój chłop”, ale w rzeczywistości ma równie radykalne poglądy jak jego szefowa

Nigdy wcześniej żaden wiceprezydent (nie mówiąc już o prezydencie) nie przekroczył w ramach swoich oficjalnych obowiązków progów takiej placówki. Nawet w czasie bardzo progresywnej administracji Baracka Obamy ani Joe Biden, ani jego szef nie odważyli się na tak jednoznaczny gest. A jednak 14 marca tego roku Kamala Harris pojawiła się w klinice aborcyjnej Planned Parenthood w Minneapolis-Saint Paul w Minnesocie w ramach swojej proaborcyjnej trasy „Walczymy o Wolności Reprodukcyjne”.

„Jestem w tej klinice zdrowotnej (sic!), by podkreślić działania, które podejmowane są w Minnesocie i stanowią przykład tego, jak wygląda prawdziwe przywództwo” – mówiła Harris, stojąc na korytarzu placówki Planned Parenthood. Obok niej stał Tim Walz, gubernator Minnesoty, który był adresatem jej komplementów. Walz zrobił w Minnesocie tyle dla przemysłu aborcyjnego, że faktycznie należały mu się w tym kontekście słowa uznania ze strony wiceprezydent, która w administracji Bidena przyjęła rolę głównej promotorki niczym nieskrępowanego dostępu do aborcji.

Według CNN wizyta w tej „klinice zdrowotnej” była jednym z kluczowych momentów na drodze Walza do stania się kandydatem na wiceprezydenta u boku Kamali Harris. „Chemia była bardzo ważna dla Harris i naprawdę połączyła ich więź” – powiedział anonimowy współpracownik Walza cytowany przez CNN, które określiło Walza mianem „bulteriera” Harris.

BETONOWANIE PRAWA DO ABORCJI

Nieprzypadkowo to właśnie temat aborcji sprawił, że ten demokratyczny

Postępowy walec Walza

Gubernator Minnesoty z walki o prawo do aborcji uczynił wehikuł polityczny, dzięki któremu wjechał na szczyt demokratycznej wierchuszki

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES



duet poczuł do siebie polityczną „mięte”. Odkąd w 2022 r. Sąd Najwyższy obalił orzeczenie Roe v. Wade, przekazując na nowo kwestię regulacji aborcji stanom, Harris i Walz ustawili ten temat na samym szczycie swojej listy priorytetów. Wiceprezydent objeżdżała jeszcze do niedawna kraj z proaborcyjnym sztandarem w ramach kampanii swojego szefa, podkreślając, że tylko zwycięstwo demokratów może sprawić, że Amerykanki znów będą miały pełnię „praw reprodukcyjnych”. Z kolei Walz – od 2019 r. gubernator Minnesoty – z betonowania prawa do aborcji uczynił wehikuł polityczny, dzięki któremu wjechał na szczyt demokratycznej wierchuszki.

„Moja polityka w kwestii aborcji jest tak pro-choice, że Nancy Pelosi prosiła mnie, bym trochę spuścił z tonu – krzyczał niedawno Walz na jednym z wieców, przywołując nazwisko byłej demokratycznej spikerki Izby Reprezentantów, którą trudno byłoby przebić w poparciu dla przemysłu aborcyjnego. – Stoję ramieniem w ramieniu z Planned Parenthood!”

Harris odwiedziła klinikę aborcyjną w Minnesocie, ponieważ jej gubernator wprowadził niedawno prawo będące marzeniem kierownictwa Planned Parenthood. Ten północny stan nie przewiduje właściwie żadnych granic w kwestii „praw reprodukcyjnych”. Aborcja na życzenie jest tam legalna aż do końca ciąży. Oczywiście

zdecydowana większość aborcji wykonywana jest w pierwszym trymestrze, ale jednak zdarzają się też aborcje na życzenie wykonywane dużo później.

W 2015 r. w Minnesocie weszło w życie prawo, które nakazywało klinikom aborcyjnym zgłaszać każdego przypadku, gdy aborcja skończyła się żywym porodem, a także raportowania, jakie środki podjęto, by ratować życie noworodka i czy on przeżył czy nie. Tylko w 2021 r. doszło do pięciu przypadków żywych porodów w klinikach aborcyjnych (żadne z tych dzieci nie przeżyło). Walz w zeszłym roku doprowadził do zniesienia tego wymogu prawnego – teraz już nikt się nie dowie, jak często dochodzi w klinikach aborcyjnych do takich makabrycznych sytuacji.

„A my przecież wiemy, że takie rzeczy cały czas się zdarzają – podkreśla Cathy Blaeser, wiceprezes organizacji pro-life Minnesota Citizens Concerned for Life. – Wiemy też, że aborcjoniści zajmujący się w naszym kraju późnymi aborcjami mówią kobietom: »Jedźcie do Minnesoty«”.

KTÓRY SIERŻANT?

Gubernator Minnesoty, którego progresywny zapal musiała hamować Nancy Pelosi, to kandydat mający, według strategów Harris, pomóc jej wygrać głosy wahających się wyborców Środkowego Zachodu, czyli amerykańskiej prowincji. Jednego Walzowi nie można tu odmówić – potrafi walczyć w trudnym terenie. W 2006 r. wygrał w jednym z dość konserwatywnych okręgów wyborczych w Minnesocie z wieloletnim republikańskim kongresmenem i od tej pory nie dał się wyrzucić z Izby Reprezentantów (w 2018 r. wygrał wybory na gubernatora stanu).

Ten był nauczyciel, trener futbolu amerykańskiego, a także żołnierz Gwardii Narodowej, potrafi pokazać się jako polityk, który doskonale rozumie troski przeciętnego mieszkańca stanów, nad którymi się tylko przelatuje, podróżując z jednego wybrzeża na drugie (tzw. flyover states). Walz potrafi się pochwalić w mediach społecznościowych zdjęciami z polowania na bażanty, podkreśla szacunek dla żołnierzy i przypomina, że sam ponad 20 lat służył ojczyźnie.

W tej ostatniej kwestii pojawiły się jednak pewne wątpliwości. Przeciwnicy Wal-

za twierdzą, że odszedł on ze służby na emeryturę w momencie, gdy dowiedział się, że jego jednostka zostanie wysłana do Iraku. Gdy tylko temat ten pojawił się w mediach, Gwardia Narodowa Minnesoty wydała jednak oświadczenie, z którego wynika, że wniosek w tej sprawie Walz złożył, jeszcze zanim podjęta została taka decyzja. Druga sprawa to stopień wojskowy, z którym przeszedł na emeryturę. Walz podał do wiadomości publicznej, że dosłużył się starszego sierżanta, ale ponieważ nie ukończył obowiązkowego kursu dla starszych sierżantów, który przypieczętowałby awans, w rzeczywistości przeszedł na emeryturę w stopniu o jeden niższym. Donaldowi Trumpowi trudno atakować za to Walza (sam był prezydentem nie służył w wojsku), ale już jego kandydat na wiceprezydenta nie ma takich oporów. J.D. Vance, który służył w Iraku (choć nie w roli bojowej), wytyka Walzowi te problematyczne dla niego fragmenty wojskowego CV.

Republikanie atakują też Walza za jego bardzo bliskie kontakty z Chinami. Po raz pierwszy pojechał tam w 1989 r. jako świeżo upieczony nauczyciel, by przez rok uczyć młodych Chińczyków angielskiego. Od tego czasu był w Chinach ponad 30 razy, w latach 90. zabierając do ChRL każdego lata grupę amerykańskich licealistów, których uczył. I choć Walz generalnie wpisuje się swoimi wypowiedziami na temat rywalizacji z Chinami w politykę administracji Bidena, to republikanie starają się pokazać, że gubernator Minnesoty ma słabość do Chin.

„Komunistyczne Chiny są zachwycone wyborem Kamali w kwestii wiceprezydenta” – stwierdził Richard Grenell, były ambasador USA w Niemczech i były p.o. dyrektor Wywiadu Narodowego USA w administracji Trumpa.

„Relacje gubernatora Minnesoty Tima Walza z Chinami mogą być punktem zapalnym w trakcie kampanii prezydenckiej, podczas gdy obie partie starają się pokazać jako nieustraszone wobec Pekinu” – ocenia stacja NBC.

W kontekście Chin życiorys Walza ma jeden niezwykle zastanawiający punkt. Otóż demokratyczny kandydat na wiceprezydenta zaplanował swój ślub tak, by doszło do niego dokładnie 4 czerwca 1994 r. – w piątą rocznicę masakry na placu Tiananmen.

„Wybrał datę, którą zawsze będzie pamiętał” – tłumaczyła jeszcze przed ślubem jego przyszła żona Gwen w rozmowie z lokalną gazetą. Dlaczego ktokolwiek chciałby brać ślub w rocznicę krwawej masakry? Nietrudno się dziwić, że ten pomysł wzbudza wiele pytań.

TRANSAZYJ

Karoline Leavitt, rzeczniczka prasowa kampanii Trumpa, stwierdziła, że Walz „jako gubernator poświęcił ostatnie lata na przebudowywanie Minnesoty na kształt Złotego Stanu [Kalifornii – przyp. red.]”. W tej kwestii nie ma żadnych kontrowersji – Walz, wraz z demokratyczną większością rządzącą stanową legislaturą, zmienia ten przepiękny zakątek USA w progresywnego czempiona.

Wobec tego, że połowa stanów zakazała przeprowadzania tzw. tranzycji płciowej dzieci, Walz ogłosił, że Minnesota stanie się „azylem” dla takiej młodzieży i ich rodzin. Rządzony przez niego stan ma zapewniać ochronę prawną rodzinom z konserwatywnych stanów, którzy postanowili pomóc swoim dzieciom dokończyć „korekty” płci. W takich przypadkach system sądowy Minnesoty ma odmawiać współpracy z władzami stanów, które ścigają rodziców oskarżonych o krzywdzenie swoich dzieci (czyli właśnie pomoc w „korygowaniu” płci).

Walz jest też oskarżany przez republikanów o sprzyjanie radykałom spod znaku Black Lives Matter i niezbyt energiczną reakcją na masowe, pełne przemocy zamieszki, do których doszło w Minnesocie (a potem w wielu innych stanach USA) wiosną 2020 r. po śmierci George’a Floyda. Walz zwlekał cały dzień z wysłaniem Gwardii Narodowej do miast objętych rozruchami (przede wszystkim do Minneapolis, gdzie zginął Floyd). „Gubernator Walz miał możliwość, a także obowiązek użyć siły i służb porządkowych do zatrzymania przestępców siejących przemoc, ale nie zrobił tego – czytamy w raporcie sporządzonym krótko po rozróbach przez Senat Minnesoty, który kontrolowany był wówczas przez republikanów. – Gubernator Walz nie był gotów zrobić wówczas tego, co było konieczne, by natychmiast powstrzymać zamieszki, ponieważ odbywał filozoficzną debatę na temat tego, czy w ogóle można użyć siły, by powstrzymać przemoc”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dawne imperium



Widok na Ułan Bator, stolicę Mongolii

FOT. ADOBE STOCK



Ryszard Czarnecki
z Ułan Bator

Mongolia jest tak bezpiecznym krajem, że nawet policjanci chodzą tu bez broni

W Mongolii byłem po raz trzeci w ostatnich latach, ale tym razem najdłużej. Trwa spór, czy kraj ten można zaliczyć do Azji Środkowej czy nie – nawet w Ułan Batorze dyskutowałem o tym z ambasadorem Unii Europejskiej, Francuzką Axelle Nicaise. Byłem w tym regionie ponad 20 razy. Za mało, by uznać się za eksperta, ale wystarczająco, aby pokusić się o analizę głębszą niż te, które czytamy u nas odnośnie do Azji postsowieckiej.

Kiedyś sformułowałam tezę – zastrzegam sobie tutaj prawa autorskie – że Mongolia to taka... Bułgaria Azji. Nie w sensie dostępu do morza, bo Mongołowie go nie mają, ale w sensie historycznej

wdzięczności dla Rosji. Tak jak rosyjski car bronił Serbów przed Turkami, tak samo wymusił na Chinach w 1911 r. zgodę na autonomię kraju, który miał swojego króla i swój rząd z ministrami spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych. To wcale nie przeszkadzało później już czerwonej Rosji całkowicie, na siedem dekad, zwasalizować państwo Mongołów, uwięzić i stracić dwóch jego premierów oraz eksploatować bogactwa naturalne tego kraju.

TYLE PODOBIENSTW, TYLE RÓŻNIC

Współczesna Mongolia jest pod względem terytorium pięciokrotnie większa od Polski, a jednocześnie ma aż 12 razy mniej mieszkańców niż nasz kraj. Tak bardzo się różnimy, a jednocześnie mamy wiele wspólnego. Nie tylko wszak ze sobą wojowaliśmy, jak pod Legnicą w 1241 r. za czasów księcia Henryka Pobożnego. Przy okazji – w co najmniej dwóch mongolskich muzeach przedstawiana jest mapa, na której imperium Dżyngis-chana i jego następców

– trzeciego w kolejności syna, a potem wnuka – obejmuje również tereny Polski. Przekonywanie gospodarzy, że mowa jedynie o paru miesiącach, jest jak rzucanie grochem o ścianę.

Siedem wieków później mieliśmy wspólne doświadczenie komunizmu i wychodzenia z niego, transformacji ekonomiczno-politycznej. Mongolskie elity niepodległościowe nie ukrywały swojej fascynacji Solidarnością i chłoneły nasze doświadczenia. To właśnie do Mongolii wraz z grupą młodych ludzi i powielaczami przyjechał pomagać przy pierwszych wolnych wyborach mój późniejszy kolega z Sejmu RP, charyzmatyczny przewodniczący zakładowej Solidarności na Uniwersytecie Warszawskim i szef Związku na Mazowszu – śp. Maciek Jankowski. Stare i nierzadko wyśmiewane polskie zawołanie: „Za Waszą i naszą wolność!” na mongolskim stepie, gdzie na przełomie lat 80. i 90. hulał wicher wolności, nabiera szczególnej i wymowy, i mocy.

Gdy wchodzę do saloniku na międzynarodowym lotnisku w stolicy kraju, w telewizji nadają niesłychanie tutaj

popularny polski serial „Czterej pancerni i pies”. Ciekawe, że choć podbił on serca Mongołów w czasach sowieckich, to po upadku komuny nic się nie zmieniło – poza pokoleniami widzów! Podobnie zresztą jest z innym serialem made in Poland: „Stawka większa niż życie”. Nad Wisłą grymasimy nad ich ideologicznym wymiarem i politycznymi kontekstami, ale na obszarze między Chinami a Rosją ludzie oglądają je od kilkudziesięciu lat i odbierają jako promocję Polski.

PRODUKTY I PRACA

No właśnie – Mongolia z jednej strony ma za sąsiada Chińską Republikę Ludową, a z drugiej Federację Rosyjską. Między tymi krajami są trochę ponad 3 mln Mongołów. To dopiero wyzwanie! To także w jakiejś mierze kolejny wspólny mianownik z Polską – też przecież posiadającą, historycznie rzecz biorąc, bardzo trudnych sąsiadów.

Kolejną sprawą, która łączy Polaków i Mongołów, jest gospodarka. W sklepach w Ułan Batorze (po mongolsku oznacza to „Czerwony Bohater” na cześć Suche Batora, który zaprowadzał tam przy pomocy Armii Czerwonej komunizm) wiadać wielką ofensywę polskich towarów. Są nasze pikle, soki, sery i buty. Kupują je miejscowi, bo naszych rodaków tu jak na lekarstwo – Polonia liczy ok. 20 osób: parę polskich żon obywateli Mongolii (jedna z nich z mężem artystą żyje w Karkorom przez pół roku, a drugą połowę spędza we Francji), jeden zakonnik zajmujący się trudną młodzieżą, pojedynczy biznesmeni. Wielekroć więcej jest rodowitych Mongołów – absolwentów polskich uczelni. Ich liczba ma wynosić przeszło tysiąc. Wielu z nich zajmuje wysokie stanowiska w administracji centralnej lub regionalnej, a także w gospodarce, zarówno w sektorze państwowym, jak i prywatnym.

Spore zainteresowanie towarzyszy możliwościom przyjazdu do pracy do naszego kraju. Wydajemy tam ok. 80 wiz miesięcznie, a popyt jest ponad pięć razy większy. Nie ma w tym nic dziwnego: bezrobocie jest tam dwa razy większe niż w Polsce, a zarobki nieporównywalnie niższe. Odmów wiz jest kilkanaście procent.

Mongołowie zainteresowani są także najmniej płatnymi zawodami: w ma-

Dowódca Armii Ludowej
Damdin Suche Bator
– pomnik w stolicy Mongolii
FOT. ADOBE STOCK



gazynach, rozdziale kurczaków (choć np. w Szwecji mają mocną pozycję w produkcji... sushi!). Problemem są pośrednicy z Ukrainy i Białorusi, którzy chcą zmonopolizować „załatwianie”. Oferują pakiety w cenie 1,5 tys. euro, łącznie z umówieniem wizyty w konsulacie! Polska dyplomacja stara się to kontrolować, m.in. losując wizyty w placówce dla starających się o wizę. Na szczęście nie ma problemów z mongolskimi obywatelami na obczyźnie. Są indywidualistami, nie tworzą band, gangów jak wiele innych nacji.

Polonia w Mongolii liczy zaledwie ok. 20 osób. Szacuje się z kolei, że w Polsce żyje ok. 1 tys. Mongołów

Co roku młodzi Mongołowie trafiają na studia do Polski. Ta „kwota” roczna to 22 osoby. Strona polska finansuje im studia, a ich kraj zapewnia im pobyt. Dodatkowo 10 osób co roku przejeżdża na własny koszt. Państwo polskie zapewnia im naukę w języku polskim. Węgrzy zapraszają ich na studia w języku angielskim. Istnieje przekonanie, że ci „lepsi” jadą nad Dunaj, a nie nad Wisłę.

W sumie szacuje się, że w naszym kraju żyje ok. 1 tys. Mongołów. Jest to zatem 50 razy więcej niż Polaków w Mongolii.

Dla porównania: w Czechach żyje 13 tys. rodaków Dżyngis-chana. Także dlatego, że tygodniowo są dwa bezpośrednie połączenia lotnicze między Pragą a Ułan Batozem. My, Polacy, musimy latać przez Frankfurt, Sztambuł, a nawet Pekin. Rocznie z Polski przylatuje tu minimum kilkaset osób. Tu też widać asymetrię. Studentów mongolskich jest u nas w sumie stu kilkunastu, a naszych studiujecie w Mongolii ok. 10. I to mimo że przecież istnieje na Uniwersytecie Warszawskim mongolistyka, zatem potencjalnych stażystów na wyjazd do głębokiej Azji jest sporo.

Tych, którzy chcą do kraju Mongołów przyjechać jako turyści, informuję, że jest tak bezpiecznie, że nawet policja chodzi tam bez broni. Poza stepem, zabytkami i muzeami czekają tam atrakcje kulinarne. Choćby sery Arur – twarde słodkie kulki. Dla koneserów alkoholi są lokalne wódki. Jedna z nich robiona jest z kumysu i wygląda na pierwszy rzut oka jak woda.

Pierwszym naszym rodakiem, który przybył na ziemię Mongołów, był w 1240 r. wysłannik papieża Benedykt Polak – jeden z dwóch posłów Ojca Świętego. Celem wizyty było zawarcie sojuszu chrześcijańsko-mongolskiego przeciwko muzułmanom. Dziś są zupełnie inne czasy i inne sojusze. Warto, aby Polacy poznawali kraj, który ich rodak odwiedził jako jeden z pierwszych Europejczyków niemal osiem wieków temu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, byłym europosem, działaczem Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

ŁUKASZ ZBORALSKI: Po prawie dekadzie dobrej passy Polacy zaczynają odczuwać problemy finansowe na wielu polach. Czy tych spraw też dotkną rozmowy na tegorocznym forum ekonomicznym?

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI. Tak, oczywiście. To zrozumiałe, że w sytuacji, w której coraz więcej naszych partnerów mówi o konieczności przeprowadzenia procesów restrukturyzacyjnych i wskazuje na trudności związane z dostosowaniem swoich biznesów do regulacji, które coraz częściej przyjmowane są przez czy to europarlament i Komisję Europejską, czy to przez parlament krajowy, nie może tego spojrzenia w dyskusjach na forum brakować. To jest dzisiaj jeden z najistotniejszych elementów, który konstituuje położenie europejskiego biznesu.

Wszystko wskazuje na to, że wiele będziemy musieli poświęcić, spełniając założenia Europejskiego Zielonego Ładu. Czy ten europejski kurs jest nieopłacalny, skoro jednym z tematów ma być w Krynicy redefiniowanie Zielonego Ładu?

Dla mnie jest rzeczą oczywistą, że europejscy politycy muszą sformułować na nowo odpowiedź na wyzwania, które są przed nami. Już dziś wiadomo, że np. dyrektywa budynkowa w przypadku Europy Środkowej jest niemożliwa do zrealizowania. Nie mamy ani takiego potencjału technologicznego, ani takiego potencjału ludzkiego, ani takiego potencjału biznesowego, żeby tak ogromne wyzwanie, czyli zeroemisyjność budynków do roku 2035, osiągnąć. Przypomnę tylko, że na termomodernizację od 5 mln do 6 mln budynków mamy tylko 3 tys. dni, czyli od 1,5 tys. do 2 tys. budynków dziennie. To niemożliwe.

Tak samo jak niemożliwe jest też osiągnięcie drugiego celu, czyli zeroemisyjności w samochodach osobowych. Dlatego że ciągle jeszcze wydaje się, iż muszą być najpierw rozwinięte te technologie, które umożliwią przejście na prąd jako główne źródło zasilania samochodów w transporcie. To jest problem producentów nie tylko w Europie, lecz także w Stanach Zjednoczonych.

A przy okazji czeka nas próba dorównania producentom chińskim, którzy w tym roku sprzedali już 1,5 mln samochodów elektrycznych, podczas gdy Europejczycy może połowę tego. Tymczasem w przypadku metali ziem rzadkich, które są podstawą do produkcji baterii samochodowych, paneli fotowoltaicznych, śmigieł



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



Z Zygmuntem Berdychowskim, pomysłodawcą i założycielem Fundacji Instytut Studiów Wschodnich, organizatorem Forum Ekonomicznego w Karpaczu rozmawia Łukasz Zboralski

Nie ma szans na Zielony Ład

do wiatraków, założyliśmy, że w Europie nie będzie się ich kopać albo że wydobyć i rafinacji tych metali ziem rzadkich towarzyszyć będą jakieś specjalne procedury, czyli przede wszystkim koszty związane z korzystaniem ze środowiska. Jeżeli tak rzeczywiście ma być, to trzeba sobie powiedzieć otwarcie, że Europejczycy nie będą w żaden sposób w stanie konkurować z chińskimi producentami np. samochodów elektrycznych.

Jak to mamy zmienić?

Albo inaczej sformułujemy te cele, nie wyznaczając sztywnych granic

czasowych, albo znacznie skrócimy listę tych celów, które chcielibyśmy osiągnąć. Inaczej nie jest możliwe utrzymanie konkurencyjności europejskiej gospodarki.

Stawiamy sobie złe cele?

Podam taki przykład. W roku 2004 w związku z sugestiami naszych partnerów na początku procesu integracji europejskiej przyjęliśmy w Polsce założenie, że w ciągu 15 lat rozwiążemy problemy gospodarki wodno-ściekowej. Czyli podłączymy wszystkie gospodarstwa domowe do oczyszczalni ścieków.

Na ten program wydano nieprawdopodobnie wiele pieniędzy. Stworzone zostały specjalne instytucje, których nikt inny w Europie nie stworzył, każda władza polityczna na przestrzeni tych 20 lat aktywnie o realizację tego celu zabiegała, a po 15 latach zrealizowano 43 proc. jego założeń. Patrząc na ten przykład, nie powinno się wytyczać nowego gigantycznie wielkiego programu, który ma doprowadzić do zeroemisyjności budynków, zeroemisyjności transportu publicznego w równie krótkim czasie.

Dodam tylko, że prawie całość importu paneli fotowoltaicznych pochodzi z Chin. No przecież zaraz spotkamy się z taką sytuacją, w której za te panele będziemy musieli płacić więcej. A kto wie czy je w ogóle dostaniemy? Przecież producenci na całym świecie będą wiedzieć o tych terminach i z realiów rynku konsumenta znajdziemy się na rynku producenta ze wszystkimi wynikającymi z tego negatywnymi konsekwencjami.

Uważam, że nie da się odchodzić od stabilizującej roli energii jądrowej w sytuacji, w której nie ma żadnej innej możliwości takiego płynnego, bardzo elastycznego reagowania na zapotrzebowanie bądź brak zapotrzebowania na energię w związku z funkcjonowaniem na aż tak dużą skalę energetyki odnawialnej.

Z pana opinii wynika, że Europa mocno się sama ogranicza, a zyskują na tym np. Chińczycy.

Nie tylko Chińczycy. Amerykanie, gdy po raz pierwszy zetknęli się z sytuacją, w której mogli nie mieć wystarczająco dużo magnezu, który sprowadzali z Chin do rakiet balistycznych, podjęli decyzję, by przeznaczyć kilkadziesiąt miliardów dolarów na rzecz firm, które rozpoczną działanie w zakresie poszukiwania wydobywania i rafinacji metali ziem rzadkich. Uznano, że to jest tak istotny element suwerenności gospodarczej, iż nie sposób jest inaczej postępować, że wolny rynek tego nie załatwi.

W tym samym czasie Europejczycy nie podjęli żadnych działań, zarówno jeżeli chodzi o zmniejszenie opłat związanych z korzystaniem ze środowiska, jak i z wyasygnowaniem porównywalnych do amerykańskich sum środków z przeznaczeniem na wsparcie biznesu, który w tym zakresie – ewentualnie w tym obszarze – rozpoczynałby działalność.

My powinniśmy mieć pewność, że to, co robimy w Europie, nie będzie zagrażało naszemu interesowi gospodarczemu. Inaczej niedługo może się okazać, że nie tylko przemysł samochodowy, lecz także inne bardzo istotne elementy, bardzo istotne gałęzie gospodarcze w Europie nie będą w stanie konkurować z innymi gospodarkami. Już jesteśmy świadkami exodusu różnych firm przemysłowych, które uciekają z Unii Europejskiej, dlatego że tu jest droga energia, że trzeba raportować ESG, że trzeba spełniać wiele dodatkowych warunków – i to się najzwyczajniej w świecie nie opłaca. Więc albo wyciągniemy z tego wnioski, albo nam te firmy puciekają.

Tymczasem jest też inny problem. Brakuje rąk do pracy. Nasza populacja europejska się kurczy, demografia jest nieubлагana. Na razie chyba jedyny pomysł w Europie to „więcej migrantów”.

Europejczycy na rozwiązanie tego problemu przyjęli dawno temu taką właśnie receptę: masowy import imigrantów. I wydaje się, że dzisiaj właśnie w Wielkiej Brytanii, Szwecji i we Francji jesteśmy świadkami kompletnego fiaska takich działań.

To co w zamian?

No a dlaczego nikt nie mówi o tym, że rodzina i taki wielopokoleniowy jej model mogą stanowić przynajmniej w części odpowiedź na te wyzwania demograficzne, o których rozmawiamy?

W książce „Megazagrożenia” Nouriel Roubini pisze, że największe amerykańskie fundusze emerytalne szacują, iż będą mogły wypłacać emerytury jeszcze najwyżej przez 20 lat. Nie dlatego, że gruntuwnie źle zarządzają tymi środkami, ale dlatego, że tych ludzi, którzy przechodzą na emeryturę, jest coraz więcej, tych, którzy na nich pracują, coraz mniej, tych, którzy dożywają coraz dłuższego wieku, jest coraz więcej i tych, którzy się rodzą, też jest dużo mniej.

Jeżeli postulat pt. „Weźmy imigrantów” na przykładzie Szwecji, Wielkiej Brytanii, częściowo Francji wyraźnie pokazuje, że to jest droga, która wcześniej czy później zakończy się fiaskiem, to dlaczego nie zacząć mówić o tym, że możliwe są inne modele rozwiązania problemu demograficznego? To znaczy np. rodzina wielopokoleniowa. Musimy na nowo zacząć rozmawiać o tym, jak rozwiązać ten problem.

Wciąż w Europie mamy wojnę. Czy Polska i cała Europa radzą sobie bez wielkiego rosyjskiego rynku? Czy udało nam się znaleźć inne?

Tak naprawdę to, co jest istotne w przypadku Rosji, to dostęp do surowców.

To jest główny atut tego kraju. Nie konsumpcja – która wcale wbrew pozorom nie jest aż tak duża – ale przede wszystkim surowce.

Czy będziemy musieli do nich wrócić w jakiś sposób, kiedyś, czy poradzimy sobie bez nich?

Najpierw Ukraina musi wygrać wojnę. Musimy wspierać Ukraińców, żeby oni mogli sobie z tą agresją poradzić. Europejczycy, świat Zachodu – musimy zrobić wszystko, żeby ta wojna uległa zakończeniu. Nie na warunkach, które przedstawiał na samym początku prezydent Federacji Rosyjskiej, ale na warunkach, które są akceptowalne z punktu widzenia Ukrainy.

Mamy nadzieję, pan pewnie też, że ta wojna się zakończy. Czy jesteśmy już dzisiaj politycznie i gospodarczo gotowi zarobić na odbudowie Ukrainy?

Zarabiać będziemy – niezależnie od tego, co mówią politycy ukraińscy, którzy zwłaszcza przez ostatnie miesiące przekonywali, że Polska jest za bardzo prorosyjska. To było zresztą szczególnie bulwersujące, zwłaszcza gdy spojrzeć się na to wszystko, co wydarzyło się w naszych relacjach po roku 2023. Więc, po pierwsze, zarabiać będziemy bez względu na to, czy politycy ukraińscy tego będą chcieli czy nie będą chcieli.

Można próbować mówić o tym, że zbudujemy bramę na Ukrainę przez Rumunię, że przez Słowację, że przez Węgry, że przez jeszcze jakieś inne kraje. Jednak jedyną realną bramą do odbudowy Ukrainy dla świata zachodniego jest Polska. No i oczywiście my będziemy czerpać z tego korzyści. Jak pan spojrzeć na wejście Polski do Unii w roku 2004, to zobaczy pan, że krajem, który najwięcej skorzystał na tej akcesji, była Republika Federalna Niemiec. Dlaczego? Ponieważ była położona najbliżej rynku, który potrzebował inwestycji, potrzebował nowoczesnej infrastruktury. Myślę, że dokładnie taki sam proces będziemy obserwować w przypadku Ukrainy i Polski.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

O jednodniowy tydzień pracy!

Jak wiadomo, politycy lewej strony rządzącej obecnie lewostronnej koalicji mają po dwie lewe ręce, a takie – to też wiadomo – żadną miarą do pracy się nie nadają. Właśnie dlatego z wzywania m.in. do niepracowania ulepili swój lewy programik, na który starają się łowić innych leworęcznych.

W tym celu twardo domagają się, by nie tylko wydłużyć urlop z 26 do 35 dni w roku, lecz także – i to jest w tej dziedzinie ich główny postulat – by skrócić tygodniowy czas pracy. Albo do czterodniowego tygodnia pracy, w którym obowiązywałby ośmiogodzinny dzień pracy, albo – choć z dużo mniejszym entuzjazmem – do pozostawienia pięciodniowego tygodnia pracy, w którym jednak obowiązywałby siedmiogodzinny dzień pracy.

I oczywiście na nic zdają się protesty przedstawicieli organizacji zrzeszających praworęcznych, czyli pracodawców, a więc ludzi, którzy w odróżnieniu od leworęcznych wiedzą, że pieniądze, które otrzymujemy w dniu wypłaty, ani nie spadają z nieba, ani nie rosną na drzewach, ani nawet nie są nam podarowane przez pracowitych Czechów czy Niemców, lecz pochodzą wyłącznie z naszej pracy, z pracy nas wszystkich. Bo też coś taka garstka praworęcznych może wobec armii leworęcznych, których całe morze?

No więc praworęczni alarmują, że „czterodniowy tydzień pracy lub skróce-

nie wymiaru czasu pracy w Polsce do 35 godzin to socjalistyczna utopia i droga do poważnych problemów gospodarczych”. I bombardują liczbami unaoczniającymi skutki ewentualnego podjęcia tego fatalnego kroku. Do znudzenia przypominając, że i bez tego samobójczego ruchu, m.in. wskutek katastrofy demograficznej, w połowie obecnej dekady z polskiego rynku pracy ubywać będzie 1 tys. osób... każdego dnia roboczego! I w naprawdę nieodległej perspektywie jeden pracujący Polak będzie musiał utrzymywać... jednego Polaka emeryta! A wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy jeszcze bardziej by ten proces anihilacji polskiego rynku pracy przyspieszyło.

Ale co to obchodzi leworęcznych lewusów, w tym ich szefa: lidera lewostronnej koalicji, czyli króla leworęcznych Donalda Tuska? Skoro nie może on dać swoim leworęcznym ani aborcji na żądanie aż do dnia narodzin (a może i do końca pierwszego tygodnia po narodzinach), ani związków partnerskich dla wszystkich, bo na nasze szczęście nie jest w stanie zbudować dla nich większości, to da im chociaż czterodniowy tydzień pracy, bo do tego wśród swych lewacy lewusów, do których pewnie z ochotą przyłączą się lewusy prawostronne, zawsze bez trudu większość znajduje.

A potem już tylko patrzeć, gdy lewusy (i ich prawusy) zażądają jednodniowego tygodnia pracy. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prawica? Jaka prawica?!

Gdy przypominam, że PiS to nie prawica, ale lewica, nierzadko słyszę: „No, może w sprawach socjalnych i gospodarczych tak, ale światopoglądowo to co innego”. Doprawdy?

Zmiana definicji gwałtu na taką, która zaowocuje znaczącym osłabieniem zasady domniemania niewinności – zapisanej przecież w konstytucji – była od dawna jedną z fikcji lewicy. Już kilka lat temu, reklamując ten pomysł, skrajnie lewicowe kręgi odwoływały się do

w obecnej kadencji Sejmu. Przedstawiono projekt, który został niemiłosiernie zdruzgotany m.in. przez prof. dr hab. Magdalenę Budyn-Kruk w opinii napisanej dla Biura Ekspertyz i Oceny Sukatów Regulacji. I co? I w głosowaniu nad tym – lekko tylko zmodyfikowanym wobec pierwotnej wersji – projektem „za” było aż 94 posłów PiS, w tym takie tuzy „prawicy” jak Joanna Lichocka, Jacek Sasin, Mariusz Błaszczak, Elżbieta Witek czy Piotr Gliński. No i oczywiście sam Naczelnik na czele. Przeciw było tylko 26 posłów Zjednoczonej Prawicy, w tym Przemysław Czarnek, Michał Woś, Sebastian Kaleta, Szymon Szynkowski vel Sęk. Poza tym całość klubu Konfederacji i całe koło Kukiz'15.

Ustawa zmieniająca Kodeks karny trafiła następnie do pana prezydenta. I jak państwo myślą – coś zrobił ten człowiek niezłomny, wróg lewactwa, wnikliwy prawnik? Tak, dobrze państwo myślą: szybko podpisał. Nie przesłał nawet ustawy do kontroli następcej w Trybunale Konstytucyjnym. To najmniej, co mógł być zrobić.

Proszę mi więc więcej nie wmawiać, że największa partia opozycji to prawica oraz że prezydent RP również jest konserwatystą. Nie – to oportunistyczny progresizm najgorszego rodzaju. ©

Proszę mi więcej nie wmawiać, że największa partia opozycji to prawica

radikalnie zmanipulowanych badań Fundacji Ster, mających pokazywać, że w Polsce zgłaszanych jest tylko 8 proc. gwałtów. Stąd lewica wzięła swoje bajki o setkach tysięcy kobiet gwałconych rocznie w Polsce (faktycznie w 2021 r. zgłoszono 1081 przypadków). Fundacja swoje „badania” przeprowadziła na 451 kobietach, znalezionych na zasadzie „koleżanka poleciła koleżankę”, czyli rekrutujących się, tak jak fundacja, ze skrajnej lewicy. Cóż, może tam faktycznie gwałcą na potęgę.

Wreszcie lewica mogła swój plan zrealizować

Zapraszam do Republiki na trzy poranne debaty. Z politykami i ekspertami porozmawiam na żywo o istotnych dla Polski i Polaków tematach. Do zobaczenia – Adrian Klarenbach.

**OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU**

PO 9:00

PO 10:00

PO 11:00

**SKANUJ KOD QR
I WSPIERAJ
WOLNE MEDIA**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Od 12 lipca Republika rozpoczęła nadawanie na ogólnopolskim naziemnym multipleksie MUX-8 na kanale 51. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika



Jacek Pałkiewicz

Na podróż z dzieckiem nigdy nie jest za wcześnie. To pozwala mu poznawać świat

Cztery dekady temu doszło do spięcia z włoską babcią moich synów, która kategorycznie zabroniła zabrać kilkulatków w zagraniczną podróż. Ryzykowałem wybuchem wojny z Maryją i dzisiaj już nawet nie pamiętam, jak ją córka Linda udobruchała, bo dzieci pojechały, a z teściową pozostały poprawnie wzorowe stosunki. Od owej chwili wojaże stały się dla nich chlebem powszednim.

Dziś mieszkają w Szanghaju, dokąd – niczym kiedyś Marco Polo – wyruszyli spod Wenecji. Podobnie jak ojciec nauczyli czuć się wszędzie komfortowo, może nieco przesadnie Włochami w Polsce czy nazbyt Polakami we Włoszech albo zbytnio Europejczykami w Azji, a także czuli się jak w domu, zarówno w rodzinnym Bassano del Grappa, jak i w Warszawie czy w Chinach. Synowie zaczęli latać samolotem, zanim siusiali do nocnika. Jestem z nich dumny. Nawet ich nie skarciłem, kiedy w Polsce przewrotnie wykrzykiwali „kulwa”, doskonale wiedząc, że to nie zakręt, a córka Koryntu. Starszy, Konrad, potrafi przeklinać w czterech językach, nawet po japońsku. Pamięta, jak w dzieciństwie tajlandzki pediatra rozweselał go po angielsku, a moskiewski milicjant przywoływał go surowo po rosyjsku do porządku. Ich wspomnienia są niczym arlekin w kostiumie przeszywanym różnymi miejscami, krajami, ludźmi i językami. Nie noszą w sobie wirusa nacjonalizmu, zostali zaszczepieni przeciwko wszelkim szowinistycznym postawom. Do ich pokolenia będzie należeć świat. „Szczęśliwe są wasze dzieci, które są obywatelami świata” – wdychała do mojej żony kobieta, która każdego lata wyrzucała duże pieniądze, wysyłając swoje dzieci na dwa tygodnie bezużytecznych „studyjnych wakacji” do Anglii w próżnej nadziei, że po powrocie usłyszysz, jak doskonale mówią po angielsku.



Podróżowanie z dziećmi to wielka przygoda dla pociech i ich rodziców FOT. ADOBESTOCK

Podróżowanie z dziećmi

Te sceny przewijają się przed moimi oczami jak slajdy z wyprawy na Borneo. Wiadomo, że dzieci są dziećmi krótko, szybko rosną i byłoby grzechem się nimi nie cieszyć. Nie chciałem stracić okazji do przeżywania niepowtarzalnych, bez troskich chwil ich dzieciństwa. Jak ostrzega Ewangelia, pewnego dnia zaczną mieć

swoje życie, opuszczą rodzinny dom i założą własne rodziny. Przychodzi dzień, kiedy dociera do nas, że dzieci z pluszowym misiem w ramionach i czerwonym modelem ferrari w plecaczku stały się dziećmi innego sortu. Są obcokrajowcami albo dokładniej: obywatelami świata. Ale odbyliśmy razem tyle powrotów,

że to ich odejście, które dla rodziców zawsze jest trochę jak śmierć, ciąży na mnie w mniejszym stopniu.

NAWET NA KONIEC ŚWIATA

Ale do rzeczy. Redakcja prosiła o rady dla rodziców wybierających się w podróż z maluchami. Co do tego, że warto je zabierać ze sobą, nie powinno być wątpliwości. Dopowiem, że na pierwszą taką podróż nigdy nie jest za wcześnie, pod warunkiem że zachowany zostanie zdrowy rozsądek, czyli kompromis między potrzebami rodziców i dziecka, które jest zwykle wymagającym kompanem podróży. W takim przypadku z dziećmi można się wybrać nawet „na koniec świata”. Z bardzo małymi także.

Znamy lekarz opowiadał mi, że pewna pacjentka twierdziła, iż wakacje z trzylatkami kosztowały ją dużo poświęcenia i wysiłku, a przecież i tak na pewno nie będzie ono pamiętać zbyt wiele z podróży poza niejasnymi i niewyraźnymi obrazami. Jednak będzie nosić w pamięci zapachy, kolory i wrażenia, i piętno, które one wywarły w tym delikatnym momencie życia; będzie to doskonałym bodźcem do kształtowania się jego przyszłej tożsamości. Wakacje z noworodkiem rzeczywiście nie należą do łatwych i wymagają sporej organizacji, cierpliwości i ducha adaptacji. Najlepiej jest zacząć od małych kroków, odwiedzin dziadków za miastem, weekendowego wyjazdu, aż do lotu samolotem. Te małe kroki pozwolą poznać potrzeby malucha, poczynając od tego, co zabrać ze sobą do walizki, a skończywszy na wiedzy, która sprawi, że poczują się bardziej lub mniej komfortowo. Córka przyjaciół opowiadała kiedyś z ożywieniem o „księżdzie wrozu” swojego maluszka, praktycznej mapie świata: pierwszy ząb pojawił się u niego w Londynie, raczkowania nauczył się w Chinach, a chodzenia na Malediwach.

Albo inna scenka, którą wspominała: przez całą noc w Kambodży padał deszcz i przed jej hotelem utworzyła się wielka kałuża wody, w której bawił się miejscowy chłopczyk w podobnym wieku do jej potomka, czyli ok. pięciu lat. Dołączył do niego, brodząc po kolana, jej syn Wiktor. Nowy koleżka nie znał angielskiego, a on potrafił wymówić kilka przypadkowych sylab po khmersku, a mimo to udało im się porozumieć uniwersalnym językiem: uśmiechem.

Poznając świat, dzieci uczą się od małego otwartości na odmienne kultury, szacunku oraz tolerancji

Zabrzmi to banalnie, ale muszę przypomnieć, że taki rodzinny wyjazd powinien być w najdrobniejszych szczegółach przygotowany i przemyślany, w przeciwnym razie łatwo można zepsuć sobie wakacje. Im więcej poświęci się czasu na zorganizowanie projektu, tym mniej będzie zaskakujących sytuacji. Jurek Kukuczka, z którym byłem na zimowej ekspedycji na Annapurnie, wyznał mi w drodze: „Kiedy perfekcyjnie przygotowałem wspinaczkę, wiem, że jedną nogą jestem u celu”.

Trzeba zadbać o to, co może być potrzebne: butelkę, ulubione gry, apteczkę z lekami na każdą ewentualność, ubezpieczenie zdrowotne – i przede wszystkim nie wolno zapomnieć o złotej zasadzie, aby nie zostawiać niczego przypadkowi. Tylko w ten sposób wyjazd zapewni stymulującą aktywność, która wzbogaci bagaż emocjonalny i kulturowy najmłodszych oraz rodziców, a nie zamieni się w niebezpieczne źródło nieskończonego stresu. Nie da się jednak zaprzeczyć, że takie wyjazdy, szczególnie na początku, wymagają wielu kompromisów, które pozwolą pogodzić potrzeby dużego i małego podróżnika.

Dokumenty na podróż z maleństwem na ogół nie różnią się zbyt wiele od tych, które należy przygotować na podróż wyłącznie w gronie osób dorosłych. Dobrze jest mieć przy sobie także dokumentację medyczną dziecka i kontakt z pediatrą. Warto jest zaopatrzyć się w gry podróżnicze, książeczki, kolorowanki i inne przedmioty, które pozwolą skrócić czas podróży i oczekiwania. Dobrze zorganizowany wyjazd z mamą i tatą to jeden z najlepszych prezentów, jakie można dać swoim pociechom.

WSPÓLNE ODKRYWANIE ŚWIATA

Zawsze powtarzam, aby przed wyjazdem starać się jak najbardziej zaangażować dzieciaki w to, co będziemy zwiedzać i robić, wykorzystując do tego atlasy, książki, fotografie. W dro-

dze mogą prowadzić mały pamiętnik, w którym będą pisać lub rysować to, co widzą, robią, jedzą. To najlepszy sposób, aby utrzymać ich uwagę na wysokim poziomie i aby lepiej zachowały w swojej pamięci ten wyjazd. Dobre podróżowanie z dziećmi oznacza dopasowanie się do ich możliwości, upewniancie się, że wrócą do domu pełne pozytywnych przeżyć, a nie zmęczenia i złego nastroju. Podróżowanie z małymi to spora inwestycja: to tak, jakby pozwolić im się uczyć, ale bez szkolnych ławek.

Od najmłodszych lat maluszki są w stanie doskonale przystosować się do każdego środowiska i sytuacji, jedzenia, spania i zabawy w każdym kontekście. Poznając świat, uczą się od małego otwartości na odmienne kultury, szacunku oraz tolerancji dla innych wartości. Taki sposób spędzania czasu ma bez wątpienia wpływ na rozwój ich osobowości. Pocięchy łatwo uczą się zaradności, odpowiedzialności, rozwijają w sobie odwagę i więzy koleżeństwa, a także nowe zainteresowania i nowe pasje.

Wspólne odkrywanie świata z dziećmi to bez wątpienia jedno z najbardziej emocjonujących przeżyć dla rodziców. Oznacza to dzielenie się wspaniałymi chwilami, tworzenie niezapomnianych wspomnień, obserwowanie otoczenia z innej perspektywy i – czemu nie? – zawieranie nowych przyjaciół. Uważam, że bardzo ważne jest, aby rodzice uświadomili dzieciom różnicę między różnymi rodzajami wyjazdów, a nie zostawiali im oceny miejsc docelowych. Aby zrozumieli, czym są wakacje lub podróż, czym jest miasto sztuki lub co oznacza światowe dziedzictwo kulturalne. Krótko mówiąc: dobrze jest powierzyć im metaforyczną tacę z różnymi łakociami, aby mogły jak najwięcej skosztować i wybrać potem swój własny smak.

Będziemy z nich dumni, gdy wymówią prawie poprawnie słowa powitania w obcym języku lub uśmiechną się radośnie do przechodzącego obok pana z parasolem, zdobywając go spojrzeniem. Wycieczka z latoroślą będzie oznaczać dreszczyk emocji związany z byciem świadkiem ich odkryć i postępów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywca źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.

SKODA KAMIQ SELECTION 1.0



podobne do tych z jazdy wersją sprzed modernizacji (choć podstawowy silnik w mocniejszej odmianie po liftingu zyskał kilka koni). Praktyczny crossover nie sprawia co prawda, że serce kierowcy nagle zaczyna mocniej bić (sprint od zera do 100 km/h zajmuje 10,2 s), ale w razie potrzeby auto potrafi sprawnie przyspieszyć, jest nieźle wyciszone, a do tego może być oszczędne (średnie spalanie podczas testu wyniosło 5,9 l/100 km).

Zmiany na lepsze zawiły też do wnętrza Kamiq: w każdej wersji wyposażenia standardem są już za to cyfrowe zegary (Virtual Cockpit). Co ważne, odświeżona kabina nadal jest ergonomiczna, praktyczna i oferuje zaskakująco dużo miejsca na nogi. Foremny kufer o pojemności 400 l (który można powiększyć do 1395 l) nadaje się już nawet na jakiś wypad za miasto.

FOT. JAP

Jak na rodzinnego miejskiego SUV-a przystało, Kamiq wyposażony jest nie tylko w dziewięć poduszek powietrznych, lecz także w systemy bezpieczeństwa (np. Front Assist czy Lane Assist), które minimalizują ryzyko kolizji, a jeśli już do niej dojdzie, to ograniczają przykre konsekwencje.

Na szczęście auto po modernizacji wcale znacznie nie podrożało. Za nowego Kamiq trzeba zapłacić co najmniej 87,7 tys. zł. Model w wersji Selection – z bezkluczykowym dostępem, kamerą cofania, czujnikami parkowania oraz dwustrefową klimatyzacją – to wydatek 99,8 tys. zł (z silnikiem 1.0 TSI o mocy 95 KM). W testowanej wersji minimalna cena to 110,8 tys. zł. Najwyższa wersja Monte Carlo (m.in. z dachem panoramicznym) kosztuje zaś minimum 114,2 tys. zł.

Najmniejszy i najtańszy „miejski SUV” czeskiego producenta od czterech lat był bestsellerem, ale po delikatnej metamorfozie nadwozia ma szansę sprzedawać się jeszcze lepiej niż dotychczas. Co prawda, nie jest to najbardziej seksownie wyglądający crossover na rynku, ale odświeżony wygląd powinien się spodobać, bo auto już na pierwszy rzut oka wygląda zdecydowanie lepiej z przodu (grill nieco urósł, zderzaki nieco zmieniono, a nowoczesności Kamiqowi dodają smuklejsze LED-owe światła do jazdy diennej, które wyraźniej kontrastują teraz z powiększonymi nieco głównymi reflektorami), z boku (nowe wzory felg) oraz z tyłu (nowe

kierunkowskazy oraz zmieniony wygląd dyfuzora nadają Kamiqowi nieco więcej charakteru i dynamizmu). Zmian jest więcej, ale są one ewolucyjne, a nie rewolucyjne.

Kamiq oferowany jest w pięciu wersjach silnikowych. Czeski crossover może mieć pod maską silnik 1.0 TSI o mocy 95 KM i z pięciobiegową skrzynią manualną, o mocy 115 KM i z sześciobiegową skrzynią manualną oraz o mocy 115 KM i z siedmiobiegową skrzynią automatyczną DSG (właśnie tę wersję dostaliśmy do testu). Dostępne są również dwa warianty z silnikiem 1.5 TSI (o mocy 150 KM) z sześciobiegowym manuałem oraz siedmiobiegowym automatem. Wrażenia z samej jazdy są

MOTOROLA EDGE 50 FUSION

Dopracowane wzornictwo, ekran P-OLED z częstotliwością odświeżania na poziomie 144 Hz, 12 GB RAM, 512 GB pamięci na dane, wysoka odporność na kurz i wodę (IP68), pojemna bateria oraz dobry stosunek ceny do możliwości – to największe zalety średniaka ze stajni Motoroli, który został wyceniony na mniej niż 2 tys. zł.

Design tego modelu jest bardzo podobny do jego droższego rodzeństwa (w tym do opisywanego w czerwcu w tej rubryce Edge 50 Pro). W przypadku Fusion do wyboru są trzy kolory: błękitny, różowy oraz granatowy. Smartfon jest smukły i wygląda elegancko. Dobre wrażenie robi też zakrzywiony 6,67-calowy ekran pOLED o rozdzielczości Full HD+, który wyświetla ładne, realistyczne kolory, czarną czerń, a do tego może się pochwalić odświeżaniem na poziomie aż 144 Hz. Maksymalna jasność to zaś 1600 nitów. Co ważne, zwłaszcza latem, smartfona można zabrać na poblizsze wanny czy płytkiego basenu, bo obudowa jest odporna i na kurz, i na wodę (zgodnie ze standardem IP68).

Sercem urządzenia jest procesor Snapdragon 7s Gen 2, wspierany przez 12 GB pamięci RAM. Pamięci na dane jest 512 GB. Taki zestaw nie czyni z Motoroli Edge 50 Fusion rakiety kosmicznej, ale płynność działania jak na



średniaka jest naprawdę niezła. Wszystko działa sprawnie, a drobne przycięcia zdarzają tylko sporadycznie.

Zaletą Edge 50 Fusion jest też pojemna bateria (5000 mAh), którą można szybko podładować (kwadrans w gniazdku powinien dostarczyć energii na jeden dzień pracy). W dzisiejszych czasach wartym podkreślenia plusem jest również to, że w pudełku poza smartfonem znajdują się także ładowarka TurboPower (o mocy 68 W), kabel do ładowania oraz podstawowe etui z tworzywa sztucznego. Na pochwałę zasługują też całkiem dobrej jakości głośniczki stereo (z oznaczeniem Dolby Atmos). Sprawnie działają również skaner linii papilarnych czy system rozpoznawania twarzy. Na pokładzie są też

modem 5G, wsparcie dla karty eSIM, moduł NFC etc.

Minusy? Zawiedzeni będą miłośnicy smartfonowej fotografii. Aplikacja aparatu zbyt często się przycina. Poza tym choć zdjęcia w dobrych warunkach oświetleniowych wychodzą nieźle, to przy słabym oświetleniu szumów jest już zbyt dużo. Po stronie wad muszą też zapisać jakość nagrań wideo. Mimo minusów ten model wart jest uwagi. Cena: 1899 zł.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Oko Proroka, Synopa, Archioka



JACEK KOMUDA

Warto przypomnieć kozackie wyprawy czajkami zwane „chadzkami”, które napsuły wiele krwi Turkom i Tatarom. Większość zdobytych wówczas miast i twierdz istnieje do dziś – na Ukrainie, w Turcji i Mołdawii. Napady były przyczyną licznych konfliktów polsko-tatarskich, powodem wojny z Turcją w 1620–1621, prowokowały w odpowiedzi najazdy tatarskie i same traktowane były jako odwet za tysiące jasyru porywanego z ukraińskich terenów Korony Polskiej. Nie wszystkie jednak – Wschód i Orient kusiły w dawnych

starosta włodzimierski Fiodor Sanguszko poprowadził wyprawę 32 czajek, która zdobyła zamek i złupiła miasto. Dlatego w późniejszych latach Turcy wzmocnili znacznie fortyfikacje twierdzy.

Kolejnym celem wypraw był Białogród, miasto położone u ujścia Dniestru; w dawnych czasach znajdowało się pod panowaniem gospodarów mołdawskich, jednak w 1484 r. zdobyli je Turcy i przemianowali na Akerman. Dziś należy do Ukrainy. W miejscu tym zachował się do dziś piękny, stary zamek – dawna twierdza turecka strzegąca ujścia rzeki. Miasto stało się częstym celem ataków kozackich. Jeden z większych miał miejsce w 1574 r. Kolejny w 1589 r. Napad powtórzył się w 1593 r., kiedy Białogród został doszczętnie spalony.

Następnym łupem stała się Tehinia, a smaczku dodaje to, że są to dzisiejsze Bendery, stolica zbuntowanego, sowieckiego raczej niż rosyjskiego Naddniestrza, gdzie jednak także zachowała się dawna turecka twierdza. Powstała pod koniec lat 30. XVI w. za czasów sułtana Sulejmana Wielkiego, który podporządkował sobie Mołdawię, a południowo-wschodnią jej część oderwał jako Budziak i przyłączył do Sylistrii. W 1541 r. twierdza była już gotowa, nie zdołała jednak zapewnić bezpieczeństwa przylegającej do niej osadzie, którą kilkakrotnie zdobywali Kozacy.

Idąc dalej w głąb ujścia Dunaju, nie sposób pominąć Kilii, dziś na Ukrainie, niegdyś w Turcji, miasteczka, które stawało się także regularnym celem wypraw. W 1606 r. zostało kompletnie spalone i zrujnowane.

Wszystkie wymienione miasta i zamki to tylko kilka najbliższych dawnym granicom Rzeczypo-

spolitej celów kozackich wypraw. Czym jednak były tytułowe Synopa i Archioka? Nazwy, które zacytowałem w jednej z najciekawszych powieści poświęconych dawnej Rzeczypospolitej, czyli z „Oka Proroka” Władysława Łozińskiego, które powinno być w lekturach szkolnych.

Synopa to stary grecki port na dzisiejszym tureckim wybrzeżu. Zdobyty w 1614 r., kiedy Zaporozcy, jak pisze turecki kronikarz Naim: „Opanowawszy ten starożytny zamek, wycięli załogę, zrabowali i spustoszyli domy rodzin mużmańskich i na koniec samo miasto spalili do tego stopnia, iż ów cudowny i zachwycający dobrobyt w smutną obrócili pustynią”.

Z Archioką sprawa jest trudniejsza – chodzi o część dzisiejszego Stambułu. Jak mówił na sejmie Stanisław Żółkiewski, w 1615 r. Kozacy w 80 czajek uderzyli na Konstantynopol pomiędzy Mizewną a Archioką, pod którą należy rozumieć obecną dzielnicę miasta Ortaköy, położoną na północ od sławnego Mostu Bosforskiego. Mizewna, być może Misewrya, to port i część dzisiejszej dzielnicy Beshiktas, na północnym brzegu Bosforu, położonej wokół placu Barbaros. W XVII w. były to osady i tereny myśliwskie sułtana. Jak mówił hetman: „Cesarz (Ahmed I) tam był blisko na myślistwie, widział z pokoju swego dymy, bo Kozacy te dwa porty spalili, a cesarz, uszedłszy urażony bardzo, wyprawił armatę. Kozacy bezpiecznymi będąc, nie uchodzili, ale łupili”. Brawurowy napad Kozaków na przedmieścia stolicy Porty doprowadził do kryzysu w relacjach polsko-tureckich, stając się jedną z przyczyn wojny w 1620 r. Na dobro Kozaków należy zaliczyć to, że zasłużyli się w obronie Chocimia rok później. ©



FOT. DOMENA PUBLIČNA

czasach Kozaków i Lachów obietnicą łupów, bogactw, złotych pałaców, haremów sułtana i chana. Zapowiadał mołojęcką sławę i przygody, o których śpiewali didy-lirnicy.

Jednym z najczęściej zdobywanych i łupionych przez Kozaków miejsc były miasto i twierdza Oczaków – strzegąca ujścia dniewskiego limanu do Morza Czarnego. W XV w.

należała do Wielkiego Księstwa Litewskiego, zdobyta została w 1492 r. przez Tatarów i przemianowana na Kara Kermen. Od 1526 r. Oczaków znalazł się w posiadaniu Turcji, jako Aczi Kale – „Dnieprowa twierdza”. W XVI w. był przedmiotem sporu między Polską i Litwą a Portą Otomańską. Zamek, później zamieniony na fortecę, znajdował się na samym końcu wysuniętego w morze półwyspu; dziś prawie nie ma po nim śladu. Oczaków był główną przeszkodą w wyjściu kozackich czajek na morze. Po raz pierwszy zdobyty został w 1514 r., kolejny – wiosną 1538 r. W 1545 r.



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Święto gryki

Od 21 lat w Janowie Lubelskim organizowany jest festiwal Gryczaki. Przy czym nie należy Janowa Lubelskiego mylić z Janowem Podlaskim, który leży na północ od Lublina w przeciwieństwie do naszego Janowa, który położony jest na południe od stolicy Lubelszczyzny. Janów Lubelski, podobnie jak Zamość, pomyślany był jako miasto idealne i tak też został wybudowany. Jednak bombardowania miasta 3 września 1939 r. doszczętnie zniszczyły zabudowę. Ocalało sanktuarium Matki Bożej Różańcowej Łaskawej – bomba wpadła do jego wnętrza, ale nie wybuchła, co mieszkańcy poczytują jako cud.

Wracając do festiwalu i do kaszy gryczanej. Gryka króluje wśród tutejszych upraw, więc tutejsze gospodynie opatentowały regionalny wyrób nazywany gryczakiem właśnie. Gryczak, jako kulinarny wyróżnik regionu, ma w sierpniu swoje święto. Na pięknej polanie Zoom Natury, położonej wśród niemal nadmorskich wydm, sosnowych lasów nad Zalewem Janowskim, roztawiają się budki, stoiska kulinarne, rękodzieło ludowe, a także typowe wesołomiasteczkowe instalacje – wielkie młyńskie koła i tym podobne atrakcje.

Na scenie odbywają się występy artystyczne na dobrym poziomie – taneczne oraz wokalne – i sprawiają, że publiczność bawi się znakomicie do późnego wieczora. Widzowie spędzają czas z całymi rodzinami i naprawdę jest bardzo przyjemnie.

Ludzie mają dobre humory i sporo energii, bo wszędzie serwowane są przysmaki z kaszy gryczanej. Na deser można dla odmiany zjeść jaglaka, czyli ciasto z kaszy jaglanej, które smakuje prawie zupełnie jak semik.

Próbowałyśmy gryczaka i musimy przyznać, że jest to danie smaczne, choć bardzo syćące, dlatego też zalecamy po nim sporo wysiłku fizycznego. Można potać się albo popływać. Woda w Zalewie Janowskim jest rześka – zasilana jest bowiem źródłami, których ujęcie znajduje się nieopodal kościoła. Gdybyście chcieli popробować zdrowej skądinąd kaszy gryczanej w nietypowej wersji – podajemy przepis.

Gryczaki

- 3 szklanki mleka • 3 szklanki kaszy gryczanej • pół kostki masła
- 800 ml twarogu • 800 ml śmietany • 2 łyżki maki ziemniaczanej albo kaszy manny

W mleku ugotować kaszę, dodać masło. Gotować krótko: pięć–siedem minut. Do ugotowanej kaszy dodać twaróg, śmietanę oraz – w zależności od tego, czy chcemy zjeść gryczaka na słodko czy na słono – albo cukier, albo sól, pieprz i miętę. Na spód blachy układamy ciasto kruche albo sam pergamin, na to wykładamy masę gryczano-serową, z wierzchu smarujemy śmietaną i pieczemy ok. godziny do zarumienienia się ciasta.

Ciasto powinno przestygnąć, wtedy je kroimy. Najlepiej smakuje podsmażone następnego dnia na maśle. Smacznego! ©



FOT. ADRIAN STOK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Przejęcie z łóżkiem

Ja zresztą popieram goliznę niepełną, duszną, dwuznaczną, a to przez firanek, a to przez tiul, i z podwiązką, ze wstążką, z komplikacjami, z męką i niedopowiedzeniem, i żeby nie wiadomo było, jak się skończy. Kiedy spadają ostatnie majtki, przestaje mnie to wzruszać. I przestaje mi być teatrem. A na przykład biedny strip-tease w małym kabarecie jest zawsze dramatem, ma akcję i kulminację, i niepokoję różne, i zostawia nadzieję. Nudyści mnie nudzą. Tak pisała 35-letnia Agnieszka Osiecka w „Dziennikach” (Prószyński i S-ka, 2021).

Zgadzam się. Nie trzeba być kinomanem, żeby zobaczyć przejęcie ze scenami łóżkowymi i w ogóle eksplicytną erotyką we współczesnym kinie. Wiadomo, magnes na widzów. Widać to nawet w serialu „Osiecka”, który z dużym spóźnieniem, nadrabiając zaległości, obejrzałam na Netflixie. Kto czytał – jak ja – wszystkie książki o Jeremim Przyborze i zna na pamięć jego piosenki, przyznałby zapewne, że samym bohaterem filmu ich wątek, zwłaszcza w fazie początkowej, niezbyt by się podobał.

Agnieszka Osiecka nie była specjalnie pruderyjna, ale ani w jej poezji, ani w notatkach/dziennikach seks nie ma tej wulgarności, którą widać we współczesnym kinie. Dziennik jest intymny, może bez firanek i bez tiulu (wszak to metafora), nigdy wulgarny.

W ramach nadrabiania zaległości chciałam obejrzeć

polski serial „Rojst”. Pierwsza scena: tir podjeżdża w nocy do jakiejś przydrożnej speluny, knajpy czy burdelu w lesie. Widać parę uprawiającą seks, prawdopodobnie z prostytutką, to znaczy seksworkerką, gdzieś przy barze, na oczach klientów. Ja dziękuję, pierwsza scena mi wystarczy. Nie mam ochoty na resztę tego serialu, który ma dobre opinie.

„Momenty były?” – ten znany wszystkim cytat z kabaretu lat 70./80. dzisiaj wydaje się dziecinnie naiwny. Wtedy pocałunek w kinie był momentem. A do kina wpuszczano za okazaniem dowodu osobistego. Teraz granice dopuszczalności się przesunęły. W Netflixie od lat 15 dozwolone są filmy pełne śmiałych scen erotycznych. Producenci walczą jak lwy o maksymalne rozszerzenie widowni, bo to oznacza większe pieniądze. A i tak podobno wtajemniczenie seksualne odbywa się nie z książeczek typu „Co każdy chłopiec wiedzieć powinien”, a przez Internet. Więc o co rwać szaty? Sprytna młodzież komputerowa potrafi przebić się przez ograniczenia i dojść do interesujących ją materiałów. Czytaj: do pornografii.

Jak świat światem istniała szara strefa erotyki – u nas i wszędzie. Sceny erotyczne z Khajuraho w Indiach pochodzą z X w. i trudno się nimi gorszyć; nie zauważyłam, żeby na teren zabytków hinduistycznych nie wpuszczano dzieci. Ale to trochę inna wrażliwość niż w serialu „Rojst”. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Onuce kontra damscy bokserzy

W kwestii igrzysk olimpijskich pozostanie we wspomnieniach (oprócz otwarciowej hucpy) już raczej tylko walka płci w ringu. Oba obozy pozornie zatrzymały się na swoich stanowiskach. Zwolennicy płynnej płci sportowej (w jedną – na razie? – stronę) po pierwszym nokdaunie wstali oraz zaczynają kontratakować i w sprawie bokserek (nie chodzi tu bynajmniej o gacie luźne w kroku) wyszło, że za wszystkim stoi... Putin.

Tak. A co wyście myśleli? Wiadomo, że jak coś się uwstecznia, to musi być on. To on, za pomocą opawanego przez siebie IBA (Międzynarodowego Związku Bokserskiego), stanął na drodze bokserek z jabłkiem Adama, gdy te zapragnęły zrealizować się w nowej, tym razem legalnej, roli damskiego boksera. Na czele tej organizacji stoi bowiem człowiek o wiele mówiącym nazwisku Kremlov (tak się wymawia), dla niepoznaki tylko pisanego jako Kremlev (rusycysty nie nabierzcie!). W związku z tym nowe panie bokserki u nich tam w IBA nie przeszły testów na płęć, co skłoniło komitet olimpijski do zakwestionowania nie tylko kompetencji związku, lecz także wrażeń intencji Putina, który chce popsuć zabawę światu, bo ten jego zawodników (jak najbardziej płciowo określonych) na igrzyska nie zaprosił. I wszystko jasne. Tak więc każdy, kto pisze, że teraz faceci biją babki w ringu,

nie tylko obraża ambitne niebinarnoosoby, lecz także zasmradza okolice wonią ruskich onuc.

Ja się jednak dziwię dziwiącym się. Poważnie. A co wyście myśleli? Ładowano przecież od wielu lat, że kwestia płci nie jest kwestią biologiczną, ale kulturową i należy do sfery wyboru, nie zaś cielesnej determinacji. Skoro tak to leciało, to czemuż się dziwić, że teraz kwestia przynależności nie tylko do płci, lecz także do kategorii sportowej jest wyłącznie sprawą deklaracyjną? To tylko logiczna konsekwencja szaleństwa początkowego. Pan Bach, szef igrzysk, stwierdził, że „damscy bokserzy” są damscy, bo tak zadeklarowali i mają to w papierach. Po co więc jakieś ruskie testy?

Tak już będzie i to nie tylko na igrzyskach. No bo czemu się powstrzymywać? Skoro, jak utrzymuje prof. Środa, nie ma żadnych fizycznych i genetycznych różnic pomiędzy kobietą i mężczyzną, to tak już pójdzie. To się w ogóle skończy tym, że będą walczyć wszyscy ze wszystkimi – kobiety z mężczyznami, dzieci z niepełnosprawnymi. Bo przecież równość jest. Będzie tylko jeden warunek – brak nagród, zwycięzców. Będzie jak w postępowej szkole – bez ocen. Liczy się udział. Bo współzawodnictwo produkuje zwycięzców, ale i przegranych. A życie, a już zwłaszcza sport – nie mogą stresować... ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Wokeizm lub rozkaz z Berlina

Czy likwidację Departamentu Restytucji Dóbr Kultury można traktować jako odmianę wokeizmu? Obrońcy obecnej władzy pewnie się oburzają, że tylko połączono departamenty, a proces będzie kontynuowany. Odpowiadam więc, że według deklaracji premiera projekt CPK też będzie kontynuowany (podobno). Patrząc na ideologiczną proveniencję obecnych władz MKiDN, można uznać, że lekceważenie wobec narodowego dziedzictwa jest wpisane w walkę rewolucji z kulturowymi pozostałościami patriarchy i burżuazyjnej zgnilizny.

Z tej perspektywy, istotnie, po co się wysilać, szukać na aukcjach, w prywatnych kolekcjach, w zagranicznych galeriach, zrabowanej przez Niemców i Rosjan polskiej własności? Po co tropić wywiezione już po wojnie przez złodziei ze służb specjalnych PRL bezcenne obrazy i artefakty? Miejsce tych staroci jest na śmietniku historii.

Z tego punktu widzenia odzyskanie przez poprzednie władze resortu, w latach 2015–2023, ok. 700 z pół miliona utraconych dzieł wygląda na działalność nikomu niepotrzebną. Trzeba posprzątać po Głińskim i Selinie. Owszem, zwiększenia budżetu przeznaczonego na kulturę z 3 mld (w 2015 r.) do 7 mld (2023) nominaci Tuska już nie kwestionują. Przecież artystyczny nurt pokazany na paryskiej ceremonii i u nas marzęcych wyznawców, a oni za

darmo ani nie będą się rozbić, ani inscenizować obcinania głów, podpalania pałaców i kościołów. To, owszem, moje tylko przypuszczenia. Jest bowiem bardziej prawdopodobna, choć nieco prozaiczna wersja wydarzeń.

Likwidacja Departamentu Restytucji Dóbr Kultury następuje kilka tygodni po zwycięstwie Olafa Scholza i towarzyszących mu przedstawicieli rządu RFN, w tym minister stanu do spraw kultury i mediów Claudii Roth. Podczas spotkania obie szefowe resortów kultury, panie Roth i Wróblewska, z radością odnotowały ożywienie współpracy. Roth, gdy tylko nastąpiła zmiana władzy nad Wisłą, w wywiadzie dla Deutsche Welle oświadczyła: „Ze strony rządu PiS panowała raczej permanentna prowokacja. Mimo usilnych prób nie doszło do współpracy opartej na zaufaniu”. Minister Roth przyznała, że polskie żądania zwrotu dóbr kultury są uzasadnione, ale sprawa była przez wiele lat blokowana. Potwierdziła też, że w zbiorach Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego jest wiele z tych dzieł, jednak jednym tchem dodała, że także w Polsce znajduje się „wiele dóbr kultury, które są dla nas ważne”.

Minister niestety nie wyjaśniła, co było „prowokacją”. Czy chodziło jej o Raport o stratach wojennych czy o powołanie takiego departamentu? A może prowokacją było istnienie rządu PiS? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kolektyw warszawski

Ja to jestem taki niemądry, że mnie się kolektyw kojarzy z Ruskimi, a w zasadzie z bolszewikami. Stop. A tu czytam tłumaczenie „Tygodnika Powszechnego”, że istnieje coś takiego jak „kolektyw dziennikarski Warszawy”. Stop. Tyle lat pracuję w warszawskim dziennikarstwie i nic a nic nie wiedziałem o istnieniu jakiegoś kolektywu. Stop. Ale, ale, bo teraz będzie gęste: ten „TP” napisał o kolektywie, tłumacząc się ślicznie z publikowania na swoich łamach Pabla Gonzáleza, czyli tak naprawdę Pawła Rubcowa, czyli ruskiego szpiega: „Redakcja nie miała z Pablem Gonzálezem bezpośredniego kontaktu, sprawdzała jednak, kim jest (należał wtedy do kolektywu dziennikarskiego z Warszawy)”. Stop. I teraz nie wiem. Może jednak nie jestem taki niemądry i ten kolektyw to mi się prawdomoż z ruskimi bolszewikami kojarzy? Jednak jak to napisałem, to się przestraszyłem, gdyż oznaczałoby to, że tymi ruskimi onucami to są najbardziej postępowi polscy dziennikarze, których łączy głęboka odraza do poprzednich rządów i spotykanie się, i spożywanie z tym Rubcowa, groza. Stop. Postępowi żurnaliści od szpiega na razie się zanorowali i nie podejmują tematu, marząc, że zdechnie. Stop. Cóż, rozrobił naiwniaków Rusek, jak dzieci, a mnie się wydaje, że temat żywotny i jeszcze o nim usłyszymy. Stop.

Kończąc temat na dziś: po Internecie lata nagranie z wnętrza TVP, na którym mają być partnerka Gonzáleza, polska dziennikarka Magdalena Chodownik, i jej operator; kilka dni po siłowym przejęciu mediów, w ścisłym gronie postępowych dziennikarzy. Stop. Czysta woda, znaczy się: kolektyw? Stop.

Nie wiedziałem, że adolescencja może być winna czynów kryminalnych, a jednak. Stop. Były dziennikarz nate-mat.pl Adam Bysiek krytykował dawny rząd tak bardzo, że teraz ściga go policja. Stop. No wiem, że to skomplikowane, bo przecież policja już nie jest PiS-owska i prokuratura też nie, a tego Byśka ścigają. Stop. Okazuje się jednak, że nie ścigają go za krytykę, tylko za najnormalniejsze oszustwa. Stop. Przy czym Bysiek ukrywa się za granicą, ale informuje na portalach społecznościowych, że winna jest właśnie adolescencja. Stop. Aż sprawdziłem, chodzi o to, że na młodość zwala. Stop. Cóż, panie Bysiek, bywa, że człowiek za młodu głupawy, a w wieku dojrzałym z kolei dalej głupawy i adolescencja nie ma tu nic do rzeczy... Stop.

Z ordynarnym, wulgarnym Szczurkiem (takie nazwisko), który zasłynął z zakłócania miesiecznie smoleńskich, TVP przeprowadziła wywiad jak z bohaterem. Stop. Wyłączyłem, bo myślałem, że znowu pokazują awarię oczyszczalni Czajka... © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Nieporządki w BBC

Bardzo ciekawą ewolucję przechodzą obok mediów informacyjnych BBC także wiadomości sportowe stacji. Ulu-bionymi bohaterkami były tu zawodniczki kobiecego boksu – algierska pięściarka Imane Khalif i reprezentantka Tajwanu Lin Yu-ting. Artykuł o nich napisała dla BBC dziennikarka Sofia Bettiza, podpisana jako „gender and identity correspondent”.

Pani Bettiza wyjaśnia czytelnikom, że obie zawodniczki traktować należy jako kobiety, ponieważ „urodziły się kobietami, były wychowane jako kobiety i zawsze występowały jako kobiety”. „Korespondentka genderowa” cytuje też opinię prof. Aluna Williamsa z Manchesteru, że „samo stwierdzenie obecności chromosomu Y nie przesądza jeszcze, czy ktoś jest mężczyzną czy kobietą”. Zdaniem cytowanych przez BBC naukowców poza chromosomami badać należy obecność w organizmie wielu hormonów (jednym z nich jest testosteron), a także sposób, w jaki organizm na hormony reaguje. Ustalanie płci staje się więc procedurą długotrwałą, niejasną i wątpliwą etycznie. „Sama ocena płci może być poniżająca dla badanego. Zakłada ona mierzenie najbardziej intymnych części ciała, takich jak rozmiar piersi i wielkość techtaczk, a także ocenę tonu głosu i dokładne badanie owłosienia ciała”. Czy w obliczu tak upokarzających zabiegów nie lepiej uwie-

rzyć badanemu „na słowo”? Jakiegokolwiek obiektywne kryteria w ocenie płci stają się nieetyczne i sprzeczne z „naukowym światopoglądem”.

Innymi bohaterkami promowanymi ostatnio przez BBC są reprezentantki północnokoreańskiej drużyny piłkarskiej. Korea Północna nazwana jest w BBC „śpiącym gigantem kobiecego futbolu”. „Pomimo standardów życia będących znacznie w tyle za większością innych krajów Korea Północna jest jednym z najsilniejszych narodów w dziedzinie kobiecego futbolu na całej planecie” – zachwycia się BBC. „Koreańskie piłkarki kochały football, ale przywódca i naród także byli ogromną motywacją” – wyjaśnia BBC sukcesy koreańskich reprezentantek piłkarskich.

Sądząc po wydarzeniach ostatnich dni, Wielka Brytania skręca w stronę „przebudzonej” dyktatury. Oznaka tego jest kłamstwo podważające w imię ideologii oczywiste świadectwa zmysłów. Mężczyzna bijący kobietę zmienia się dzięki niemu w kobietę walczącą z opresyjnymi normami. Totalitarny reżim wyzwała kobiety, pozwalając im wkroczyć w dziedzinę „męskiej” piłki nożnej. Demonstracje polityczne stają się „gwałtownymi nieporządkami”, a krytycy rządu grupą „rasistowskich bandytów”. Jak długo przyjdzie nam czekać na wielbionego Keir Ster Una? © ©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ucieczka ze złotej klatki

Po ucieczce Czesława Miłosza w 1954 r. komuniści otrzymali kolejny policzek – uciekł na Zachód, „wybrał wolność” Andrzej Panufnik (1914–1991), wybitny kompozytor i dyrygent, znany najbardziej Polakom jako autor muzyki do jednej z najpiękniejszych powstańców pieśni „Warszawskie dzieci”.

W PRL był pupilkiem reżimu, lwaskiewiczem polskiej muzyki, eksportową wizytówką i miał wszystko. Irlandzką żonę Scarlett, najpiękniejszą kobietę ówczesnej Warszawy, luksusowe mieszkanie na Wareckiej, fotel wiceprezesa Związku Kompozytorów, wyjazdy na Zachód niedostępne w kraju za

10-lecia Polski Ludowej, więc choć o ucieczce Panufnika huczała już Wolna Europa, to komuniści przyznali się do niej dopiero w sierpniu.

Z dnia na dzień stał się zdrajcą, sprzedawczykiem, szpiegiem, „złodziejem, który się nakradł i zwiął”, choć oddał każdą zaliczkę i żeby nie budzić podejrzeń, wziął ze sobą tylko podręczną walizeczkę. Cała prasa przedrukowała komunikat Związku Kompozytorów, informujący, że Panufnik zdradził swój kraj i naród, usunięto go więc ze związku.

Niczym u Orwella jego twórczość wrzucono do pieca pamięci – zniszczono zapisy wszystkich jego utworów oraz nagrań radio-

cytując Lenina, zarzucił mu, że „jako burżuj z ciała i ducha był obcy socjalizmowi, wybrał więc wolność, gdzie nie będzie twórcą, ale kelnerem obsługującym smaczki kulturowe burżuazji. Swoją poszedł do swego”.

Opluł też Panufnika Jerzy Broszkiewicz, recenzent muzyczny i dobry pisarz, autor książki o Chopinie „Kształt miłości”. Czy rzeczywiście, jak mówiono, spłacał dług za przeniesienie go z Krakowa do Warszawy? W „Przeglądzie Kulturalnym”, w tekście „O dezercerze”, pisał: „Charakter miał mały i podły, tęsknił więc za życiem ułatwionym i za robotą wygodną jak rozdeptany pantofel. Wygrał dezercer. Wy tłumaczył: nie warto tworzyć dla narodu. Lepiej bawić snobów z wolnego od patriotyzmu i trudów świata. Wygrała słabość – człowiek stchórzył, skarłał, zdradził”.

Kazimierz Brandys opublikował natomiast opowiadanie „Nim będzie zapomniany”, paszkwil na artystę, który zdradził i zdezerterował z placu budowy socjalizmu. Jego bohater był wzorowany na postaciach Miłosza i Panufnika. Nazywał go „błotem i myszą”. „Ta mysz uciekła z prawdziwie trudnego kursu. Nie róbcie z niej ideologa, to mysz [...]. Za rok nie starczy mu śliny, żeby na nas pluć. Nic z niego nie zostanie”.

Jednak zapomniani są dziś ci, którzy Panufnika opluwali. On odniósł bowiem na Zachodzie wielki sukces. Za jego muzykę królowa Elżbieta nadała mu tytuł szlachecki. Witany niczym król odwiedził Polskę dopiero w 1991 r., gdy była już wolna. Lata nieobecności zrobiły oczywiście swoje, ale jego muzykę przywrócono powoli polskiej kulturze. ©

Andrzej Panufnik w PRL był pupilkiem reżimu. Miał tego jednak szczerze dość. Zdecydował się na ucieczkę. Z Zurychu, gdzie miał zaproszenie na koncerty, wszedł w samolot do Londynu, gdzie poprosił o azyl polityczny

żelazną kurtyną, dwukrotne, sówite nagrody państwowe. Ale płacił za to twórczością na zamówienie. Nie napisał wprawdzie symfonii na cześć Stalina, ale m.in. „Symfonię pokoju” do słów lwaskiewicza, a także „Pieśń połączonych partii” PPR i PPS.

Miał jednak tego szczerze dość, dusił się, widział, że jest tylko usługowcem, nie rozwija się. Zdecydował się więc na ucieczkę. Skorzystał z tego, że jego żona poleciała akurat do Londynu, do chorego ojca, on natomiast otrzymał zaproszenie na koncerty w Zurychu, skąd nocą, bo wydawało mu się, że jest śledzony, wszedł w samolot do Londynu, gdzie poprosił o azyl polityczny. To było w lipcu, tuż przed hucznymi obchodami

wych, jego muzyki nie wolno było wykonywać i odtwarzać ani też wymieniać nawet jego nazwiska, objętego zapisem cenzorskim. Dokonywano fotomontaży, usuwając go ze zdjęć np. wykonanych podczas wizyty w Chinach razem z zespołem Mazowsze i spotkania z Mao Tse-tungiem. Polacy cieszyli się z „numeru”, który wyciął komunistom. Krążył dowcip: „Jaki jest ostatni utwór Panufnika? Fuga na organy bezpieczeństwa”.

„Czy ucieka się z krajów szczęśliwych i wolnych?” – pytała Maria Dąbrowska. Komuniści rozpętali przeciw niemu ogólnopolską nagonkę, opluwali go znani dziennikarze i pisarze. W prasie krakowskiej np. twarogłowy, przedwojenny jeszcze komunista Adam Polewka,

KAMALA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDY / ADRS / AW. SOSNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Elon Musk kupił Twitter, zmienił nazwę na X i zdjął cenzurę. Na innych platformach globalnych cenzura narasta. Gdy Musk ogłosił, że opublikuje rozmowę z Trumpem na żywo, Komisja Europejska zażądała, by tę rozmowę ocenizował.

Reakcja Muska: „Szczere mówiąc, bardzo chciałem odpowiedzieć tym memem z »Tropic Thunder«, ale NIGDY nie zrobiłbym czegoś tak niegrzecznego i nieodpowiedzialnego!”. I poniżej wkleił mem, o którym mowa. Mem mocno niegrzeczny i gdyby go prze tłumaczyć najgrzeczniej, jak się da, to byłoby tak: Pocałujcie się, ale dosłownie, i nie z tyłu, lecz z przodu.

Cenzura stała się agresywna. Widzą państwo, co się dzieje w Wielkiej Brytanii – ludzie idą do więzienia za przeklejenie wiadomości w sieci. Za komuny rozrzucaliśmy ulotki i mogli cię aresztować nawet za podniesienie pojedynczej ulotki z chodnika. Teraz to samo – wchodzisz na nieodpowiednie zdaniem władzy strony, czytasz nieodpowiednie treści, przesyłasz znajomemu i puk, puk – policja u drzwi, aresztowanie.

Dlaczego Musk kupił Twitter? Broni miejsca, gdzie żyje, ma dom, rodzinę. Gdy Ameryka padnie jako kraj, w którym istnieją swobody obywatelskie, nie będzie dokąd uciekać.

Po co im cenzura? Nie mają idei, które są dobre i bronią się same, a gdyby dowolny z ich pomysłów poddać normalnej debacie – przegrają. Cenzurują prawdę, by propagować kłamstwo. To, że Kamala ma duże poparcie, to fikcja. Nie ma wieców Kamali, ona nie jest w stanie zapełnić sali gimnastycznej.

Wiece Trumpa wyglądają jak msze papieskie w czasach Jana Pawła II. Ludzie siedzą i czekają na stadionie dziewięć godzin przed rozpoczęciem. Dookoła stadionu tłumy koczują na błoniach. Nie wejdą do środka, bo miejsc brak, ale i tak chcą tam być. Trump zapełnia nie tylko stadiony w dużych miastach – jedzie w szczere pole do dziury o nazwie Butler w Pensylwanii. To przypomina nasze rekonstrukcje bitwy pod Grunwaldem, gdy puste pole na jeden dzień zapełniają tłumy.

Gdy Trump jedzie na wiec, ludzie ustawiają się na trasie, tak jak w Polsce ustawiali się na trasach przejazdu papieża. Czekają godzinami, by mu pomachać przez kilka sekund. I to nie są typowi wyborcy republikańców – gdy Trump jedzie przez dzielnicę czarnej biedoty, jest to samo: radość i wiwaty. Gdy zatrzymuje się zjeść hamburgera w przydrożnej restauracji, całe zaplecze wybiega witać się z nim, przytulić.

Po każdym wiecu Trumpa są w Internecie tysiące prywatnych filmików nakręconych komórkami, różne ujęcia ze wszystkich stron. Z wieców Kamali brak takich filmów. Pojawiają się tylko te generowane przez sztuczną inteligencję, i to od razu widać. Zdjęcie ze stadionu, na którym przemawia Kamala – gdy zrobisz zbliżenie, widać, że to tłum wygenerowany cyfrowo, bo ludzie mają po cztery ręce, po dwie głowy, czasami na jednym krzeselku siedzi pięć osób.

Kamala organizuje darmowy występ popularnego rapera, ludzie przychodzą na rapera, a gdy raper kończy i na scenę wchodzi Kamala, widzowie

opuszczają salę, bo przyszli na koncert, nie na Kamalę. Kamala kupuje protesty – na stronach z ogłoszeniami dla szukających pracy wywiesza ofertę: trzeba przyjść pod stadion, gdzie przemawia Trump, i wymachiwać transparentem protestacyjnym.

Na stadionach, gdzie występuje Kamala, całe sektory są pozasłaniane kurtynami, a w mediach tam, gdzie była kurtyna, pojawia się sztucznie wygenerowany tłum, gdy policzysz ludzkie głowy, okazuje się, że na tym stadionie było więcej ludzi niż krzesel. Z kolei z wieców Trumpa media biorą zdjęcia kilku pustych rzędów i publikują z opisem: PUSTKI NA WIECU TRUMPA. Tyle że to zdjęcie zrobiono sześć godzin przed wejściem Trumpa na scenę.

Po co to wszystko? Masz odnieść wrażenie, że Kamala jest bardzo popularna, a Trump wcale, masz być przekonany, że ona ma szansę, a Trump nie. Gdy ludzie w to uwierzą, łatwiej będzie odwrócić wynik wyborów. Dosypywanie głosów nie musi być powszechne – wystarczy dosypać trochę w kilku-nastu kluczowych punktach, w dużych miastach.

Na wiecu zaśląbła kobieta. Trump przerwał na chwilę, aby służby medyczne mogły udzielić pomocy. W mediach pojawiła się informacja, że Trump ma demencję i zawiesił się w trakcie przemówienia. Tę fałszywkę rozpowszechniały boty wynajęte w Chinach i Indiach. Wygenerowano sztuczny ruch, grupy dyskusyjne o demencji. Kto nie jest uważny i nie sprawdzi, jak wyglądało tamto przemówienie i skąd się wzięła przerwa, da się nabrać.

Wpieranie ludziom lepiej zorientowanym wielkiego kłamstwa, w które oni nie uwierzą, też służy demokratom. Bo naród się w końcu może wkurzyć. Setki tysięcy ludzi były i widziały wiece Trumpa na żywo, a teraz czytają o pustych stadionach. Gdyby ci ludzie się wnerwili i zrobili coś gwałtownego, demokraci mieliby pretekst do odwołania wyborów i wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Kamala od początku swojej kampanii nie udzieliła ŻADNEGO wywiadu. Podchodzi do grupy dziennikarzy, czyta coś z kartki, a potem nie odpowiada na pytania, lecz odchodzi. To celowe, bo Kamala nic nie wie i niczego nie umie. Gdyby jej zrobić egzamin i zadać pytanie, czy Irak to kraj czy potrawa, Kamala obleje. Od kilku tygodni cytuję w moich mediach społecznościowych wypowiedzi Kamali na różne tematy oczywiste. Można sobie sprawdzić. To nie są zwyczajne ludzkie pomyłki. Przykład: Kamala tłumaczyła, czym jest przechowywanie dokumentów w chmurze, i powiedziała, że one nie istnieją w formie papierowej, lecz są tam – wskazała na niebo.

Uważam, że żadnych debat telewizyjnych nie będzie. Demokraci wiedzą, że Kamala nie da sobie rady. Po debacie w CNN odpadł Biden. Kolejna miała być dla równowagi na prawicowej stacji FOX. Kamala powiedziała, że w FOX nie chce. Trump: OK, zróbmy dwie debaty w stacjach, które pani sobie sama wybierze, a jedną na antenie FOX. Kamala milczy. Moim zdaniem debat nie będzie. Kamala wykręci się, mówiąc, że w trakcie debaty z Bidenem Trump kłamał 60 razy i ona z kłamczuchem debatować nie będzie. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~514~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE
Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 281 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

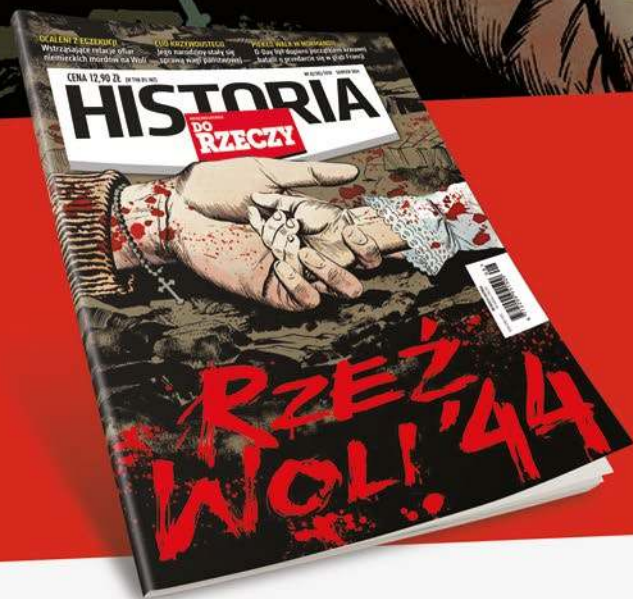
TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl cff981fd60

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO NA WOLI

Zgładzona dzielnica – Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

„To Bóg mnie tak poprowadził” – Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Niezwykłe narodziny syna Marsa – Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Licytacja Piłsudskiego – Sto dziesięć lat temu oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

Cesarz legenda – Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu

Swastyka i trójkąt – Pod koniec wojny dość nieoczekiwanie drogi Niemców zeszyły się ze ścieżkami jednego z ich dotychczasowych wrogów – UPA

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**